

5

POLITYCY BEZ WYOBRAŹNI (s. 18)
KASZUBSKI TO „BOMBA” (s. 31)

POMERANIA

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

MAJ 1991

Cena 3000 zł



Oliva - Gietlikau - Am Strand (Fischerboote)



Oliva - Gietlikau - Seeslag

Na gorąco

Ludzie atomizują się na wariackich papierach. Niemal każdy uczestniczący w życiu publicznym chce komuś przewodzić, tworzy własną myśl, często awanturniczą i własną organizację lub frakcję. Jedni czynią to z przymrużeniem oka, inni nader poważnie. To dobrze, że polska scena polityczna zaroila się ludźmi ambitnymi, zaradnymi i... naiwnymi miernotami. Liberaltowie uwierzyli w swoją intelektualną siłę i moc sprawczą, chrześcijanie posła Łopuszańskiego jedyną rację przyznającą sobie, ludowcy stoją zagubieni na rozdrożu, zwierają swe szeregi socjaldemokraci, a narodowcy z Leszkiem Moczulskim wciąż żyją w niewoli i zaciekle walczą o wolność i suwerenność.

To nie jest tylko krajobraz po bitwie. Komunizm, gdy miał jeszcze siłę, powinien był zjednoczyć wszystkie antykomunistyczne orientacje. Zjednoczył je przeciwno sobie, to prawda, ale zarazem podzielił na grupy i grupki z przywódcami przedkładającymi ambicje osobiste nad ideowość, która karykaturalnie się rozdrobiła. Doszliśmy do paradoksalnej sytuacji, w której o ideowości świadczą życiorysy, przy czym czystość życiorysów była i jest co najmniej problematyczna. Żaden polityk, bez względu na wiek i doświadczenie, nie może być czysty jak łaża. Skuteczna polityka jest umiejętnością chytrego oszukiwania w interesie państwa. Upominanie się o moralną politykę graniczy z naiwnością, która prędzej czy później może doprowadzić kraj do ruiny, jeśli nie do upadku.

Są oczywiście prawdy akademickie, które do nowych polityków, lub adeptów polityki, nie docierają. Brakuje im samokrytycznego oglądu siebie i znajomości gry politycznej, zwłaszcza tej lisiej, kuluarowej, prowadzonej w zamszowych rękawiczkach. Moralizowanie w polityce jest zabójcze, a toporne obwieszczenie jej celów szczegółowych dyskwalifikuje polityków. Wywoływanie tematów zastępczych, gdy główne się załamują, ma bogatą tradycję, ale mocno skompromitowaną. Nasz Sejm jest tego przykładem. I zgromadzenia samorządowe. Krótkie tradycje polskiego parlamentaryzmu demokratycznego dowodzą, że nawet w unormowanych czasach bardziej doświadczeni politycy potrafili destrukcyjnie oddziaływać na państwo, prowadząc partyjną walkę o władzę. Partyjność była celem, a nie środkiem tej walki.

To co dzieje się teraz, przytłumia nadzieje wyzwolone przed dziesięć laty. Główny obóz społeczno-polityczny, jakim była „Solidarność”, legł w gruzach; podzielony politycznie nawet nie próbuje ratować tego co można by jeszcze uratować. Nie ma w tym obozie ludzi zdolnych do opracowania programu jednoznacznie określającego jego status. Obawiam się, że jeśli taki program powstanie, w co wątpię, nie będzie komu go realizować. W przeświadczeniu młodych ideologów komunistyczne zaszłości podziału na lewicę i prawicę nadal obowiązują, chociaż był to podział sztuczny, ortodoksyjny i dzisiaj już się zatął. Programy polityczne są coraz mniej zakorzenione w ideologiach partyjnych, a ideologie — jeśli decydująco rzutują na programy — nie znajdują posłuchu w społeczeństwie. Ono skutecznie odideologizowuje się zatroskane sobą, swoim bytem.

Odnozę wrażenie, że ludzie dzielą się obecnie na trzy kategorie: zapatrzonych w przeszłość, zachowujących się jak nadęte kiszki i obrażonych. Ci pierwsi wciąż walczą o wolność i suwerenność w granicach sprzed rozbiorów w XVIII w., czyli zachowują się jak ślepcy; drudzy myślą z troską o przyszłość i w związku z tym usiłują szlachetnie reformować życie obywatelsko-państwowe; ostatni kierują się wyłącznie doczesnością z myślą o sobie. Kwalifikujący się do pierwszej i trzeciej kategorii reprezentują nurt roszczeniowy i prywatę, a zatem szkodliwy dla narodu i państwa.

Z komunikatów prasowych wiemy, że jednoczą się ludowcy, narodowcy, chrześcijanie i demokraci z różnymi przymiotnikami. Jednoczą i szybko dzielą się, a wszystko to dzieje się na górze, wśród tzw. warstw przywódczych. Społeczeństwo zaś, jako klientela, patrzy na to biernie i z niesmakiem, a w przypadku rolników być może żywiołowo weźmie swoje sprawy w swoje ręce.

Kto wie, czy nie miał racji prof. Jan Szczepański, gdy przed laty pisał: „...robotnicy, chłopcy, wszyscy szeregowi pracownicy dojrzejają politycznie i zawodowo szybciej niż kadry administracji, dozoru i kierownictwa”.

To dobrze, że ludzie myślą różnymi kategoriami, wypracowują rozmaite koncepcje uzdrowienia organizmu Polski, źle natomiast, że z tych koncepcji nie potrafią skompilować syntezy programu, który mogliby w miarę zgodnie realizować.

Postępująca atomizacja społeczeństwa, nie tylko polityczna, może się obrócić przeciw społeczeństwu. Na pewno nikt tego nie chce, ale niewiele jest takich, którzy zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa, również wśród rozważnych do niedawna Pomorzan. Warto więc zastanowić się nie tylko nad sobą, ale również — a może teraz przede wszystkim — nad stanem państwa zagrożonego przez nas samych.

MOCNI
W
GRACH
I
ZABAWACH

Tadeusz Bolduan

21.04.1991

MIEJSCE PRZY STOLE

Rozmowa
z posłem
JERZYM WUTTKE
przewodniczącym
sejmowej Komisji
ds. Mniejszości
Narodowych i Etnicznych

— Panie posle, na tematy mniejszości narodowych, zwłaszcza ich losów w przeszłości i miejsca we współczesności, mówi i pisze się obecnie stosunkowo dużo. Nie zawsze poszczególne wystąpienia i teksty publikowane w gazetach, periodykach i rozmaitych drukach ulotnych inspiruje troska o to, by mniejszościom żyło się spokojniej i lepiej. Współżycie w jednym państwie z mniejszościami nie powinno być rezultatem historycznego trafu, lecz pochodną etyki politycznej, pełnego wprowadzenia w życie zasady, że wszystkim należy się wspólne miejsce przy stole. Oto jedna z definicji kultury: miarą kultury danego narodu jest stosunek do słabszych, pomniejszych. Za takowych można uznać Ukraińców, Białorusinów, Łemków, Litwinów, Tatarów, Ormian, Macedończyków, Niemców, tworzących mniej lub bardziej zwarte wyspy zanurzone w żywiole polskim. Istnieją jeszcze grupy etniczne, by wymienić Kaszubów.

Powierzono panu ważną funkcję przewodniczącego sejmowej Komisji ds. Mniejszości Narodowych. Komisja ma na swym koncie wnikliwą analizę wielu mniejszościowych problemów, nie tylko analizę, ale i uwiecznione powodzeniem próby znalezienia najbardziej optymalnych rozwiązań, które stanowią dobry punkt wyjścia do dalszych działań, potrzebnych, by tworzyć warunki normalnego rozwoju wszystkim grupom. Czy można powiedzieć, że te najpoważniejsze problemy związane z mniejszościami mamy już za sobą?

— Istotnie, od początku tej kadencji sejmowej wiele mówi się u nas o mniejszościach narodowych. Jest to naturalna reakcja na długoletnie milczenie o tych sprawach, gdyż temat mniejszości należał do tematów tabu. Toteż dziś reakcją na tamto milczenie jest intensywniejsze podejmowanie zagadnień dotyczących mniejszości. Jeszcze przed wyborami czerwcowymi do Sejmu i Senatu pierwsze próby wprowadzenia tej problematyki na wokandę podjęła komisja Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. Komisja Sejmowa jest jakby przedłużeniem i formalnym usankcjonowaniem tej pierwszej inicjatywy na forum polskiego parlamentu. Wraz z powstaniem niekomunistycznego rządu w Polsce pierwszy przewodniczący komisji, Jacek Kuroń objął stanowisko ministerialne, w związku z czym po dokonaniu wyborów przejął Komisję ds. Mniejszości. Praktycznie zostałem jej pierwszym przewodniczącym. Nakłada to na mnie szczególną odpowiedzialność. Pewnym atutem jest, mój własny rodowód. Jestem bowiem rodowitym Górnolazakiem, problematykę mniejszości, wielokulturowości i odmienności znam niejako z autopsji. Dlatego odważyłem się tę komisję poprowadzić.

Przypuszczam, że w miarę upływu czasu emocje wokół mniejszości ulegną stopniowemu uspokojeniu. Długoletnie bowiem oczekiwanie na pojawienie się możliwości mówienia o sobie w sposób prawdziwy spowodowało wychylenie wahadła emocji. Z tego względu komisja przyjęła w swej pracy kilka podstawowych kierunków działań. Przede wszystkim w

czasie sesji wyjazdowych zapoznała się z problematyką poszczególnych mniejszości na miejscu. Bezpośrednie nawiązywanie kontaktów w rodzimych środowiskach spełniło również ważną funkcję psychologiczną, przyczyniło się do pewnego oswojenia się również opinii publicznej w Polsce z faktem istnienia mniejszości.

— Równocześnie musimy pamiętać, że wiedza ogółu Polaków o mniejszościach narodowych jest bardzo skąpa.

— Jeśli przez ponad 40 lat kolejne ekipy rządowe prowadziły konsekwentną politykę głaśszczącą, tworzenia sztucznej jedności narodowej, to trudno było oczekiwać, by społeczność polska miała pełne i rzeczywiste pojęcie o różnorodności naszego kraju, szczególnie w aspekcie ludnościowym, narodowościowym.

— Stereotypy zastępowały faktyczną wiedzę.

— Sądzę, że stereotypy były budowane z pełną premedytacją. Weźmy choćby problem niemiecki: pełnił on w różnych okresach rolę straszaka. I to instrumentalno-polityczne traktowanie problemów mniejszości zaciążyło na pewnej społecznej optyce, która określała sposób postrzegania tychże mniejszości.

— Próby wyolbrzymiania zagrożeń miały służyć sztucznie konstruowanej jedności narodowej.

— Oczywiście, że tak. Poza tym warto zwrócić uwagę na jeszcze jedną prawdę psychologiczną: boryśmy się zwykle tego, czego nie znamy. Niewiedza pozwala na kształtowanie negatywnych stereotypów i manipulowanie opinią publiczną, zwłaszcza w drażliwej sprawie. Dlatego też pierwszym niezwykle istotnym osiągnięciem komisji było wprowadzenie tematyki mniejszości narodowych do środków masowego przekazu. Chodziło o to, by torować drogę pogładowi, iż wszyscy obywatele kraju, niezależnie od swego pochodzenia i korzeni kulturowych, tradycji, języka są pełnoprawnymi obywatelami naszego państwa. Zdrowy jest las mieszany; wielokulturowość jest czymś naturalnym, w dodatku wnosząca do kultury ogólnonarodowej twórcze możliwości.

— Te stwierdzenia kojarzą się z pozytywnymi opiniami badaczy i historyków I Rzeczypospolitej, według których wieloetniczność, wielojęzyczność i wielowyznaniowość nie stanowiła obciążenia, lecz wprost przeciwnie — szczególny walór. Bo, jak powiada Tadeusz Mrożkowski, wytworzona na pewnym momencie mozaika nie nosiła cech samobójczych, przeciwnie — posiadała spory zasób cech pozytywnych, przyszłościowych, a zarazem zdroworozsądkowych. Zapominanie o tym powoduje, że jesteśmy skłonni brać za dobrą monetę wyłącznie fakt jednolitości narodowej.

— Myślę, że zapominanie o tej prawdzie generalnie zubaża świadomość Polaków. Dlatego też przełamywanie stereotypów sztucznej jedności narodo-

wej jest w tej chwili zagadnieniem podstawowym. Bogactwo można osiągnąć przez różnorodność. Posłużę się przykładem mego rodzinnego Górnego Śląska. Dość powszechnie zakorzenił się stereotyp o dwubiegowości tego regionu. Mianowicie, jeśli są tam problemy narodowościowe, to są to wyłącznie problemy polsko-niemieckie. Stan faktyczny jest inny. W ciągu wieków nawarstwiły się na Śląsku bardzo istotne wpływy czeskie i słowackie, a nawet morawskie. Nie można także pominąć zgodnego współżycia mieszkańców Śląska z ludnością żydowską, która też tam od dawna egzystowała. Śląsk może się tutaj pochwalić praktycznie zupełnym brakiem nastrojów ksenofobicznych. Sprzyjało temu otwarcie Śląska w zakresie kulturowym i gospodarczym. Każdy obszar o charakterze pogranicza, jakby z natury rzeczy jest bardziej przygotowany na akceptowanie odmienności i wielokulturowości. Myślę, że jest to szczególnie ważne w obecnej sytuacji państwa polskiego, przygotowującego się do zasadniczej zmiany ustrojowej. Za tę zasadniczą zmianę uważam przejście z państwa centralistycznego do Rzeczypospolitej samodzielnych regionów. Mówiąc o tej koncepcji odwołuję się tu do listu otwartego Rady Związku Górnośląskiego, którego jestem współzałożycielem. Odkrycie, czy raczej unaocznienie na nowo bogactwa wielokulturowości państwa polskiego pozwala myśleć w sposób normalny o Polsce jednolitej, ale regionalnej.

— Większa wrażliwość jest na to, co wiąże się z własnym narodem, niż na los czy na zło, które spotyka członków innych grup narodowych. Stąd krok do rozgrzeszania siebie i swoich, a obarczania winą innych, obcych. Do wskrzeszania ducha nietolerancji. Jest coś anachronicznego w pojawiających się postawach ksenofobicznych, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę, że mniejszości narodowe są dziś w Polsce albo niezbyt liczne, albo wręcz śladowo obecne w krajobrazie społecznym.

— W moim przekonaniu mają one charakter marginalny, nie dominują w opinii społecznej. Być może wynikają z dynamicznego charakteru zmian, które przeżywamy i z niepełnego jeszcze poczucia wzajemnego zaufania różnych grup ludności i różnych grup zawodowych. Całkiem prawdopodobne, że komunistyczna teoria walki klas została przeflancowana na obszar życia prywatnego, przybierając postać walki każdego z każdym. Chyba również na tym polu moja komisja ma jeszcze wiele do zrobienia. Najważniejsze to odkłamanie wielu prawd i ostudzenie emocji.

Chciałbym ponadto zwrócić uwagę na charakterystyczny moment, jaki obecnie przeżywamy w Polsce. Otóż na zachodniej granicy naszego państwa mamy do czynienia z wyraźnymi procesami integracyjnymi. Dominuje tam świadomość pewnego łączenia, scalania. Na wschodzie obserwujemy natężenie procesów antagonistycznych. Widzę refleksy tychże procesów w postawach pewnych grup mniejszościowych. Jeśli idzie o mniejszości usytuowane wzdłuż tzw. ściany wschodniej, szczególnie białoruską i ukraińską, to jest oczywiste, że są one pod wpływem tego, co dzieje się na terenie Związku Radzieckiego. Nie mówię tu o warstwie politycznej określonych wydarzeń, ale o klimacie psychologicznym wokół tego, co dzieje się w państwach rodzimych tych mniejszości. Tamte wydarzenia oddziałują na postawę mniejszości zamieszkujących w Polsce. Komplikuje to nieco sytuację, gdyż Polska musi godzić obydwa procesy — integracyjny i dezintegracyjny.

W grę wchodzi także odmienne modele patriotyzmu. Na wschodzie został reanimowany patriotyzm odpowiadający dziewiętnastowiecznemu modelowi, który skłania do zamykania się, do tworzenia swoistego getta dla swoich. Jaki stąd wniosek? Wydaje mi się, że nie można rozpatrywać problemów mniejszości zamieszkujących w danym państwie w oderwaniu od sytuacji w państwie rodzimym tychże mniejszości.

— Czy poczucie tożsamości, specyfiki i siły przywiązania do rodzimego języka i tradycji jest propo-

cyjonalne do liczebności danej mniejszości? Prosiłbym o bliższą charakterystykę „naszych” mniejszości.

— Mniejszości znajdujące się w obrębie państwa polskiego są zróżnicowane w wielu aspektach. Duże znaczenie posiada stopień zwartości bądź rozproszenia. I tak mniejszość białoruska, niemiecka żyją raczej w zwartych skupiskach. Tym różnią się od ludności ukraińskiej, która żyje raczej w rozproszeniu. Różna jest też liczebność mniejszości. Do najliczniejszych należą ukraińska i niemiecka. Na dalszej pozycji plasuje się mniejszość białoruska, litewska, żydowska... Mamy też niewielkie liczebnie diaspory Czechów, Słowaków, Ormian, Macedończyków. Różnią się one między sobą dorobkiem kulturowym, stanowiącym owoc twórczej aktywności elit. Takiej w pełni ukształtowanej elity o wyraźnym obliczu polityczno-społecznym nie posiada np. społeczność niemiecka. Rodzi to określone konsekwencje.

Niesłychanie zróżnicowany jest też stopień samodzielności ekonomicznej naszych mniejszości. Za najbardziej zasobną wypada uznać mniejszość niemiecką. Wiele do życzenia pozostawia materialny status mniejszości na wschodnich obrzeżach kraju. Dochodzą do tego różnice w kulturze politycznej, co uwidacznia się w swoistym sposobie formułowania własnych oczekiwań czy też żądań. Różny jest także stopień otwartości na dialog, zdolności do kompromisów. Niełatwo jest więc prowadzić zharmonizowaną, opartą na jednolitych regułach politykę w stosunku do wszystkich mniejszości. Pragnę podkreślić, że niedawno powstała Rada Mniejszości. Myślę, że owa rada będzie miała charakter głównie konsultacyjny; przekształcenie jej w jakiś organ nadrzędny przyniosłoby więcej szkody niż pożytku.

— Mówił pan poseł o wewnętrznych rozterkach, przejawach dezintegracji, występujących wśród mniejszości. Czy mają one swe źródło w psychice, w urazach i obolałościach czy spowodowane są przyczynami natury zewnętrznej?

— Mają swe źródło zewnętrzne i wewnętrzne. Jeśli idzie o to pierwsze, to decydujący wpływ na psychikę niektórych mniejszości wywiera proces dezintegracyjny Związku Radzieckiego. Wyraża się to choćby w radykalizmie żądań i manifestuje się przerysowanym obrazem własnej autonomizacji. Dotyczy to głównie Białorusinów i Ukraińców. Godna pochwały jest postawa mniejszości litewskiej w Polsce, która zdaje się wiele rozumieć, ma wykształcone poczucie pewnej cierpliwości.

Różnice „charakterologiczne” wyraziły się w odmiennym podejściu do ustawy o mniejszościach narodowych. Białorusini i Ukraińcy w sposób energiczny domagali się tej ustawy jako aktu odrębnego. Przedstawiciele mniejszości niemieckiej nie formułowali nigdy tak swych żądań, stoją raczej na gruncie przestrzegania praw obywatelskich, na gruncie KBWE, postanowień międzynarodowych, słowem tych traktatów, których Polska jest sygnatariuszem. Różnice są więc niebagatelne, bo różny jest stopień kultury politycznej.

— Czy niektórzy przedstawiciele mniejszości niemieckiej na Śląsku nie wychodzą z postulatami podwójnego obywatelstwa?

— Stosunkowo wysoka kultura polityczna nie wyklucza zjawisk niepożądanych. Ilustracją takiego chciejstwa jest 16 sławetnych postulatów sformułowanych przez Radę Naczelną stowarzyszeń niemieckich. W tymże dokumencie wyraźnie wyczuwa się inspiracje polityczne Związku Wypędzonych — organizacji, która szerzyła — nie wiem, czy jest to działanie definitywnie zakończone — hasła autonomizacji Śląska, w dalszej perspektywie jego europeizacji. W każdej sytuacji możemy spotkać się z działaniami i dążeniami, które zmuszają do utworzenia statusu szczególnego tej grupy mniejszościowej. Takim tendencjom zarówno moja komisja, jak i rząd Rzeczypospolitej musi się przeciwstawić. To jest oczywiste. Dla przykładu, jeśli pada postulat dotyczący tzw. pozytywnej dyskryminacji, to mam pełną świadomość,

że nie jest to postulat naturalny dla tej mniejszości. Nie możemy stosować żadnych wyróżnień, wprowadzać statusu uprzywilejowanego dla którejś z mniejszościowych grup. Po prostu nie mieści się to w normach prawa międzynarodowego. Wprowadzenie czegoś takiego oznaczałoby naruszenie podstawowej zasady polityki narodowościowej państwa, zasady równości mówiącej o tym, że wszyscy obywatele danego państwa są równi wobec prawa. Równie ważna jest zasada wzajemności. Stanowi ona jakby kamień węgielny polityki narodowościowej państwa. Nie należy jej rozumieć dosłownie jako „coś za coś”, jako formy rewanżu. Zobowiązuje ona do respektowania ogólnie przyjętych norm. Posłowie mojej komisji mają nie tylko prawo, ale i obowiązek orientowania się w sytuacji Polaków zamieszkałych poza granicami kraju. Nie w tym rzecz, by w jakiś sposób odgrywać się na mniejszościach innych państw, które żyją w Polsce, wyszukiwać po tamtej stronie słabe punkty i płacić mniejszościom taką samą monetą... Jeśli przyjmujemy zasadę, że mniejszości narodowe są rzecznikiem pojednania, wzajemnego zrozumienia narodów, to nie sposób myśleć o jednej stronie tego dialogu. W związku z tym uważam za duży sukces, że na mój wniosek w ramach połączonych prezydów Komisji Mniejszości Narodowej i Łączności z Polakami za Granicą została powołana międzyparlamentarna grupa robocza polsko-ukraińska. Jej zadaniem jest dokładne rozpoznawanie różnych problemów i praca na rzecz mniejszości polskiej na Ukrainie i ukraińskiej w Polsce. Komisja chce tworzyć szerokie forum współpracy i negocjacji. Chcemy także skupiać i zachęcać do współpracy środowiska mniejszościowe w kraju. Jestem za kontaktami roboczymi, które bez obciążenia związanych z massmediami, z publicznym rezonansem pewnych ustaleń, będzie można kontynuować.

— Czy dzisiaj są jakieś problemy z lojalnością ze strony mniejszości?

— Pragnę jednoznacznie stwierdzić: wobec pewnych nieporozumień, które od czasu do czasu dają znać o sobie, mniejszości narodowe etniczne, językowe, religijne nie są zobowiązane do jakiegokolwiek lojalności względem państwa. Objęte są one tym samym zakresem lojalności, jaki obowiązuje wszystkich obywateli Rzeczypospolitej. Nie może być takiej sytuacji, żeby któraś z mniejszości odwoływała się z pominięciem rządu polskiego do rządu swego państwa rodzimego o ingerencję w swoich sprawach.

— Konkretny przykład?

— Gdy otrzymuję postulat dotyczący szkół niemieckich, stawiam sprawę jasno: w Rzeczypospolitej nie ma i nie będzie szkół niemieckich, ukraińskich, białoruskich. Istnieją szkoły polskie z językiem na przykład niemieckim, ukraińskim, białoruskim, funkcjonujące w ramach obowiązującego prawodawstwa polskiego, pod opieką polskich kuratorów.

— Czy pańska komisja wysuwała już jakieś sugestie, dezyderaty pod adresem Ministerstwa Edukacji Narodowej?

— Tym zagadnieniem komisja zajęła się już w początkowej fazie swej działalności. Trzeba powiedzieć, że MEN z pełnym zrozumieniem potraktowało naszą sugestie i postulaty. Przede wszystkim wiceminister Janowski. Docierają do mnie informacje ze strony mniejszości o realizacji naszych wspólnych ustaleń przez kuratoria w województwach białostockim czy przemyskim. Znajdujemy się u progu bardzo istotnych zmian. Mam na myśli politykę regionalizacji nauczania. W moim przekonaniu pozwoli ona na odwołanie tożsamości etnicznej mieszkańców określonego regionu i ugruntowanie poczucia własnej podmiotowości. Regionalizacja nauczania pobudza do refleksji nad własną biografią, wiąże bardziej człowieka z jego własną ziemią. Pozwala uwypuklić sens współistnienia i współżycia różnych grup w ramach jednolitego państwa. Toteż regionalizacja powinna uwzględnić również rozmaite wymogi mniejszości narodowych. Trzeba dać szansę zaistnienia w publicznej świadomości tych elementów kultury, ja-

kie taka czy inna mniejszość wnosi do ogólnej skarbnicy kultury. Rzecz w tym, by ci, którzy tworzą mniejszościowe enklawy, pozostawali w wielorakich związkach, w żywej symbiozie z gospodarzami całej przestrzeni narodowej. Powinni zatem w sposób naturalny dążyć do poszerzenia swej wiedzy o tymże gospodarzu i jego przeszłości. Z drugiej strony gospodarz winien być zainteresowany wyposażeniem duchowym różnych mniejszości.

— Im więcej faktycznej, konkretnej wiedzy o innych, tym mniej miejsca dla wszelkiego rodzaju negatywnych stereotypów.

— Niestety, zdumiewająco żywotne są różne stereotypy i fałszywe formułki. Według jednej z nich dążenie do określenia się danych grup regionalnych jest równoznaczne z separatyzmem. Nie wolno określać mianem separatyzmu chęci zdefiniowania swej małej ojczyzny czy ojcowizny, bez której nie ma pojęcia tej wielkiej ojczyzny.

— Ciekawe, czy między starszymi a młodszymi pokoleniami naszych mniejszości występują jakieś różnice zaznaczające się w mentalności, w kulturze, obyczajowości?

— Rzecz jasna, że występują. Wynikają z różnych doświadczeń pokoleniowych. W środowisku białoruskim z satysfakcją obserwuję ruch odrodzenia świadomości narodowej z pełnym poczuciem obywatelskości w młodym pokoleniu, zwłaszcza w studenckich środowiskach białoruskich. Doskonałym wyrazicielem tych dążeń jest pan Eugeniusz Wappa z Białegostoku. Tym dążeniom należy się szacunek i określone wsparcie.

— Idea korzeni niczemu nie zaprzecza i niczego nie niszczy.

— Bynajmniej. Myślę, że młodym pokoleniom będzie łatwiej pogodzić dwa elementy: poczucie własnej tożsamości narodowej z przynależnością do państwa polskiego jako dobra wspólnego.

— Co w dzisiejszych warunkach decyduje o społecznej wartości i spójności wspólnot mniejszościowych?

— W pierwszej kolejności wymienilibym język, następnie historię, wyznanie, folklor. Czymś naturalnym wydaje się definiowanie jakiejś grupy poprzez jej kulturę i religię. Dla mnie właściwa problematyka mniejszości narodowych mieści się między dwoma przesłaniami papieskimi. Pierwsze z nich dotyczyło praw mniejszości narodowych, a drugie mówiło o niebezpieczeństwach nacjonalizmów. Powyższe moralne ujęcie problematyki mniejszości jest niezwykle istotne. Również z tego powodu, że przez minione 40 lat byliśmy przyzwyczajeni do traktowania wszelkich problemów, konfliktów w kategoriach politycznej instrumentalizacji. Zresztą kwestie wyznaniowe należą do najtrudniejszych w kontekście mniejszości. Wiążą się one z pewnymi zaszłością, by wymienić sytuację grekokatolików i niejakię kontrowersję między Kościołem unickim a prawosławiem. Musimy działać tak, by polityka, tam gdzie w grę wchodzi różne interesy, nie służyła politycznym kombinacjom.

— W dyskusjach na temat projektowanej decentralizacji państwa wiele uwagi poświęca się regionowi samorządowemu. Wolno się spodziewać, że wprowadzenie w życie tej nowej struktury administracyjnej będzie korzystne dla małych ojczyzn, zaowocuje pełniejszym rozwojem wartości materialnych i duchowych także grup etnicznych.

— Całym sercem jestem za tą zmianą, która jest dla mnie zmianą ustrojową. Dlatego powinna być zapisana w konstytucji. Samodzielność regionów sprzyja sile jednolitego państwa. Państwa regionów.

— Panie pośle, w ubiegłym roku uczestniczył pan w spotkaniach z Zarządem Głównym ZK-P i reprezentacją środowisk kaszubskich. Była to okazja, by bliżej zapoznać się z problemami, jakie nurtują naszą społeczność. Jak na tle innych grup etnicznych rysuje się obraz Kaszubów?

ZE ŚCIANY WSCHODNIEJ

— W moich oczach rysuje się bardzo dobrze. Jest w nim znacznie więcej barw jasnych niż w innych grupach, co zapewne wynika z długoletniego działania Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Dostrzegam u was klasyczny przykład pracy organicznej, pracy konsekwentnej, pomimo różnych trudności, oporów i przeszkód, tworzonych sztucznie w przeszłości także przez czynniki administracyjne i polityczne. Po prostu imponuje mi praca Zrzeszenia. Życzylibym sobie, aby Związek Górnośląski, którego jestem współtwórcą, brał przykład z pięknej działalności Zrzeszenia. Mam ogromny szacunek dla całej społeczności kaszubskiej. Oby to poczucie odpowiedzialności za dobro wspólne, jakim jest państwo polskie, cechujące Kaszubów, obejmowało coraz szersze kręgi mniejszości, zamieszkujących Polskę. Przypominam sobie ważne stwierdzenie prezesa Józefa Borzyszkowskiego, obecnego także na spotkaniu w Wieżycy, że Kaszubi do Polski nie należą, Kaszubi Polskę stanowią. W tym stwierdzeniu wyraża się głęboka mądrość, wynikająca z doświadczeń wielu pokoleń. Myślę, że również mniejszości narodowe powinny kierować się taką dewizą. Żeby nie do Polski należeć, ale Polskę stanowić, nie zatracając swego poczucia tożsamości, które wzbogaca nie tylko kulturę, ale w ogóle życie polskie.

— Jak Ślązacy odnoszą się do Polski regionów?

— Tak się złożyło, że najsilniejsze tendencje wspierające koncepcję Rzeczypospolitej regionalnej wyszły z tych dwóch regionów — Pomorza i Śląska. Złożyła się na to suma długoletnich doświadczeń i dokonań.

— Po epoce, w której kresy wschodnie ujawniły swą potęgę w kulturze, rodzi się może szansa odegrania pierwowzoplanowej roli przez zachodnie dzielnice Polski.

— Moim zdaniem nadszedł okres zharmonizowania wschodnich i zachodnich wektorów rozwoju. Nie ujmuję tego w ten sposób, że skończyła się jedna, a zaczyna druga epoka, w której bal będzie kto inny prowadzić. Jedno jest pewne, że należy dowartościować to najlepsze, co wypracowały zachodnie dzielnice kraju. Łącznie z Wielkopolską, gdzie obserwujemy zjawisko odradzającej się własnej tożsamości. Wszystkie te oddolne ruchy, dążenia i przeobrażenia są rodzajem wehikułu ciągnącego nas w upragnioną przyszłość. Mam tu na myśli przyszłość naszego kraju jako autentycznego członka Wspólnoty Europejskiej.

— Czy byłby pan za tym, by przyszedł Senat był reprezentacją mniejszości narodowych, areopagiem samorządu terytorialnego czy też izbą korporacji, skupiającą przedstawicielstwo różnych zawodów i instytucji?

— Nie byłbym za Senatem jako izbą mniejszości narodowych, nie wyolbrzymiałbym mniejszościowej problematyki. Widziałbym natomiast potrzebę bardziej skoordynowanego działania rządu na rzecz mniejszości narodowych. Celowe byłoby na przykład powołanie pełnomocnika na szczeblu rządowym do tych spraw. Komisja sejmowa jest jedynie organem przedstawicielskim. Istniejąca do tej pory międzyresortowa komisja ds. mniejszości narodowych podejmuje różne zadania. Ponieważ przypisano ją do jednego ministerstwa mamy do czynienia z nieco absurdalną sytuacją. Tym bardziej, że w skład komisji, która ma być organem doradczym rządu, wchodzi sześciu ministrów tegoż rządu. Powstaje pytanie, kto komu radzi. Wracając do Senatu. Myślę, że powinna to być izba ściśle współpracująca z Sejmem. Nie powinna określać się przez profil zawodowy czy mniejszościowy. Być może, że reprezentatywność regionalna byłaby tu majwiacsiwsza. Jeśli idzie o przedstawicielstwo mniejszości narodowych w parlamencie komisja nie wyklucza rozwiązania w wyniku których pewna pula mandatów w skali globalnej zostałaby w stosownych proporcjach przyznana mniejszościom narodowym.

Rozmawiał
Stanisław Pestka

Oddział Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego w Gdańsku skupia 90 członków. Towarzystwo powstało w 1956 roku w Białymstoku i tam też znajduje się siedziba Zarządu Głównego. Oddział w Gdańsku — początkowo jako koło — zawiązał się w 1967 roku. Działacze BTS-K twierdzą, że w Gdańsku i okolicach mieszka co najmniej 250 rodzin pochodzenia białoruskiego, ale znaczna część Białorusinów nie przyznaje się do swojej narodowości. Niektórym po prostu łatwiej żyje się „bez tych obciążeń”, ale i też wielu nie ma świadomości, że należy do wielkiej rodziny Białorusinów. Pobudzanie tej świadomości uważa się w tym środowisku za jedno z ważniejszych zadań.

Białorusini oceniają, że kondycja ich języka w Polsce jest znacznie gorsza niż dwadzieścia lat temu. Coraz mniej jest szkół, w których naucza się białoruskiego i coraz mniej dzieci i młodzieży chce się go uczyć. Stosunkowo nieźle białoruski trzyma się na wsiach Białostockich. Nadal jest często jedynym językiem starszego pokolenia. Nawet dobra znajomość języka nie zawsze jednak idzie w parze ze świadomością narodową. Jej brak, zdaniem działaczy BTS-K, wiąże się przede wszystkim z nieznajomością dziejów narodu białoruskiego. Nie ma w Polsce popularnych lektur o historii narodu. Te, które sporadycznie docierają do Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, są pisane z pozycji marksistowsko-leninowskiej.

Gdańscy Białorusini są głównie przybyszami z Białostockich, z terenów tzw. ściany wschodniej. Gdańsk przyciągnął ich jako ośrodek, w którym można zdobyć wyższe wykształcenie i atrakcyjną pracę. Tutaj jako naród nie odczuwają żadnej dyskryminacji, czy nietolerancji, gdańszczanie są dla nich serdeczni, wykazują „życzliwe zainteresowanie”. Bardzo sobie cenią kontakty z polskimi instytucjami i przedstawicielami władzy, np. spotkanie z wicewojewodą gdańskim Józefem Borzyszkowskim. Szeroka relacja o tym spotkaniu została zamieszczona w piśmie BTS-K „Hiba” (Niwa).

Podobnie jak wiele innych stowarzyszeń BTS-K przeżywa obecnie kryzys związany ze spadkiem aktywności społecznej. Nadal jednak w siedzibie towarzystwa przy Długim Targu, w tej samej kamienicy, gdzie przez wiele lat mieściła się redakcja „Pomeranii”, odbywa się wiele imprez kulturalnych. Organizuje się tutaj spotkania z białoruskimi naukowcami i pisarzami, kursy językowe — białoruskiego i angielskiego, lekcje historii Białorusinów. Tutaj także spotykają się członkowie zespołów — teatralnego i wokalnych. Działacze BTS-K martwią się, czy uda im się zachować dotychczasową siedzibę w centrum miasta przy wciąż wzrastających opłatach za czynsz.

Coraz częściej mówi się o powołaniu Centrum Kultury Białoruskiej, z siedzibą w Białymstoku i filiami w Gdańsku i Warszawie. Centrum byłoby wspólną platformą dla coraz bardziej zróżnicowanych środowisk białoruskich w Polsce, wśród których znaczną aktywność przejawiają wierni Cerkwi prawosławnej.

W obyczajowości białoruskiej dużą rolę odgrywa więzi pokrewieństwa oraz bliskie kontakty we wspólnocie, jaką jest rodzina wielopokoleniowa. Polacy, zdaniem Białorusinów, zamykają się w tzw. małych rodzinach i raczej sporadycznie utrzymują kontakty z dziadkami i innymi krewnymi.

Białorusini skarżą się na na nikły stan wiedzy Polaków o ich narodzie i jego problemach. Ostatnio nawet wiele się pisze o Białorusinach (np. przy okazji wizyty ministra spraw zagranicznych Krzysztofa Skubiszewskiego w BSRR), ale twierdzą, że trudno znaleźć artykuł napisany obiektywnie i bez merytorycznych błędów.

Przyznają, że w kształtowaniu opinii publicznej wiele zależy od nich samych. Od ich aktywności i zaangażowania w życie społecznym i politycznym. Istnieje już Białoruskie Zjednoczenie Demokratyczne. Najbliższe wybory parlamentarne będą sprawdzianem siły politycznej tej partii, a przede wszystkim jej wpływu wśród Białorusinów w Polsce.

Stanisław Janke

TATARSKA DIASPORA

Najwięcej Tatarów, których określamy polskimi, zamieszkuje w Gdańsku. Są to przede wszystkim byli mieszkańcy Wilna lub ich dzieci — rodowici gdańszczanie. Tych ostatnich jest coraz więcej. Mniejszą grupę stanowią dawni mieszkańcy ziemi nowogródzkiej. Decydujący głos we wszelkich sprawach tej społeczności należał zawsze do byłych wilnian, bądź do osób urodzonych już nad Motławą, lecz kontynuujących tradycje przedwojennej gminy muzułmańskiej w Wilnie. Inaczej jest w Szczecinie. Tamtejszą zbiorowość tatarską po wojnie tworzyli byli mieszkańcy Nowogródka, Słonima, Grodna i Wołkowyska. Spłatali się tam ciągle ze sobą tradycje dwóch przedwojennych gmin muzułmańskich: nowogródzkiej i słonimskiej. Jest tak do dziś. Na początku lat pięćdziesiątych Tatarzy stanowili duże i prężne skupiska także w innych miejscowościach na Pomorzu, takich jak Szczecinek i Wałcz. W dość szybkim czasie uległy one jednak rozkładowi. Znaczna część tamtejszych rodzin tatarskich przeniosła się do większych miast w kraju albo osiedliła się na Białostocczyźnie, obok swoich współplemieńców, nie czując się pewnie na Ziemiach Odzyskanych. Ci, co pozostali, ulegali w większości całkowitej asymilacji z otoczeniem. Jednak w obu tych miejscowościach spotkać możemy jeszcze pojedyncze osoby, które przyznają się do pochodzenia tatarskiego i twierdzą, iż nadal są wyznawcami islamu. Kilka rodzin tatarskich zamieszkujących inne miejscowości Pomorza Zachodniego utrzymuje kontakty ze swymi współplemieńcami z Gdańska i Szczecina.

W 1985 roku, w czerwcowym numerze „Pomeranii” przedstawiłem związki Tatarów z Pomorzem w przeszłości. Wspominałem też o powojennych dziejach tej ludności w naszym regionie. Pózwracając z niniejszą tematyką na łamy „Pomeranii” pragnę przedstawić przede wszystkim współczesny wizerunek tej społeczności.

Przez wiele lat mało kto słyszał o Tatarach polskich na Pomorzu. Wiedzieli o nich tylko najbliżsi sąsiedzi, koledzy ze szkoły i pracy. Wynikało to z faktu, że nie wyróżniali się niczym szczególnym w życiu codziennym. Żyli w dużym rozproszeniu, będąc zupełnie niewidocznymi na wielkim obszarze Trójmiasta czy Szczecina. Ich odmienną wyznaniową nie rzucała się nikomu w oczy. Nabożeństwa odbywali w mieszkaniach prywatnych, a jeśli ktoś pragnął spędzić święta muzułmańskie w większym gronie swych współplemieńców, wybierał się w strony białostockie. Tylko z nielicznych publikacji zamieszczanych w lokalnej prasie można się było dowiedzieć, że ludność ta zamieszkuje też i na ziemi pomorskiej. Trochę wia-

domości o nich dostarczyła wystawa „Tatarzy polscy”, jaką zorganizowała Biblioteka Gdańska PAN na początku 1985 roku. Usłyszano o nich więcej wraz z rozpoczęciem budowy meczetu w Gdańsku. Niestety, pierwsze informacje w prasie lokalnej i krajowej wywołujące niepotrzebną sensację przyniosły więcej szkody niż pożytku. Pomawianie, jakoby Libia miała budować meczet, jest tak niedorzeczne, że nie będę tego komentować.

Wraz z budową meczetu rozpoczął się nowy okres dziejów dla Tatarów polskich na Pomorzu. Odczuli to głównie Tatarzy z Gdańska. W ich mieście bowiem miała stanąć, po raz pierwszy budowana po wojnie, świątynia muzułmańska. Byli i są oni bardzo związani do Gdańska. Osiedlając się tu byli urzeczni jego pięknem. Prawdą jest, że przez wiele lat tęsknili do stron wileńskich, co było naturalne. Nie podjęli jednak nigdy decyzji o opuszczeniu Gdańska i przeniesieniu się do Białegostoku, tak jak czynili to ich współplemieńcy osiedleni w zachodniej części kraju, m.in. w Gorzowie Wlkp., Wrocławiu czy w Trzciance Lubuskiej. Gdańsk stał się dla wielu z nich miastem rodzinnym, niektórym zastąpił Wilno czy inne miejscowości dawnych polskich Kresów. Podobnie zrosili się ze swym miastem Tatarzy polscy w Szczecinie. I to miasto dla niejednego z nich stało się miastem rodzinnym. W nim kończyli szkoły, podejmowali wyższe studia, rozpoczynali pracę.

Obie społeczności tatarskie — Gdańska i Szczecińska — mocno tkwią na ziemi pomorskiej, integrując się z jej mieszkańcami, choć pełnej asymilacji nie będzie tak długo, jak długo pozostaną wierni swym tradycjom religijnym. Jako muzułmanów nie należy ich utożsamiać — co nieraz się czyni — z przebywającymi czasowo w Polsce wyznawcami islamu innej narodowości. Choć spotykają się z nimi na nabożeństwach w meczecie oliwskim, to jednak stanowią inną grupę, związaną ściśle z krajem. Starsi zawsze będą zwracać wzrok ku Wileńszczyźnie i Nowogródczyźnie, gdzie pozostały ich rodzinne siedliska, meczety i cmentarze. Młodzi odnajdują się w rzeczywistości, która ich otacza. Wielu czując się Polakami nie zapomina o swoim pochodzeniu czy wyznaniu. O tym, że czujemy się dziś Polakami — powiedzą — zdecydowali wcześniej nasi dziadkowie i rodzice, kiedy podjęli decyzję o opuszczeniu swym ziem, często bardzo bolesną, lecz nie było im obojętne pod czyją władzą będą mieszkać. Zdawali sobie sprawę, że Polska odchodzi z ich stron, a chcieli być nadal z nią związani.

Tatarzy polscy pozostają w stałych kontaktach ze swoimi współwyznawcami, czemu sprzyja meczet oliwski. Są im wdzięczni za pomoc okazaną w czasie jego budowy, boć przecież sami nigdy by go nie wybudowali. Wśród najbliższych pozostaną zawsze przedstawiciele ludów tureckich, posiadający ten sam rodowód. Stąd na uroczystość otwarcia meczetu w Oliwie, 2 czerwca 1990 roku, obok przedstawicieli dyplomatycznych z krajów muzułmańskich znalazła się delegacja Tatarów z Kazania.

Tatarzy polscy są za dialogiem muzułmańsko-chrześcijańskim. Pragną, aby wyznawcy tych wielkich religii żyli ze sobą w zgodzie i pokoju. Nie czynią zatem trudności nikomu, kto chciałby zażyć do ich meczetu. Przez te parę miesięcy zwiedziło go już wiele wycieczek szkolnych, studenckich czy indywidualnych osób zainteresowanych tą nową świątynią w Gdańsku.

Na zakończenie zacytuję fragment przemówienia ogłoszonego przez ordynariusza gdańskiego ks. Tadeusza Gocłowskiego podczas wspomnianej uroczystości otwarcia meczetu (cytuje za „Tygodnikiem Gdańskim” z 17 VI 1990 roku): „Zwracając się do drogich braci w islamie, ordynariusz gdański ks. Tadeusz Gocłowski nawiązał do słów, które wypowiedział Al-Afgani [patron meczetu — przyp. autora], że próba organizacji świata bez wartości religijnych przynosi człowiekowi wiele klęsk. »Tu w Gdańsku — mówił bp Gocłowski — trzeba podkreślić tę wartość, której nadano imię solidarność — w trosce o prawa człowieka, a wśród nich: prawo do wyznawania własnej religii i podtrzymywania tradycji z nią się wiążących«”.

Ali Miśkiewicz

Z DAŁA OD OLIMPU

FORAS GEORGIOS
przewodniczący Oddziału Gdynskiego
Towarzystwa Greków w Polsce

W województwie gdańskim mieszka około 300 Greków. Siedziba towarzystwa znajduje się w Gdyni, bo w tym mieście jest nas najwięcej. Grecy na Wybrzeżu to w 90 procentach byli marynarze. Większość z nas napłynęła tutaj po wojnie domowej w 1949 roku lub, tak jak ja, na początku lat pięćdziesiątych. Przeważnie pożeniśmy się z Polkami, a nasze dzieci to już osoby dorosłe, wykształcone. Wiele z nich jest oficerami marynarki i lekarzami. Oni specjalnie nie interesują się swoimi korzeniami. Wprawdzie w latach osiemdziesiątych niektórzy z młodych pragnęli wyjechać do Grecji, ale głównie po to, by poprawić swoją sytuację finansową.

Do niedawna prowadziliśmy naukę greckiego wśród naszych dzieci. Musieliśmy jednak przerwać nauczanie, bo nie mamy swojej siedziby. Z lokalu przy ul. Abrahama w Gdyni musieliśmy zrezygnować w ubiegłym roku, gdy we wrześniu właściciel domu zażądał od nas 12 mln zł miesięcznie czynszu. Teraz przeważnie spotykamy się u mnie w domu. Musieliśmy też

rozdzielić między sobą niewielki księgozbiór literatury greckiej. Z krajem mamy stałą łączność poprzez pismo dla marynarzy, które otrzymujemy co dwa tygodnie. Niektórzy z nas słuchają też greckiego radia. Organizujemy wspólnie z naszą ambasadą kolonie letnie dla dzieci w Grecji. W ubiegłym roku z Gdyni wyjechało pięcioro. Naszej obyczajowości i kultury w zasadzie już nie pielęgnujemy. Można powiedzieć, że niemal zupełnie przejęliśmy kulturę polską. Tylko nieliczni, i to sporadycznie, uczestniczą w życiu Kościoła grekokatolickiego, większość z nas jest obojętna religijnie. Parę elementów greckich zachowało się w naszych rodzinnych kuchniach, gdzie do dziś przyrządza się np. kawę czy ryż po grecku.

Nasze towarzystwo pamięta o święcie narodowym Grecji i ważnych rocznicach narodowych. Wspiera chorych i samotnych kolegów. Opiekujemy się też grobami naszych zmarłych.

Na Wybrzeżu jak i w całej Polsce żyjemy w rozproszeniu. W krajach zachodnich Grecy żyją w skupiskach, w dzielnicach miast, podobnie jak inne mniejszości narodowe. W Polsce czujemy się bardzo dobrze. W tym kraju nawet w ubiegłych dziesięcioleciach było bardzo dużo swobody, w przeciwieństwie do innych państw tzw. bloku komunistycznego. Nasi rodacy, którzy się tam osiedlili, zazdrościli nam tej swobody. Teraz możemy bez kłopotów podróżować do kraju ojczystego. Jedynym problemem naszego towarzystwa jest właśnie brak lokalu. Może uda się nam znaleźć sponsora, który będzie nas finansował i opłacał lokal. Nasi członkowie są w podobnej sytuacji materialnej jak większość Polaków i nikogo nie stać na płacenie wysokich składek. Mamy więc różne drobne kłopoty, ale jak się to mówi, życie nie jest dobre, jeśli nie ma w nim trudności.

Zanotował S.J.

UKRAIŃCY W GDAŃSKU

W wyniku przeprowadzonej w 1947 roku operacji wojskowej pod nazwą Akcja „Wisła” Ukraińcy zamieszkujący wówczas południowo-wschodnie tereny dzisiejszej Polski zostali przymusowo przesiedleni na tzw. Ziemię Zachodnią. Samej deportacji towarzyszyło wiele aktów prawnych dyskryminujących ludność ukraińską, w tym przepisy wykonawcze zabraniające osiedlania się Ukraińców w zwartych skupiskach, szczególnie na obszarach miejskich (zgodnie z obowiązującymi zarządzeniami w jednej wiosce można było osiedlić jedynie dwie rodziny ukraińskie).

Po październiku 1956 roku część ludności ukraińskiej opuściła swoje przymusowe siedziby, osiedlając się w miastach, bądź próbując powrócić do opuszczonych gospodarstw na terenach dzisiejszych województw przemyskiego, krośnieńskiego, nowosądeckiego lub rzeszowskiego. Grupy społeczności ukraińskiej można znaleźć w wielu miejscowościach, w tym również w Gdańsku; Sopocie i Gdyni oraz na terenie Żuław Wiślanych (Cyganek, Nowy Dwór, Ostaszewo, Stegny, Sztutowo). Przy braku dokładnej statystyki liczbę Ukraińców zamieszkujących aglomerację trójmiejską można oszacować na około 400 osób, natomiast w innych miejscowościach województwa gdańskiego na około 500 osób. Oprócz osób stale zamieszkujących w Trójmieście dużą grupę stanowi ucząca się młodzież ukraińska, przybywająca do Gdańska z sąsiednich województw: koszalińskiego, słupskiego, elbląskiego, olsztyńskiego i suwalskiego.

Ukraińcy zamieszkujący województwo gdańskie skupieni są w trzech organizacjach ukraińskich mających

swe koła w Gdańsku: Związku Ukraińców w Polsce, Związku Ukraińskiej Młodzieży Niezależnej oraz w Chrześcijańskim Bractwie Świętego Włodzimierza. Związek Ukraińców w Polsce powstał w 1991 roku jako niezależna organizacja na bazie kontrolowanego przez MSW Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego powstałego w 1956 roku (Gdańsk jest siedzibą tego ogólnopolskiego stowarzyszenia). Ośrodkiem życia społeczności ukraińskiej jest klub znajdujący się na parterze kamienicy przy Długim Targu 8/10.

Ukraińcy są członkami dwóch kościołów, w większości ukraińskiego Kościoła katolickiego (grecko-katolickiego), w mniejszości Kościoła prawosławnego. Nabożeństwa pierwszego z wyznań odbywają się w Oliwie w kościele Św. Jacka (nieдалеко Katedry Oliwskiej), drugiego w Cerkwi Prawosławnej we Wrzeszczu przy ul. Traugutta (nie opodal stadionu KS „Lechia”). Mówiąc o życiu społeczności ukraińskiej w Trójmieście należy pamiętać zarówno o lekcjach języka ukraińskiego organizowanych przy Związku Ukraińców w Polsce, jak o imprezach folklorystycznych odbywających się w Klubie Ukraińskim, czy też o działaniach tak nowatorskich, jak spektakle ukraińskiego teatru eksperymentalnego „Kontakt” lub występy kilku grup rockowych tworzonych przez młodzież ukraińską, próbującą zaprezentować swoją twórczość również środowisku polskiemu. Stałymi imprezami diaspory ukraińskiej w Trójmieście są coroczne „Jarmarki” odbywające się w połowie listopada oraz Festiwal Ukraiński mający miejsce raz na dwa lata w sopockiej Operze Leśnej. Najbliższy festiwal wraz z imprezami towarzyszącymi będzie można obejrzeć w końcu czerwca. W festiwalu wezmą udział soliści, zespoły muzyczne i grupy teatralne z Polski i Ukrainy. Występy będzie można obejrzeć na ulicach Gdańska, w Operze Leśnej, Ratuszu Staromiejskim i Klubie C14 w Gdańsku przy ul. św. Barbary 3. Tegoroczny Festiwal Ukraiński jest jedną z imprez, którą polskie Ministerstwo Kultury i Sztuki wspiera organizacyjnie, całe zaś przedsięwzięcie zgłosiło do harmonogramu imprez Rady Wspólnoty Europejskiej.

Krzysztof Figel
Roman Zahoroda

POMORZE JAKO POGRANICZE EUROPY BAŁTYCKIEJ

Henryk Galus

Rozważania na temat polskiego Pomorza jako pogranicza kulturowo-cywilizacyjnego Europy Bałtyckiej, a więc skutków styczności społeczeństw kulturowo odrębnych i samodzielných, to kwestia poznawcza o dużej subtelności, a jednocześnie mająca istotne znaczenie praktyczne. Związczą jeśli chce się spojrzeć na to z punktu widzenia rozpoczętych już w Europie procesów neointegracyjnych.

Dochodzi do nich obecnie, po długotrwałych i głębokich zjawiskach dezintegracji, spowodowanych przez toczące się w tym stuleciu głównie na naszym kontynencie dwie wojny światowe i przez dominujące tu dość długo dwa systemy totalitarne: hitlerowski i sowiecki. Zdołały one przynieść wielkie straty europejskiemu dziedzictwu kulturowemu i cywilizacyjnemu, a ich wyrównanie jest jeszcze ciągle zadaniem do wykonania.

Socjologiczne zagadnienia pogranicza kulturowo-cywilizacyjnego wydają się dzisiaj szczególnie interesujące ze względu na zintensyfikowanie się procesu filiacji i krzyżowania wzajemnych wpływów kultur etnicznych i narodowych w skali kontynentalnej, a nawet światowej. Dotyczy to również Europy i jej mniej lub bardziej wyodrębniających się regionów, w tym także regionu bałtyckiego.

Powiązania współczesnych kultur za pomocą nowoczesnych środków komunikacji i przekładu audio-wizualnego na różne języki recepcji oraz dzięki ogromnemu wzrostowi ruchliwości członków różnych zbiorowości państwowych, pomimo wciąż występujących jeszcze barier różnego typu, są już tak silne, że po części traci sens tradycyjne pojęcie pogranicza kulturowo-cywilizacyjnego jako wyniku styczności sąsiadujących ze sobą drobnych społeczeństw narodowych i grup etnicznych. Niemniej jednak pojęcie to jest nadal przydatne do socjologicznych analiz zbliżenia kulturowego narodów i ludów oraz zachowania przez nie tożsamości.

W istocie rzeczy bowiem zjawisko pogranicza kulturowo-cywilizacyjnego jest rezultatem istnienia odrębnych kultur narodowych i etnicznych, ich sąsiedztwa, wzajemnej styczności i przenikania się. Usycha tylko wraz z utratą tej odrębności społeczeństw lub ograniczeniem ich naturalnej styczności. Istnienie zatem pogranicza kulturowo-cywilizacyjnego zakłada tolerancję, a wyklucza niszczenie się wzajemne podmiotów tej sfery ludzkiej aktywności i twórczości, ich dziedzictwa i aktualnego potencjału kulturotwórczego.

PREDYSPOZYCJE DO ŚWIATA ZEWNĘTRZNEGO

Polskie Pomorze, obejmujące obszar przyległy do południowego Bałtyku u ujścia Odry i Wisły, czy szerzej biorąc — Wielkie Pomorze między Łabą a Niemnem, należy do względnie trwałych składników terytorium narodowego i państwowego Polski w ciągu dziesięciu wieków jej istnienia jako podmiotu politycznego w tej części Europy, która obecnie coraz częściej jest nazywana Europą Bałtycką¹. Jednak Pomorze stanowiło dotąd składnik państwowości pol-

skiej o najmniej chyba stałym i najbardziej kresowym charakterze. Było więc członem bodaj najczęściej i najdłużej wyłączanym w części lub w całości z polskiej struktury, a równocześnie poddawany wpływom wielu innych struktur polityczno-państwowych i kulturowych.

Obydwa cechy losów Pomorza, a więc kresowość i częste osłabienie związku politycznego z Polską, wiąże się w sposób oczywisty z nadmorskim charakterem tej krainy, która poprzez Bałtyk była najbardziej otwarta na szerokie kontakty ze światem zewnętrznym. Jednak niosły one ze sobą zarówno kulturowo-cywilizacyjne szanse, jak i zagrożenia utraty tożsamości i integralności z Polską.

Pod tym względem pozostałe krainy polskie, mające charakter kontynentalny, znajdowały się w korzystniejszej sytuacji. Dotyczy to także Wielkopolski i Śląska, wobec których działał od zachodu ten sam, co wobec Pomorza, czynnik niemiecki. Odcigał on te ziemie od Polski i wytwarzał strefę pogranicza niemiecko-polskiego na obszarze przekraczającym siedziby Słowian połabskich, z których do dziś pozostała już tylko mała enklawa Serbołużyczan.

Na południu wzajemne relacje między Śląskiem i Małopolską a Czechami i Słowacją można określić raczej jako stan równowagi z obopólnie wytwarzanym pograniczem kulturowym. Charakterystycznym przykładem tego jest Śląsk Cieszyński. Czynnikiem dodatkowym na tym pograniczu były pośrednie wpływy niemieckie z Austrii.

Na wschodzie natomiast stroną bardziej aktywną była Polska, która wytwarzała pogranicze kulturowe poza swoim terytorium narodowym, na ziemiach Ukrainy, Białorusi i Litwy. Przykładem tego jest głównie Lwowszczyzna i Wileńszczyzna. Na te procesy bezpośredniej styczności kulturowej nakładała się ekspansja rosyjska, sięgająca w okresie zaborów nawet do centrum Polski, do Mazowsza i Warszawy.

Istota sytuacji Pomorza polegała na jego strategicznym znaczeniu zarówno dla Polski, jak i dla wszystkich najbardziej znaczących podmiotów politycznych i kulturowych, czynnych w basenie Morza Bałtyckiego. Obydwa aspekty położenia i roli Pomorza w przeszłości i współcześnie zasługują na specjalne podkreślenie.

Pomorze stało się miejscem styku kilku wielkich formacji etniczno-kulturowych o silnie zaznaczonej odrębności. Należący do Słowian zachodnich Polacy oraz Wenedowie i Pomorzanie, z których do dziś pozostała enklawa Kaszubów, musieli znajdować modus vivendi z wszystkimi nacjami aktywnymi w strefie Bałtyku, a więc z wywodzącymi się ze wspólnego pnia Niemcami (dawniej Germanami) i Skandynawami (dawniej Normanami) oraz Bałtami, Karelami i Finami, a także z mającymi dostęp do Bałtyku Rosjanami — największą grupą Słowian wschodnich.

Pozycja Polski na Pomorzu była wynikiem działania dwóch czynników.

Pierwszy to zrozumienie przez władców i siły społeczne Polski znaczenia, jakie dla kraju miało posiadanie Pomorza, a jednocześnie predyspozycja i rozwinięcie zdolności społeczeństwa kraju do gospodarczego wykorzystania Bałtyku. Były to niestety słabe strony polskiej obecności na Pomorzu od narodzin państwowości polskiej w końcu X wieku aż do jej odrodzonego po zaborach bytu w 1918 r. i niemal po dzień dzisiejszy.

Drugi czynnik to zainteresowanie potęg gospodarczych i politycznych Europy północnej panowaniem

¹ J. Zaleski, Cz. Wojewódka, Europa Bałtycka. Zarys monografii gospodarczej, Gdańsk 1977.

na Bałtyku (dominium maris Baltici) i bezpośrednią ekspansją na polskie Pomorze oraz zdolność do urzeczywistnienia tego celu. Zainteresowanie zaś wynikało stąd, że Pomorze i jego największe miasta portowo-handlowe odgrywały ważną rolę w żegludze i handlu zarówno w kierunku: zachód—wschód (Europa zachodnia — Bałtia i Rosja), jak też na kierunku: północ—południe (Skandynawia — Europa środkowa i południowa).

HISTORYCZNE PODŁOŻE WIELOKULTUROWOŚCI

W rywalizacji o polskie Pomorze najczynniejsi byli Niemcy. Na ich korzyść działały akcje religijno-kulturowe (misje duchownych niemieckich i zakonu krzyżackiego w okresie chrystianizacji, ruchy protestanckie w dobie reformacji, uniwersytety niemieckie założone w Gryfii w 1456 r. i w Królewcu w 1544 r.). Równolegle biegła niemiecka ekspansja gospodarcza, której głównymi czynnikami były: dominacja niemieckiego związku miast — Hanzy — w handlu miast pomorskich w wiekach XIII—XVII, osadnictwo Niemców i koncentracja własności w rękach ludności niemieckiej.

Niemiecka walka o Pomorze często kroczyła drogą militarną i dyplomatyczną. Akcja ta rozwijała się najpierw dwuosiłkowo: z Brandenburgii w kierunku zdominowania organizmów państwowych Słowian połabsko-pomorskich na Pomorzu Zachodnim, z państwa zakonu krzyżackiego (1225—1525) i później z Prus Książęcych (1525—1618) w kierunku eliminacji słowiańsko-polskich struktur państwowych na Pomorzu Gdańskim. Po dynastycznym połączeniu zaś struktur w 1618 r. i zwłaszcza po utworzeniu Prus jako jednolitego państwa (1701) akcja była kontynuowana w sposób konsekwentny z Prus i zmierzała do objęcia w posiadanie całego Pomorza. Zostało to uwieńczone powodzeniem w rezultacie udziału Prus w trzech rozbiorach Polski w 1772 r., 1793 r. i w 1795 r., które przesądziły o losie Pomorza aż do 1918 r.

Następnie przez 20 lat trwała egzystencja części Pomorza w ramach Rzeczypospolitej Polskiej i Wolnego Miasta Gdańska, a części w składzie Niemiec. Włączenie w całości Pomorza do III Rzeszy niemieckiej w latach 1939—1945 było elementem agresji wobec całej Polski.

Niemalý udział w rywalizacji o polskie Pomorze na przestrzeni dziesięciu wieków miały również dwa państwa skandynawskie: Dania i Szwecja. Odbijało się to jednak w mniejszym stopniu na płaszczyźnie cywilizacyjno-kulturowej i ekonomicznej, niż militarnej i dyplomatycznej.

Wyprawy Normanów duńskich i szwedzkich do ujść Odry i Wisły są mało poznanym wątkiem dziejów Pomorza w dobie formowania się państwa polskiego. Nie można tu pominąć wysuniętej w historiografii hipotezy mówiącej o udziale Normanów w tym procesie, która co prawda została całkowicie odrzucona i nie jest brana pod uwagę w syntezach dotyczących początków państwa polskiego, ale kwestii tej nie można uznać za wyjaśnioną w sposób definitywny.

Dania i Szwecja uczestniczyły w rywalizacji o Pomorze Zachodnie aż po wiek XVII. Przejściowo władały częściami zaodrzańskimi tego obszaru. Szwecji nie zabrakło również na drugim krańcu Pomorza, w rywalizacji z Polską i Rosją o Inflanty i Kurlandię (Łotwę) w XVI—XVIII w.

Najbardziej znaczącym wątkiem było jednak zderzenie szwedzko-polskie w okresie zasiadania na tronie polskim trzech królów ze szwedzkiej dynastii Wazów, spokrewnionych z Jagiellonami: Zygmunta III Wazy (1587—1632), Władysława IV (1632—1648) i Jana Kazimierza (1648—1668). Pierwszy najazd szwedzki (1626—1629) zatrzymał się na Pomorzu i zakończył niepowodzeniem. Drugi (1655—1660) objął prawie cały kraj i przeszedł do historii Polski jako

„potop szwedzki”. Pozostawił on w pamięci zbiorowej długotrwały ślad agresji państwa zza Bałtyku, której odparcie zostało okupione dużymi zniszczeniami i stratami. Podobny skutek w mniejszej skali miały walki ze Szwedami w okresie wojny północnej (1700—1721), którą toczyli oni głównie z Danią, Saksonią, Prusami i Rosją.

W tym przeglądzie nie można pominąć epizodu francuskiego w okresie wojen napoleońskich. Chodzi o włączenie części Pomorza (Ziemi Chełmińskiej) do Księstwa Warszawskiego (1807—1815) i ustanowienie na ten czas Wolnego Miasta Gdańska.

Na wyniki walk polsko-niemieckich o Pomorze w dużym stopniu rzutowało wsparcie dla Polski ze strony Litwy, Rusi i Czech w wojnach z państwem zakonu krzyżackiego, z których najważniejsze to bitwa pod Grunwaldem w 1410 r. i wojna trzynastoletnia w latach 1454—1463. Później w zmaganiach Polski z Prusami o wpływy na Pomorzu ważną rolę odgrywała unia polsko-litewska. Dzięki niej wytworzył się na Litwie prężny ośrodek kultury polskiej w Wilnie, z uniwersytetem założonym w 1578 r. i istniejącym tam do 1939 r., aż do aneksji Litwy, podobnie jak Łotwy i Estonii, przez Związek Radziecki.

Aktem zewnętrznego wsparcia zabiegów Polski o odzyskanie Pomorza był udział wojsk ZSRR w wyzwolaniu Pomorza spod okupacji niemieckiej, a następnie poparcie jego włączenia w całości do Polski podczas rokowań zwycięskich mocarstw w Poczdamie w 1945 r. ZSRR jednak miał w zanadru inną alternatywę rozwiązania tej kwestii. Była to, nie dość jeszcze udokumentowana źródłowo, koncepcja utworzenia z Pomorza i Prus Wschodnich odrębnego państwa pod kuratelą ZSRR w celu odgrozdzenia Polski od Bałtyku, gdyby ZSRR nie udało się utrzymać Polski w sferze swoich wpływów². Nie musząc się do tego uciekać, ZSRR pozostał przy poparciu przyznania Polsce Pomorza w całości, ale sam uzyskiwał Prusy Wschodnie. Z Pomorza wywiozł zaś niemalą część majątku przemysłowego, a pozostawił stacjonujące wojska na ponad cztery dziesięciolecia w kilku ważnych punktach Pomorza (w rejonie Szczecina, Koszalina i Torunia).

Skutki rywalizacji o polskie Pomorze państw strefy bałtyckiej są wielorakie. Przede wszystkim trzeba wymienić prawie całkowite wyeliminowanie języka i kultury Słowian połabskich i pomorskich w Brandenburgii, w Meklemburgii i na Pomorzu Przednim (Vorpommern) oraz na Pomorzu Zachodnim już do połowy XVII wieku. Niemal równocześnie na obszarze między Wisłą a Niemnem wymarły języki i kultura trzech grup Bałtów — Prusów, Jaćwingów i Kurów, których ziemie stały się terenem osadnictwa niemieckiego, polskiego (z Mazowsza, Kujaw, Ziemi Chełmińskiej i Kociewia) i litewskiego.

Ze sceny dziejowej zeszło też wiele małych i dużych struktur państwowych, osadzonych na Pomorzu. Pod niemieckim naporem przestały istnieć struktury państwowe Słowian połabskich i pomorskich na Pomorzu Zachodnim. Natomiast na Pomorzu Gdańskim podobne struktury, dzięki układowi z Wielkopolską w 1282 r. w Kępnie, obrały drogę trwałej integracji z Polską. Do historii odeszły tak silne organizmy, jak państwo zakonu krzyżackiego, Prusy Książęce połączone z Brandenburgią w potęgę Prus — hegemonia Rzeszy niemieckiej od 1871 r. aż do jej upadku w 1945 r. Krótki żywot miało dwukrotnie Wolne Miasto Gdańsk, zarówno to pierwsze, napoleońskie (1807—1815), jak i drugie pod kuratelą Ligi Narodów (1920—1939).

Efektem drugiej wojny światowej jest całkowite odsunięcie Niemiec do linii Odry, za którą po 40-letnim istnieniu NRD (1949—1990) jako państwa zależnego od ZSRR, sąsiadem polskiego Pomorza stały się dwa landy zjednoczonych Niemiec: Meklemburgia-Pomorze Przednie (Mecklenburg-Vorpommern) i Brandenburgia (Brandenburg). Natomiast na drugim krańcu Pomorza, za Warmią i Mazurami, sąsiadami zostały: Prusy Wschodnie przemienione w obwód kaliningradzki Federacji Rosyjskiej oraz za-

² T. Bolduan, Republika kaszubska, „Pomerania” nr 5 z 1988 r., s. 24—25.

anektowane przez ZSRR w 1940 r. republiki Litwy, Łotwy i Estonii, które obecnie z determinacją walczą o swoją niepodległość.

Historyczne tło wątków wielokulturowości Pomorza jest zatem niezwykle rozległe. Stanowią one ważny składnik dziedzictwa kulturowego Pomorza i istotny dla kształtowania współczesnego oblicza tego regionu. Jednak interpretacja tych różnorodnych procesów, dokonujących się w przeszłości i współcześnie, nasuwa wiele trudności.

SOCJOLOGICZNA INTERPRETACJA ZNANIECKIEGO

Dla analizy tych procesów istotne znaczenie ma interpretacja sformułowana przez wybitnego socjologa polskiego Floriana Znanieckiego w jego szkicu z początku lat trzydziestych pt. „Socjologia walki o Pomorze”, wydanym w 1935 r. przez Instytut Bałtycki w Toruniu w języku polskim, francuskim i angielskim⁸. Pomorze, wokół którego narastał konflikt niemiecko-polski w przededniu drugiej wojny światowej, jak rzadko który z europejskich obszarów pogranicza kulturowo-cywilizacyjnego i rywalizacji państw, doczekało się odrębnej analizy socjologicznej.

Punktem wyjścia rozważań Floriana Znanieckiego było bardzo szerokie ujęcie istoty walki o Pomorze z punktu widzenia socjologii. „Socjologicznie rozpatrywane każde terytorium — pisał Znaniecki — odgrywa rolę elementu grupowego, wartości zbiorowej, którą taka lub inna grupa społeczna posługuje się jako narzędziem w swym wspólnym życiu kulturalnym. Ludność Pomorza niekiedy tworzy w dziejach oddzielną grupę żyjącą własnym życiem, choć związanym z innymi grupami; częściej jednak jest ona materialem społecznym i współuczestnikiem innych, obszerniejszych grup. W walce o Pomorze chodzi więc jednocześnie o to, czyją wartością grupową ma być terytorium pomorskie oraz w skład jakiej grupy wejdzie ludność Pomorza, czy jako oddzielna całość, czy jako jedna z części integralnych”.

W dalszych rozważaniach jednak Znaniecki odszedł od tak szeroko postawionego zagadnienia i skoncentrował swoje analizy na problemie walki o Pomorze w ramach antagonizmu polsko-niemieckiego.

Interesująca wydaje się zwłaszcza próba socjologicznych dociekań Znanieckiego nad przyczynami i mechanizmami, które zaważyły na tym, że ludy zachodniosłowiańskie, zwłaszcza żyjące na zachodnim wybrzeżu południowego Bałtyku, z Pomorzanami włącznie, nie oparły się ekspansji ludów germańskich, podobnie jak na wschodnim wybrzeżu południowego Bałtyku tej germańskiej ekspansji ulegli także Prusowie, Jaćwingowie i Kurowie, a częściowo także Litwini, Łotysze i Estończycy, natomiast ekspansję tę powstrzymały kontynentalne ludy polskie, uformowane w naród, który potem wprowadził również uległ zaborszym sąsiadom, ale przetrwał i odrodził się ponownie do samodzielnego bytu państwowego.

Interpretacja tego procesu, która w ujęciu Znanieckiego polega na stwierdzeniu ścierania się w obrębie każdej grupy ludowej, narodowej czy państwowej przeciwstawnych sił ekspansyjnych i ekskluzywnych, a w obrębie sił ekspansyjnych — tendencji konstruktywnych (wspomagających obce kultury) bądź destruktywnych (niszczących obce kultury) oraz istnienia zależności między powstaniem tych sił i tendencji a strukturą społeczną i systemem wartości kulturowych grup ludowych, narodowych i państwowych — jest może zbyt generalna, a zatem i uproszczona. Niemniej jednak stanowiła próbę zrationalizowanej analizy antagonizmu polsko-niemieckiego, ujęcia go w zobiektywizowanych ka-

tegoriach sił społecznych, które ulegają historycznej przemienności. A więc nie stanowią jakiegoś fatum, które zdawało się tkwić w potocznej świadomości i w założeniu części opracowań historycznych. To przesłanie zawarte w szkicu Znanieckiego wydaje się być aktualne do dziś.

Zwraca też uwagę sformułowana tam zadziwiająco trafna diagnoza Znanieckiego dotycząca tendencji w stosunkach polsko-niemieckich. Dopuszczała ona konflikt, ale i przewidywała możliwą klęskę ekspansji destruktywnej Niemiec w wyniku przeciwstawienia się jej szerokiego układu sił społecznych wielu narodów. Nie wykluczała też możliwości uniknięcia konfliktu, związanej głównie z szansą wyłonienia się w samych Niemczech sił konstruktywnych, przeciwstawnych siłom destruktywnym.

Godne uwagi jest również to, że w swoich rozważaniach, wykraczających poza problematykę Pomorza, a dotyczących fundamentalnych kwestii ontologii narodu i państwa polskiego, Florian Znaniecki przysłał Polskę wiązał z właściwą jej kulturze narodowej — zdaniem tego socjologa — zdolnością do ekspansji konstruktywnej, dla której potrzebne było usytuowanie Polski nad Bałtykiem. „Polska — pisał Znaniecki — nie tylko dąży do zatrzymania Pomorza, lecz do jego zużytkowania dla swobodnej ekspansji politycznej i ekonomicznej poprzez Bałtyk. Ma ono więc nie tylko ogólne znaczenie jednego z odłamów terytorium państwowego (które w swej mniejszej lub większej całości jest materialnym warunkiem bytu państwa), lecz także gra rolę specjalnego narzędzia dla rozwoju grupy państwowej. Dążenia ekspansywne Polski, którym Pomorze służy, nie mają charakteru terytorialnego w ogóle, ani nie są zwrócone przeciw Niemcom w szczególności; chodzi tu po prostu o rozszerzenie styczności i wytworzenie wpływów zamorskich”⁹.

Podobnie tę kwestię widzi współczesny historyk polski, Stanisław Salmonowicz. „Antagonizm dziejowy polsko-niemiecki — pisze ten autor pracy o dziejach Prus — jeżeli pominąć wydarzenia wczesnego średniowiecza, był nade wszystko antagonizmem polsko-pruskim, a przekształcił się definitywnie w antagonizm polsko-niemiecki wówczas, kiedy to Prusy sięgnęły po rolę hegemonu w zjednoczonej od 1871 r. Rzeszy niemieckiej, przekazując jej, by tak się wyrazić, swój antypolski dorobek. Wystarczy jeden rzut oka na mapę rozwoju terytorialnego Prus, by zrozumieć, dlaczego dzieje pruskie są nierozdzielnie związane z polskimi. Jeżeli zaś kanclerz Bismarck, pierwszy mąż stanu zjednoczonych Niemiec, a zarazem klasyczny reprezentant pruskiej racji stanu, lubił mówić, iż linią życia dla Prus jest linia z Berlina do Królewca, to należy pamiętać, iż linia ta przecinała podstawową linię życia państwa polskiego — Krakowa i Warszawy do Torunia i Gdańska”¹⁰.

Warto też przypomnieć, że właśnie w szkicu pt. „Socjologia walki o Pomorze” Znaniecki dopatrywał się istnienia w Polsce przesłanek do powstania nowej żywotnej ideologii socjalnej i atrakcyjnej ideologii harmonijnego współżycia narodów, otwierającej im szanse uczestnictwa w kulturze i postępie niezależnie od liczebności, a więc wszystkim narodom: wielkim, średnim i małym.

Do tej problematyki Znaniecki powrócił w pewnym zakresie w pracy z końcowego okresu swej twórczości, w wydanej w 1952 r. publikacji pt. „Modern Nationalities”, w której ujął także doświadczenia związane z wynaturzeniem nacjonalizmu w czasie drugiej wojny światowej. Jednak przede wszystkim została tam rozwinięta koncepcja narodu jako grupy kulturowej. Opiera się ona na zasadzie decydującej roli wspólnot społeczno-kulturowych dla rozwoju społeczeństw i rywalizacji między społeczeństwami przyszłości w dziedzinie twórczości kulturowej¹¹.

(cdn)

⁸ Tamże, s. 31.

⁹ S. Salmonowicz, Prusy. Dzieje państwa i społeczeństwa. Poznań 1987, s. 7—8.

¹⁰ Z. Dulcowski, Florian Znaniecki, Życie i dzieło, Poznań 1984, s. 313—321.

¹¹ F. Znaniecki, Socjologia walki o Pomorze, Toruń 1935.

O REGIONALIZACJI I POMORZU

Józef Borzyszkowski

Regionalizacja kraju, inaczej mówiąc decentralizacja władzy w państwie i związane z nią problemy stanowią od wielu miesięcy przedmiot coraz powszechniejszej dyskusji. Jednakże wskutek żywiołowości tej dyskusji, braku pełnej informacji o zamierzeniach i działaniach rządu, to ważne, decydujące o przyszłości kraju zadanie — przygotowanie optymalnej koncepcji regionalizacji państwa — postawione zostało nieco na głowie. Chodzi mi o to, że część dyskutantów ograniczyła się w zasadzie do niektórych tylko aspektów sprawy, kładąc nacisk głównie na nowy podział terytorium państwa. Wzbudziło to obawy przed nowymi odgórnymi działaniami, społecznymi konfliktami, a przede wszystkim kosztami. Istotą zaś sprawy jest ustalenie funkcji, jakie pełnić ma region w państwie i jakie mają być kompetencje władzy rządowej i samorządowej na szczeblu nie tylko regionalnym, a zarazem jakimi środkami przy realizacji określonych zadań powinna dysponować władza każdego szczebla (pytanie: ile szczebli?). Jest to więc zadanie przebudowy ustroju scentralizowanego państwa, mimo powstania samorządu lokalnego na szczeblu podstawowym, jakim są gminy.

Idea regionalizacji znalazła podatny grunt w środowiskach działaczy samorządu gminnego, ich delegatów tworzących sejmiki wojewódzkie, ograniczone w swych kompetencjach jedynie do organów odwoławczo-opiniujących, a zarazem obserwujących trudności funkcjonowania państwa także w administracji centralnej i wojewódzkiej. Ma ona tam swoich najgorętszych zwolenników, jak i nieraz przeciwników. Dają tu o sobie znać zróżnicowane doświadczenia ustrojowe i społeczno-gospodarcze ziem stanowiących współczesną Rzeczpospolitą. Większe zniecierpliwienie, większą aktywność wykazują społeczności regionalne ziem Polski zachodniej i północnej. Poza środowiskami samorządowymi szczególnie gorącymi zwolennikami regionalizacji są nowe i dawne organizacje regionalne, takie jak Związek Górnośląski, Unia Wielkopolska czy Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie. Te podstawy szczególnie wyraźnie prezentują między innymi aktywni reprezentanci samorządów województw gdańskiego i działacze Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, którym bliska jest idea regionalizacji czy krajowości precyzowana wielokrotnie w przeszłości przez Lecha Bądkowskiego. Nic więc dziwnego, że właśnie w Gdańsku przedstawiciele Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego i Sejmiku Samorządowego Województwa Gdańskiego zorganizowali pierwsze szerokie seminarium na temat „Problemy regionalizacji kraju”.

Organizatorzy seminarium pragnęli doprowadzić do publicznej rozmowy znawców — teoretyków i praktyków — idei regionalizacji: przedstawicieli środowisk naukowych, działaczy regionalnych i samorządowych oraz reprezentantów rządu z wiceministrem prof. Jerzym Kołodziejskim na czele, przewodniczącym powołanej przez premiera Tadeusza Mazowieckiego komisji ds. nowego podziału terytorialnego kraju. Od dawna bowiem przekonani jesteśmy, że tak wielkie i trudne zadanie jak regionalizacja kraju nie może być rozwiązywane jedynie w gabinetach naukowych

czy rządowych. Ostateczna koncepcja musi mieć społeczne poparcie.

Zaproszonym na 25 października 1990 roku do gmachu UW w Gdańsku zaproponowano, w postaci krótkich referatów i wystąpień, następujący program dyskusji: Rola społeczna samorządu terytorialnego — doświadczenia przeszłości i teraźniejszość — referował Roman Wapiński z Gdańska; Szansa Rzeczypospolitej — struktury kulturowe — mgr inż. arch. Wojciech Czech, Katowice; Gospodarcze aspekty regionalizacji — prof. Bohdan Gruchman, Poznań; Koncepcja regionalizacji kraju w pracach komisji rządowej — prof. Jerzy Kołodziejski; Zagadnienia regionalizacji kraju a życie polityczne w kontekście modelu organizacji państwa — mgr Grzegorz Grzelak, Gdańsk. Program został wzbogacony wystąpieniem Lecha Mażewskiego na temat — Pozycja prawno-ustrojowa polskiego regionu, oraz zespołu Artura Kostarczyka — Identyfikacja struktury terytorialnej Polski (z perspektywy historyczno-kulturowej). Zadanie sformułowania końcowego komunikatu powierzono Lechowi Mażewskiemu, reprezentującemu tworzące się Pomorskie Centrum Samorządowe i Piotrowi Buczkowskiemu, marszałkowi Sejmiku Wielkopolskiego.

W seminarium wzięło udział około 100 osób, reprezentujących prawie cały kraj. Aby ułatwić dalszą dyskusję o regionalizacji kraju opublikowano wystąpienia i referaty uczestników seminarium.

Gdańskie seminarium spełniło w znacznej części zakładane zadanie. Uczestniczący w nim przewodniczący Komisji Rządowej zaprosił do udziału w jej pracach przedstawicieli środowiska samorządowego. Na posiedzeniu w Warszawie przyjęto propozycję, by w Gdańsku powstał i podjął pracę społeczny zespół samorządowo-rządowy, który opracuje gdańską, a raczej gdańsko-pomorską, wizję regionu. Zespół ten podjął pracę w styczniu 1991 roku. Chodzi o jak najlepsze poznanie i przedyskutowanie wszelkich koncepcji re-

gionalizacji kraju, a zarazem o opracowanie opinii, które wspomogą działania zespołu rządowego. Jednocześnie zespół, wsparty działaniami społecznymi i badaniami socjologicznymi, ma nakreślić w miarę optymalny ustrój i granice najbliższego nam regionu — Pomorza Wschodniego lub Nadwiślańskiego.

Idea regionalizacji znajduje oparcie w uzewnętrznionym tuż po gdańskim seminarium ruchu społecznym, który przyjął nazwę Związek Pomorski. Tworzą go przedstawiciele samorządów i Komitetów Obywatelskich województwa gdańskiego i sąsiednich, działające Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, reprezentanci środowisk politycznych — Towarzystwa Młoda Polska, Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego i Kongresu Liberalno-Demokratycznego oraz innych, których łączą ideały solidarności oraz duchowy sojusz na rzecz Gdańska i regionu. Zebranie inauguracyjne działalności Związku Pomorskiego miało miejsce 10 listopada 1990 roku w Gdańsku.

Sama nazwa Związek Pomorski i idee regionalizacji kraju, budowania regionu pomorskiego, związane są z postacią Lecha Bądkowskiego. Jego przemyślenia i koncepcję regionalizacji, ideę krajowości zawiera publikacja pt. „Pomorska myśl polityczna” (1990), stanowiąca tom 2 Pism Lecha Bądkowskiego, wydanych w wydawnictwie „Arkun”. Autorem interesującego wstępu do tegoż tomiku jest Tadeusz Bolduan. Jestem przekonany, że dotychczasowe publikacje prasowe, praca „Pomorska myśl polityczna” Lecha Bądkowskiego stanowią dobry punkt wyjścia do szerszej działalności współtwórców Związku Pomorskiego.

W komunikacie prasowym z I seminarium gdańskiego zapowiedziano zorganizowanie następnej sesji. Zorganizowała ją Komisja Regionalna Sejmiku Krajowego wraz z Sejnikiem Górnośląskim w Katowicach 25 stycznia 1991 roku. Referaty zaprezentowali: ks. prof. Henryk Skorowski — Antropologiczno-etyczne aspekty regionalizmu; prof. Marek Elżanowski — Regionalizm — zahamowanie czy szansa rozwoju; dr Anna Łabno-Jabłońska, dr Ewa Gdulewicz i doc. dr Karol Podgórski — Regiony w rozwiązaniach konstytucyjnych wybranych krajów Europy. Dyskusja wykazała, jak wiele nieporozumień nagromadziło się wokół problematyki regionalizacji, jak ważna jest działalność informacyjna.

W okresie między październikowym seminarium w Gdańsku a styczniową sesją w Katowicach zaszły olbrzymie zmiany polityczne. Na prezydenta Rzeczypospolitej wybraliśmy Lecha Wałęsę, a on z kolei na premiera nowego rządu desygnował jednego z liderów gdańskich liberalów — Jana Krzysztofa Bieleckiego.

Prezydent Lech Wałęsa już w czasie kampanii prezydenckiej bardzo mocno akcentował potrzebę budowania samorządnej Rzeczypospolitej, wzmocnienia samorządów lokalnych i stworzenia szczebla regionalnego władzy samorządowej oraz administracji rządowej. Jako prezydent RP wyraził ideę regionalizacji kraju poprzez utworzenie w Urzędzie Prezydenckim specjalnego zespołu i powołanie na stanowisko ministra stanu ds. samorządu lokalnego Grzegorza Grzelaka, marszałka Sejmiku Gdańskiego i wiceprzewodniczącego Sejmiku Krajowego należącego także do społeczności zrzeszonej.

Premier Jan Krzysztof Bielecki i środowisko, z którego się wywodzi, od dawna utożsamiają się z ideą regionalizacji, z różnymi formami samorządności, z Europą regionów i silną pozycją Polski we wspólnocie europejskiej, zwłaszcza krajów i miast nadbałtyckich. Premier J. K. Bielecki powołał 15 marca 1991 roku nowy zespół do opracowania koncepcji zmian w organizacji terytorialnej państwa. Przewodnictwo zespołu powierzył Jerzemu Sulimierskiemu — generalnemu dyrektorowi URM. Jego zastępcami zostali prof. Marek Elżanowski z Uniwersytetu Warszawskiego, wicewojewoda gdański Józef Borzyszkowski i marszałek Sejmiku Katowickiego Józef Buszman. W 30-osobowym zespole znaleźli się profesorowie: Andrzej Piskozub z Gdańska i Michał Kulesza z Warszawy oraz przedstawiciele Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego i Związku Górnośląskiego, a także inni reprezentanci nauki i rządu, związków gmin i towarzystw regionalnych. Komisja zakłada intensywną

współpracę ze wszystkimi zainteresowanymi ośrodkami i grupami społecznymi, parlamentarzystami i reprezentantami Urzędu Prezydenta RP. Tak szeroka reprezentacja wynika z założenia, iż koncepcja nowego ustroju terytorialnego państwa nie może być czymś narzuconym, ale stanowić musi wynik współdziałania i porozumienia wszystkich zainteresowanych.

Regionalizacja Polski ma być jednym z elementów zmian w kierunku decentralizacji i demokratyzacji kraju. Chodzi o to, aby przez utworzenie terytorialnych ośrodków decyzyjnych, realizujących określone funkcje w regionach, czyli na obszarach o dużej powierzchni i znacznej liczbie ludności, a stanowiących terytoria względnie jednolite z punktu widzenia gospodarczego, społecznego i kulturowego, umożliwić prowadzenie stosownej do problemów i potrzeb danego regionu samodzielnej polityki gospodarczej, społecznej i kulturalnej.

Zespół dla celów roboczych dokona inwentaryzacji problemów wraz z alternatywnymi propozycjami rozwiązań, rozstrzygnięcie których jest konieczne dla wypracowania zarysu wstępnych założeń nowego ustroju terytorialnego Polski. Wspólne rozwiązania powinny doprowadzić w przyszłości, nie wcześniej jednak, jak się wydaje, niż z przyszłymi wyborami do samorządów terytorialnych, do utworzenia w skali kraju kilkunastu regionalnych centrów decyzyjnych. Przy czym nie oznacza to koniecznie likwidacji lub zmiany granic obecnie istniejących województw jako jednostek podziału terytorialnego. Można bowiem założyć, że to województwa stanowią będące części składowe przyszłych regionów.

Komisja zakłada także, że kompetencje regionalnych centrów decyzyjnych mogą być różne w zależności od charakteru i możliwości regionu oraz woli społeczności regionalnych. Możliwe są co najmniej trzy warianty.

Pierwszy wariant wyraża się w konstrukcji regionu funkcjonalnego. Regionalne centrum decyzyjne nie ma kompetencji generalnej, jak w przypadku regionów innych typów, a jedynie kompetencje szczególne, ograniczone do prawa realizacji jednego lub kilku zadań. Jego organem wykonawczym jest odpowiedni terenowy organ administracji rządowej. Drugi wyraża się w konstrukcji regionu samorządowego. Regionalne centrum decyzyjne posiada wówczas kompetencję generalną i własny aparat wykonawczy. Trzeci wariant, wyraża się w konstrukcji regionu autonomicznego. Posiada on także kompetencję generalną i własny aparat wykonawczy. Podstawowa różnica między regionem autonomicznym a samorządowym sprowadza się do tego, że regiony autonomiczne posiadają uprawnienia ustawodawcze, a zakres ich samodzielności określa konstytucja a nie ustawy zwykłe, jak to ma miejsce w przypadku regionów samorządowych.

Komisja przyjmuje, iż wielowariantowość powinna stanowić także punkt wyjścia do dyskusji o wymiarze przestrzennym regionu. Jednym z czynników decydujących o granicach regionów mogłaby być siła ciążenia i oddziaływania największych w danej części kraju miast. W tym kierunku szły przede wszystkim dotychczasowe prace, których owoc — studialne wersje — zostaną wkrótce przedstawione zainteresowanym do wykorzystania. W grę ponadto mogłyby wchodzić czynniki identyfikujące dany region, np. historyczne, kulturowe. Trzecim wreszcie elementem byłaby chęć i wola współpracy sąsiadujących jednostek terytorialnych — gmin, województw — w ramach szerszych struktur regionalnych.

W przypadku wybrania wersji dużych przestrzeni regionów powstanie problem szczebla pośredniego między regionalnym szczeblem decyzyjnym z gminą. Istnieją tu różne możliwości, zarówno terytorialne, jak i kompetencyjne.

Na obecnym etapie pracy komisja chciałaby, przedstawiając robocze, wstępne założenia, poznać opinię i wolę wszystkich zainteresowanych i dopiero na tej podstawie określić dalszy tok postępowania. W tym celu komisja zwraca się do organów administra-

cji rządowej stopnia wojewódzkiego, sejmików samorządowych, towarzystw regionalnych, wszystkich rad gmin z prośbą o udzielenie odpowiedzi na trzy pytania:

1. Czy, dlaczego, w jakim kształcie ustrojowym (wariant) i w jakim zakresie popierają lub nie samą ideę regionalizacji.

2. Jakie województwa w całości lub części chcą ze sobą podjąć współpracę w zakresie przykładowo podanych problemów, a także w innych, o wymiarze ponadwojewódzkim.

3. Jak wyobrażają sobie zasięg terytorialny, ustrój i kompetencje szczebla pośredniego między gminą a regionalnym centrum decyzyjnym.

Przyjmując, że do końca kwietnia nadejdą odpowiedzi, komisja przewiduje jeszcze w czerwcu pierwsze dyskusje nad wynikami tego sondażu w skali kraju.

Na bazie tych pytań-problemów trzeba będzie przeprowadzić dodatkowe badania, przynajmniej na terenach pogranicznych poszczególnych regionów, by poznać postawy lokalnych społeczności. Jest to zadanie przede wszystkim dla socjologów.

Rząd J. K. Bieleckiego stara się tworzyć warunki sprzyjające oddolnemu kształtowaniu regionów, na drodze współpracy i porozumień gmin czy też współdziałania urzędów, a przynajmniej wydziałów polityki regionalnej sąsiednich województw. Na naszym terenie powstała już Unia Gmin Pomorza Wschodniego. Pozostają do rozstrzygnięcia ważne problemy: pierwszy — ile regionów powstanie na Pomorzu i drugi — jak terytorialnie będzie wyglądał ten region, który obejmie Gdańsk, Kaszuby, Kociewie i Żuławy.

Zanosi się na to, że na Wielkim Pomorzu powstaną 2—3, a może i 4 regiony. Obok Pomorza Wschodniego i Zachodniego z tego pierwszego wylaniają się regiony: mazursko-warmiński i kujawsko-chełmińsko-dobrzyński z metropoliami w Toruniu i Bydgoszczy. Dla Kaszubów ważne jest to, by całe Kaszuby znalazły się w jednym regionie. Nie jest to jednak w stu procentach możliwe, bowiem na Pomorzu Zachodnim, poza województwem słupskim, które ciąży ku współpracy z Gdańskiem (podobnie jak elbląskie), można też spotkać, na szczęście, liczące się grupy świadomych swojej tożsamości Kaszubów (np. w Koszalińskim). Oni to mogą ułatwiać zakorzenienie się powojennym pokoleniom tej ziemi w jej starej tradycji kaszubsko-pomorskiej i kształtować świadomość jedności, wspólnoty ziem i ludzi wielkiego Pomorza.

Delikatnym problemem jest przynależność regionu kujawsko-chełmińsko-dobrzyńskiego z Bydgoszczą i Toruniem. Oba te ośrodki i województwa w przeważającej części ich terytorium i społeczności od wielu pokoleń budowały wspólnotę pomorską. Toruńskie w czasach I Rzeczypospolitej (Prusy Królewskie) i w okresie zaboru było ważną częścią i ośrodkiem Pomorza Nadwiślańskiego, a Bydgoszcz przez kilka lat była stolicą województwa pomorskiego w II Rzeczypospolitej. Do dziś wychodzi w Bydgoszczy organ prasowy „Gazeta Pomorska”. Jeżeli zwycięży przekonanie o zbudowaniu np. 12 regionów, wówczas interesujący nas region Pomorze Wschodnie lub Nadwiślańskie obejmie tereny nie tylko województw elbląskiego, słupskiego i gdańskiego. Ale o tym muszą zdecydować sami zainteresowani — gminy i ich reprezentacje.

Polacy niecierpliwie czekają na wejście Polski do europejskiej wspólnoty. Większość jednak zapomina, że na drodze do tej wspólnoty musimy także poradzić sobie z upodmiotowieniem regionów. Na Pomorzu możemy mówić o ponadwojewódzkiej, regionalnej tożsamości — ogólnopomorskiej i kaszubsko-pomorskiej, a także pomorsko-chełmińskiej. To duży kapitał w procesie regionalizacji.

Społeczeństwo polskie jest zmęczone, ale zarazem gotowe wykazać dalszą cierpliwość jeśli nowy model funkcjonowania społeczno-gospodarczego i polityczno-kulturowego państwa będzie klarowny i przekonujący. Jeśli większość obywateli RP znajdzie w idei regionalizacji możliwość bardziej podmiotowego, stabilnego, mniej uciążliwego życia, program ten zakończy się sukcesem. ■

Z GDAŃSKIEJ PERSPEKTYWY (I)

W STRONĘ WIELKIEGO POMORZA

Andrzej Piskozub

Z gdańskiej perspektywy... Tak zatytułowałem jeden z artykułów sprzed trzech lat. Wyjaśniłem tam, jak pojmuję rolę, znaczenie i symbolikę takiej perspektywy. Tłumaczy to, dlaczego używam tego samego sformułowania jako nadtytułu tutaj, dla trzech tekstów związanych wspólną tematyką. Jest nią rola Gdańska i jego regionu w trzech kręgach powiązań: wewnątrzkrajowym, odnoszącym się do regionalizacji Polski, międzynarodowym, dotyczącym regionalizacji Europy i — last but not least — morskim, wyznaczonym zasięgiem promieniowania Gdańska i Pomorza Gdańskiego szlakami żeglugi do zamorskich portów.

Winston Churchill pół wieku temu w podobny sposób wyznaczył trzy kręgi, w jakich uwikłane są sprawy Anglii: w jednym — wiążącym ją z jej byłym imperium kolonialnym, w drugim — wspólnotą języka łączącym Anglię ze Stanami Zjednoczonymi, wreszcie w trzecim — więzami wspólnej tradycji cywilizacyjnej łączącym Anglię z kontynentem europejskim. Spróbujmy odnieść podobny wzorec powiązań do spraw gdańsko-pomorskich.

Regionalizacja Polski staje się nakazem chwili. W kampaniach wyborczych 1990 roku stawiano ją jako postulat do szybkiej realizacji. Są głosy, że nastąpić to powinno jeszcze w 1991 roku, inne odkładają tę zasadniczą przebudowę terytorialną Polski na później, w każdym jednak razie uznając, że trzeba ją przeprowadzić przed przystąpieniem Polski do zjednoczonej Europy.

Te dwie sprawy wiążą się ze sobą. W zachodniej części kontynentu powraca się do starych historycznych dzielnic jako podstawowych jednostek podziału terytorialnego wyposażonych w rozległą autonomię, w krańcowym kształcie oznaczającego federalizację tamtejszych państw. Coraz częściej mówi się o tej jednoczącej się części kontynentu jako o „Europie regionów”. Na pytanie: skąd ty jesteś? — młodzi Europejczycy już coraz częściej zamiast identyfikacji narodowej podają regionalną. Francuz odpowiada: z Lotaryngii, z Prowansji, z Normandii; Niemiec: z Bawarii, z Nadrenii-Westfalii, z Turynii; Włoch: z Piemontu, z Toskanii, z Kalabrii; Hiszpan: z Andaluzji, z Galicji, z Katalonii.

Małe państwa zachodniej Europy, jak Holandia, Belgia, Dania czy ostatecznie nawet Portugalia, takiej regionalizacji nie wymagają. Każdy z tych krajów stanowi właściwie pojedynczy, duży region.

W naszej części kontynentu współstartujące z Polską ku integracji ze zjednoczoną Europą Węgry są krajem tak niedużym, że mogą potrzeby wewnętrznej regionalizacji nie odczuwać. Inaczej Polska: tutaj potrzeba regionalizacji jest oczywista. Różnorodne projekty takiej regionalizacji zgodne są z tym, że jej wynikiem ma być podział terytorialny na 8 do 13 takich regionów; wynika z tego przeciętna wielkość regionu między 24 a blisko 40 tys. km² powierzchni — w zależności od liczebności tych regionów w poszczególnych projektach.

Rzecznicz regionalizacji Polski wskazują, że jej celem jest nie tylko zamienienie obecnych 49 województw na rozleglejsze nowe regiony, ale przede wszystkim nadanie im szerokich uprawnień autonomicznych, prowadzących w konsekwencji do decentralizacji państwa. Obecny spór o kształt ustrojowy przyszłej Polski sprowadza się do dwóch przeciwstawnych koncepcji: czy ma to być państwo samorządne, jakim było do rozbiorów, czy biurokratyczne, którego wzorce zaszczyli zaborcy, przekazując je, niestety, kolejnym rządów odrodzonej Polski XX wieku.

Zwolennicy biurokratycznego centralizmu straszą federalizacją: że osłabi państwo, że przyczyni się do jego upadku, itp. Znamy do znudzenia tę śpiewkę, identyczną u wszystkich zwolenników „trzymania społeczeństwa za mordę” — bez względu na to pod jakiego koloru sztandarami chcioma tego dokonać. Straszanie przykładem Jugosławii jest bez sensu: bo ten konglomerat wzajemnie skłóconych narodów, dotąd siłą trzymanych razem przez Serbię, od swego powstania groził rozpadem przy pierwszej pomocy okazji; i wszystko wskazuje, że chwila ta nieodwracalnie nadeszła. Natomiast państwa, którym takie ośrodkowe siły nie zagrażają, mogą jedynie wzmocnić się dzięki regionalizacji.

Przykładem Francja. Dwieście lat temu, w tym samym czasie, w którym historyczne regiony Polski zostały zniszczone podziałami rozbiorowymi, we Francji podobnego dzieła dokonały porzewolucyjne siły wewnętrzne: zniosły one historyczne prowincje Francji, zastępując je małymi departamentami, równie sztucznymi tworem jak nasze obecne województwa. Francja stała się scentralizowanym państwem biurokratycznym, w jakim stolica stała się pajakiem wysysającym wszystkie siły żywotne kraju. Porzekadło: Francja to Paryż i pustynia dookoła — znakomicie oddaje sytuację biurokratycznego, scentralizowanego państwa.

Dlatego właśnie Francja podjęła dzieło odwrócenia tego trendu, powrotu do starej, regionalnej Francji. W miejsce 90 departamentów wprowadzono 21 nowych jednostek pod roboczą nazwą „regionów planowania”. Są one de facto powrotem do dawnych, historycznych prowincji Francji sprzed Wielkiej Rewolucji. One to wprowadzają Francję do „Europy regionów”. Nie przeszkadza temu fakt, że dwa z tych „regionów planowania” to Bretania i Korsyka, etnicznie odrębne od reszty Francji i z wyraźnymi dążeniami separatystycznymi. Tak samo jak regionalizacji Hiszpanii nie przeszkadzają separatystyczne tendencje Katalonii i Kraju Basków.

Wzorcem regionalizacji jest Niemiecka Republika Federalna. Chociaż oprócz Niemców mieszkają tam inne narody, to jednak w żadnym z 16 niemieckich landów nie stanowią one zbiorowości mogącej prowadzić do odśrodkowych, separatystycznych ruchów, takich jak w Bretanii i na Korsyce, w Katalonii i w Kraju Basków. Taka federacja nie tylko państwa nie osłabia, ale przeciwnie — potężnie je wzmacnia. Takie policentryczne państwo to nie tylko pojedyncza, biurokratyczna stolica-pająk, ale szesnastce równorzędnych ośrodków decyzyjnych dążących do najlepszego reprezentowania interesów swych prowincji.

DZIEWIĘĆ DZIELNIC

Nie dziwnego, że najdalej idące propozycje regionalizacji Polski widzą przyszłe jej regiony jako odpowiedniki niemieckich landów, Senat zaś na podobieństwo Bundesratu, jako izbę samorządową wyłonioną z reprezentacji tych regionów. Land to tyle, co po polsku kraj. Wyczuwał to Lech Bądkowski mówiąc o krajowości Polski. Region to pojęcie wieloznaczne, odnoszące się do terytoriów rozmaitej skali, od gmin i powiatów („region Podhala”) po subkontynenty („region Bliskiego Wschodu”). Lepiej zatem mówmy o dzielnicach Polski, bo takimi były w dawnej Polsce Wielkopolska i Małopolska, Mazowsze czy oba Pomorza — Gdańskie i Zachodnie. Dzielnicą ma w Europie powszechny odpowiednik w łacińskiej nazwie prowincji, zresztą i w Polsce zamiennie z nazwą dzielnicy używanej. Nie nazywajmy tych przyszłych jednostek województwami, bo to tak samo wieloznaczna nazwa jak region. Dzielnicą to jednostka ponadwojewódzka, w każdej z nowo projektowanych mieści się kilka obecnych województw.

W powrocie do historycznych dzielnic Polski, wyposażonych w uprawnienia decentralizujące państwo, upatruje się właściwe lekarstwo na odbiurokratyzowanie Polski. W dotychczasowych biurokratycznych strukturach XX-wiecznej Polski wszystko zmierzało ku uzasadnieniu stwierdzenia, że Polska to Warszawa i pustynia dookoła. „Hasło: człowiek jest naszym celem może mieć i makabryczne znaczenie” — napisał Stanisław Jerzy Lec. Hasło przed laty na każdym kroku spotykane: „Cały naród buduje swoją stolicę” w tym kontekście uzyskuje również niesympatyczną wykładnię.

Powrót do historycznych dzielnic to w jednych okolicach odtworzenie, a w innych ochrona wielo-

wiekowych tradycji kulturowej tożsamości i odrębności poszczególnych dzielnic. Regionalizacja Polski w tym rozumieniu to umacnianie tego, co w planowaniu przestrzennym nazwano „przestrzenią kulturową”. Dlatego opracowany przez mnie projekt regionalizacji Polski po raz pierwszy opublikowany został w 1989 roku w pracy zbiorowej „Przestrzeń kulturowa w planowaniu przestrzennym”.

Projekt mój różni się od przedstawionego przez Lecha Mażewskiego, który postuluje podział na 12 województw, będących niemal dokładnym odtworzeniem podziałów terytorialnych bezpośrednio sprzed rozbiorów Rzeczypospolitej. Wówczas jednak dzielnice Polski były mocno skażone zmianami granic, następującymi z przyczyn wewnątrz krajowych (np. inkorporacja Podlasia do Korony w unii lubelskiej 1569 r.), bądź zewnętrznych, narzuconych przez obcą ingerencję (np. Nowa Marchia na pograniczu wielkopolsko-zachodniopruskim, państwo krzyżackie i późniejsze jego przekształcenia). Ta ostatnia sprawa miała decydujący wpływ na kształt przedrozbiorowy naszego regionu, tworzącego z połączenia Pomorza Gdańskiego z Ziemią Chełmińską i innymi obszarami nadwiślańskimi w wiekach XV–XVIII dzielnicę Prus Królewskich.

Dlatego w moim projekcie dzielącym Polskę na dziewięć dzielnic historycznych, obszar ich wyznaczają granice formujące się dla nich w ciągu XII–XIII wieku. Był to okres nazywany w naszej historiografii „okresem rozbitcia dzielnicowego”, kiedy państwowa Polska przekształciła się w federację dzielnic, wyłaniających się wówczas z naturalnych odrębności regionalnych, tworzonych przez zróżnicowania osadnicze. Jeden z polskich historyków nazwał tę epokę „okresem Rzeszy polskiej”, przez analogię do tradycyjnie taką strukturę dzielnicową mających ziem cesarstwa niemieckiego.

Osadnictwo pierwotne na ziemiach polskich roz-

rozmieszczało się w wyraźnym powiązaniu z układem sieci wodnej. Grupy plemienne rozprzestrzeniały się i osiadały wzdłuż rzek i ich dopływów, wypełniając ostatecznie całe dorzecza. Działy wodne przegradzające to osadnictwo od sąsiadów stanowiły początkowo bezludne strefy graniczne, najpóźniej zasiedlane i zamieniające się ostatecznie w linie granic międzypodziałnicowych, nieraz podczas ostatecznych rozgraniczeń odchylające się w jedną i drugą stronę w stosunku do działów wodnych.

Sięgnięcie do najdawniejszych rozgraniczeń dzielnicowych z epoki piastowskiej pozwala wyeliminować tego rodzaju późniejsze deformacje i doprowadzić do tego, że granice projektowanych dziewięciu dzielnic Polski będą zarazem i historyczne, i geograficzne.

Znaczenia takiej regionalizacji nie sposób przecenić. Nie tylko bowiem będzie on odtwarzać tradycje kulturowe poszczególnych części kraju, lecz również stworzy jednostki dzielnicowe niesłychanie podatne dla zarządzania sprawami społecznymi i gospodarczymi kraju z punktu widzenia ekologii, dla których sprawa czystości wód ma znaczenie podstawowe. Jeżeli zatem rozgraniczenia dzielnic dokonane zostaną w taki sposób, że lokalne dorzecza znajdują się w całości w granicach jednej dzielnicy — tylko od jej władz będzie zależało czy i jakie wody dzielnicy zostaną utrzymane w stanie nie skażonym, jakie zaś dotknięte zostaną różnym stopniem skażeń. Jeden gospodarz sprawami wodnymi uniemożliwi międzypodziałnicowe podzuczanie sąsiadom wód skażonych — problem coraz trudniejszy w stosunkach międzypaństwowych, gdzie podobne praktyki dokonywane są przez granicę państwa.

Przyjrzyjmy się zatem, jakie miejsce w tym nowym podziale terytorialnym wyznaczone zostało naszej dzielnicy, skupiającej obszary po obu stronach dolnej Wisły, mającej swe naturalne centrum w Gdańsku — największym mieście tej dzielnicy.



Zasięg jej przedstawia mapa. Dzielnica nosi geograficzną nazwę, północnej, a historyczną — dzielnicy kujawsko-pomorskiej. Nazwa geograficzna wynika z rozmieszczenia dziewięciu dzielnic na mapie Polski. W centrum kraju znajduje się dzielnica środkowa (historycznie: łęczycko-sieradzka) ze stolicą w Łodzi, a wokół niej osiem pozostałych o nazwach geograficznych według kierunków róży wiatrów. A zatem: północna (historycznie: kujawsko-pomorska) z Gdańskiem; północno-zachodnia (historycznie: lubusko-pomorska) ze Szczecinem; zachodnia (historycznie: wielkopolska) z Poznaniem; południowo-zachodnia (historycznie: dolnośląska) z Wrocławiem; południowa (historycznie: górnośląsko-górnomałopolska) z Krakowem; południowo-wschodnia (historycznie: dolnomaloposka) z Lublinem; wschodnia (historycznie: dolnomazowiecka) z Warszawą; oraz północno-wschodnia (historycznie: górnomazowiecko-warminśka) z Białymstokiem. Pięć z nich — jak to pokazuje mapa — sąsiaduje z naszą dzielnicą. Są to dzielnice: północno-zachodnia, zachodnia, środkowa, wschodnia i północno-wschodnia.

Historyczna nazwa naszej dzielnicy wskazuje, iż łączy ona dwie grupy krain: kujawską (a ściślej zespół kujawsko-chełmińsko-dobrzyński) w południowej części dzielnicy oraz krainy wschodniopomorskie (ślupską, gdańską i nadwiślańską*) w przymorskiej, północnej części dzielnicy. Wzajemny związek tych obszarów dostrzegalny jest od 1124 roku — daty założenia przez Bolesława Krzywoustego biskupstwa we Włocławku — stolicy Kujaw.

Pozostające w bezpośrednim władaniu piastowskim Kujawy miały stać się przyczółkiem dla chrystianizacji a w następstwie związania Pomorza Gdańskiego z Polską Piastów. I rzeczywiście, wzdłuż lewego, zachodniego brzegu Wisły biskupstwo to sięgnęło aż do Bałtyku, do rozbiórów mieszczących Gdańsk i Pomorze Gdańskie na swym obszarze. Biskupia Góra w Gdańsku świadczy o siedzibie biskupa włocławskiego w sąsiedztwie murów miasta. Rzecz charakterystyczna, w tymże 1124 roku Bolesław Krzywousty zakłada drugie biskupstwo w Lubuszu, z analogicznymi planami w stosunku do Pomorza Zachodniego. Plany te się nie powiodły. Po śmierci Bolesława Krzywoustego książęta zachodniopomorscy założyli w swej dzielnicy „własne” biskupstwo (w Wolinie, rychło przeniesione do Kamienia) i w konsekwencji dzielnica ta szybko odseparowała się od Polski Piastów. Pomorze Gdańskie natomiast, po wygaśnięciu gdańskiej dynastii książęcej, testamentem ostatniego z nich (1282) przekazane zostało Polsce Piastów.

Położona na prawym brzegu Wisły część Kujaw, zagrożona najazdami Prusów, była aż do sprowadzenia Krzyżaków terenem niemal bezludnym. Z tego obszaru wyodrębniły się w XIII wieku ziemie Chełmińska i Dobrzyńska — pierwsza nadana Krzyżakom na ich siedzibę wyjściową do walki z Prusami, druga zakonowi rycerskiemu braci dobrzyńskich w tym samym celu.

Pomorska część naszej dzielnicy to nie tylko Pomorze Gdańskie, lecz także Pomorze Ślupskie, aż do początku XIV wieku stanowiące jeden zespół z Pomorzem Gdańskim. Dopiero później ustalił się związek Pomorza Ślupskiego z Pomorzem Zachodnim. Cała ta ziemia leży bliżej Gdańska niż Szczecina (linia równych odległości między tymi miastami przebiega trochę na wschód od Koszalina). Aż do 1317 roku ziemia ta, jako archidiecezja ślupska, podlegała arcybiskupom gnieźnieńskim. Dopiero od tego roku przejęło ją zachodniopomorskie biskupstwo w Kamieniu Pomorskim.

Osobna uwaga należy się ziemi elbląskiej, bo tak dziś się zwykle nazywa krainę na naszej mapie nazwaną Pomorzem Nadwiślańskim. Do czasu podboju krzyżackiego obszar ten stanowił krainy Prusów nazwane Pomezanią i Pogezanią. Z ośmiu powiatów, przed 1975 rokiem tutaj istniejących, przybliżony obszar Pomezanii stanowiły przyległe do Pomorza Gdańskiego i Ziemi Chełmińskiej — wzdłuż łuku Malbork — Sztum — Kwidzyn — Iława, zaś Pogezanię przyległe do Zalewu Wiślanego i Warmii — wzdłuż łuku Elbląg — Pasłęk — Morąg — Ostróda. Wszystkie te miasta powstały dopiero po podboju krzyżackim — najwcześniej Kwidzyn (1233), najpóźniej Sztum (1416). Ilustracją tego, jak nazwy Pomezanii i Pogezanii przesuwały się po obszarze Pomorza Nadwiślańskiego, zanim ostatecznie nie wyszły z użycia, jest to, iż biskupstwo, założone przez Krzyżaków w Kwidzynie (istniało do czasów Reformacji) nosiło nazwę pogezaniańskiego. Nazwanie tej krainy Pomorzem Nadwiślańskim uzasadnia fakt znajdowania się jej w sferze penetracji politycznej książąt gdańskich. Przyłączenia jej do Pomorza Gdańskiego próbował jako ostatni książę Świętopełk II (1220—1266), lecz podbój Pomorza Nadwiślańskiego przez Krzyżaków ostatecznie zamiaty te pokrzyżował.

Dopiero po II wojnie światowej całość tak zarysowanej dzielnicy kujawsko-pomorskiej znalazła się w granicach Polski i odtąd dopiero można mówić o jej integrowaniu w tak rozległym zasięgu terytorialnym. Historyczny zasięg krain kujawskich obejmował 12,9 tys. km² (w tym Kujawy 5,5, Ziemia Chełmińska 4,8, Ziemia Dobrzyńska 2,6 tys. km²). W sumie była to niespełna trzecia część powierzchni całej dzielnicy. Znacznie większe były bowiem jej krainy wschodniopomorskie — 27,1 tys. km², w tym Pomorze Gdańskie 12,6, Pomorze Ślupskie 7,2, Pomorze Nadwiślańskie 7,3 tys. km².

W granicach hydrograficznych, przyjętych w omawianym projekcie regionalizacji Polski, powierzchnia dzielnicy kujawsko-pomorskiej jest mniejsza niż 40,0 tys. km² wynikających z sumy zasięgu historycznego jej sześciu krain składowych. Historyczne krainy wykraczały bowiem poza wododziały graniczne: na północnym wschodzie opierając się o Pasłęk, graniczną rzekę z Warmią, na wschodzie sięgając prawobrzeżnej Skrwry, granicznej rzeki Mazowsza, na zachodzie opierając się o górną Notec i jej dopływ Gwdę. Sprowadzona do granic hydrograficznych powierzchnia tej dzielnicy zmniejsza się do 36,6 tys. km², co i tak stawia ją powyżej przeciętnej dla kraju (34,7 tys. km²).

Województwo pomorskie, utworzone po I wojnie światowej, obejmowało tylko te części dawnych Prus Królewskich, jakie znalazły się w granicach Drugiej Rzeczypospolitej. Było to Pomorze Gdańskie (bez Gdańska z okolicą, stanowiącego Wolne Miasto, oraz powiatu człuchowskiego) oraz Ziemia Chełmińska. Dopiero w 1938 roku dołączono do tego województwa Kujawy i Ziemię Dobrzyńską. W ten sposób, pod nazwą Wielkiego Pomorza, scalono te wszystkie obszary dzielnicy kujawsko-pomorskiej, jakie wówczas należały do Polski. Uzupełniły je odzyskane po II wojnie światowej: reszta Pomorza Gdańskiego ze stołecznym Gdańskiem oraz Pomorze Ślupskie i Pomorze Nadwiślańskie.

Scalona w granicach Polski całość dzielnicy kujawsko-pomorskiej obejmuje sześć stolic wojewódzkich: Gdańsk, Ślupsk i Elbląg we wschodniopomorskiej oraz Bydgoszcz, Toruń i Włocławek w kujawsko-chełmińskiej części dzielnicy. Zamieszkuje ją obecnie prawie cztery i pół miliona mieszkańców, z czego milion zamieszkuje jej stołeczną aglomerację gdańską. Siedem miast tej aglomeracji, od Pruszcza Gdańskiego po Wejherowo, rozprasza ten milionowy potencjał ludzki, utrudniając właściwy rozwój wielkomiejskiej aglomeracji. Kiedyś zamierzano ją scalić w formie 14 gmin komunalnych, tworzących obligatoryjny związek. Dziś, kiedy siedem miast aglomeracji rządzonych jest przez samorządy, kierujące się wzajemnie sprzecznymi dążeniami, idea takiej integracji wydaje się pomysłem nie do zrealizowania. Trzeba jednak trudności te przezwyciężyć, jeżeli scalone ostatecznie i całkowicie Wielkie Pomorze ma otrzymać wielkomiejską stolicę, zorganizowaną na miarę dziejowych tradycji i przyszłościowych ambicji naszej kujawsko-pomorskiej dzielnicy.

* Kraina nadwiślańska, dalej Pomorze Nadwiślańskie, to — w rozumieniu autora — ziemię położone na wschód od dolnego biegu Wisły. Natomiast w pracy „Dzieje Pomorza Nadwiślańskiego” (Gdańsk 1978) przymiotnikiem tym określono ziemię leżącą po obu stronach dolnej Wisły od doliny Łeby i Brdy na zachodzie i górnej Drwęcy na wschodzie (przyp. red.).

WARTOŚĆ WŁASNEGO DZIEDZICTWA

ksiądz biskup

Tadeusz Gocłowski

Podjęcie tego tematu przez biskupa kieruje tok myślowy refleksji do aspektu moralnego tego wszystkiego, co w sposób kompetentny podejmuje się z myślą o wyzwoleniu pełnej aktywności ludzkiej, która przejawiałaby się w twórczym działaniu, a które ubogacałoby samego człowieka, jego środowisko. Problemy samorządności obywatelskiej i regionalnej, choć nieobce naszemu pokoleniu, to jednak jawiły się przede wszystkim jako zagadnienia teoretyczne. Nic więc dziwnego, że prof. Roman Wapiński mówi wprost, iż musimy się uczyć samorządności. Skądinąd wiemy, że ta nauka musi mieć odpowiednie warunki. Profesor pisze: *Jeżeli ma być dobry samorząd, to musi on mieć podstawy w rozwiniętym życiu gospodarczym, w wykształconych strukturach tego życia. Jest to warunek nieodzowny. Inaczej nie ma samorządu.* („Wizja samorządu Pomorza”, „Pomerania”, 7–8/1990). Czy ten warunek się spełnił albo spełnia? Pesymiści mówią, że jeszcze nie. Ale to nie jest temat dla biskupa.

Druga sprawa to regionalizm. Z definicją jest tu dość trudno. Bo słowo to i mówi dużo, i może mylić. Więc i autorzy różne dają definicje, mówiąc krótko: regionalizm to różnorodność i pluralizm, to lokalność, krajowość, umiłowanie własnego regionu, działalność na rzecz własnego środowiska regionalnego, umiłowanie prywatnej ojczyzny. Od strony przedmiotowej to całokształt dóbr i wartości związanych z własnym regionem. Od strony zaś podmiotowej to wszelka działalność, która ma na celu zachowanie i kultywowanie specyfiki krajobrazowej, językowej i kulturowej, a także ich ożywienie i rozwój, i chęć przenikania z nią do kultury ogólnospołecznej. Główny akcent kładzie się na działalność, czyli na rozwój tych wartości, na ich żywy kontakt z człowiekiem, czyli na ubogacenie nimi człowieka. A stanowisko Kościoła? Trzeba podkreślić, że Kościół organizował się we wspólnotach lokalnych, podkreślając ich specyfikę, bogactwo, ich pewną odrębność, ale zarazem podkreślał mocno uniwersalizm Kościoła. Tak było od samego początku. Mówi się o Kościele Jerozolimskim, Kościele Antiocheńskim itd. Podkreśla się samoistność Kościoła lokalnego, ale równocześnie zwraca się uwagę na jedność wspólnoty chrześcijańskiej. Jak bardzo ubogacał się Kościół Powszechny, gdy przenikał z Ewangelią do nowych ludów i narodów. Trzeba wyraźnie zaznaczyć, że Kościół szanował bogactwa przez nie wnoszone, a nawet włączał te bogactwa do swej liturgii. Mimo pewnych niekiedy przeciwnych tendencji Kościół zdecydowanie pozytywnie ustosunkowywał się do regionalizmu. Problem ten w nowych wymiarach zjawiał się w naszych czasach, gdy trzeba było ustosunkować się do pewnych wartości regionalnych, zwłaszcza kościołów misyjnych. Paweł VI w swej encyklice „Ewangelię nuntiantów” zajął się tzw. problemem inkulturacji wyrażając zdecydowane stanowisko Kościoła o ochronie wartości kulturowych, które ubogacają i ubogacają Kościół Powszechny. Nauka społeczna Kościoła zawsze podkreślała potrzebę jedności rodziny ludzkiej. Ale to nie stoi w sprzeczności z różnorodnością w ramach współczesnego świata. Jedność społeczeństwa nie oznacza jego ujednoliceń i ujednoliceń. Kościół podkreśla płaszczyznę tożsamości kulturowej poszczególnych społeczności, której wyznacznikami są: kultura materialna, moralna, religia, literatura, twórczość artystyczna, uznając ją za szczególnie wartościowe dziedzictwo. Co więcej! Nie chodzi tylko o „pasywne” przechowywanie tych wartości, ale także o konstruktywne ożywianie i właściwe, samodzielne kierowanie wartościami własnego dziedzictwa. Piśsze o tym obszernie Jan Paweł II w swym Orędziu na XXII Dzień Pokoju (1 I 1989), mówiąc o poszano-

waniu mniejszości jako o warunku pokoju. Tak rozumiana podmiotowość wspólnot i grup w ramach życia społecznego jest zasadniczą tezą katolickiej nauki społecznej z zakresu regionalizmu. To wszystko wchodzi w ramy nauki społecznej Kościoła, który do podstawowych praw zalicza: prawo do istnienia, wolności i suwerenności, zachowania, rozwoju i kierowania własnym dziedzictwem kulturowym, poszanowania własnego sposobu życia, wolności religijnej i otwierania się na rzeczywistość transcendentną, utrzymania kontaktu z grupami o tym samym charakterze kulturowym. To wszystko ma zagwarantować przetrwanie, istnienie, suwerenność, a także dynamiczny rozwój poszczególnych grup etnicznych i regionalnych w ramach życia społecznego. Współczesny regionalizm uważa się za zjawisko ze wszech miar pozytywne. Ks. Henryk Skorowski w swej książce zatytułowanej „Antropologiczno-etyczne aspekty regionalizmu” (Warszawa 1990) pisze o zjawisku współczesnego regionalizmu, jako o pewnej fascynacji z pewną pokusą jego absolutyzowania, i zachęca do spokojnej i rzeczowej jego oceny. Mówi nawet, że jawią się pewne pytania o charakterze etycznym, takie jak: regionalizm a jedność społeczeństwa. U nas nie ma potrzeby takiego formułowania kwestii, ale w Europie nawet ten problem się jawi. Chodzi o regionalizm a jedność społeczeństwa. Tych pytań jest więcej. Czy kultywowanie i rozwój wartości związanych z regionem nie stoi w sprzeczności z dobrem wspólnym całego społeczeństwa? W jakiej relacji pozostaje regionalizm do procesów otwierania się na inne grupy etniczne i regionalne i do rzeczywistej integracji społecznej? I wreszcie: czy regionalizm nie jest lub przynajmniej nie prowadzi do separatyzmu i nacjonalizmu? Autor cytowanej książki stwierdza, że odpowiedzieć na te pytania można kierując się podstawowym i bezwzględnie dobrem, jakim jest osoba ludzka. Tymczasem wydaje się, że takiego odniesienia prawie w ogóle się nie robi. Uwzględnia się problemy polityczne, społeczne, socjologiczne, kulturowe, ekonomiczne, a samego człowieka gdzieś się gubi. Bierze się pod uwagę grupy narodowe, narodowościowe, etniczne, etnograficzne. Tymczasem w świetle nauki społecznej w całokształt życia polityczno-społeczno-gospodarczego czy kulturowego wpisany jest zawsze człowiek — osoba. W świetle nauczania społecznego Kościoła osoba ludzka jest ostatecznym i podstawowym podmiotem tego życia.

Jan Paweł II powie: *Podstawą i celem porządku społecznego jest osoba ludzka. (...) Osoba ludzka jest czymś, co wyrasta ponad uwarunkowania społeczne, kulturalne i historyczne, bowiem właśnie człowiek, istota obdarzona duszą, dąży do celu, który pozostaje transcendentny wobec zmiennych warunków jego egzystencji.* (Orędzie na XXI Światowy Dzień Pokoju 1 I 1988). Dobrze rozumiany regionalizm nie pozostaje w konflikcie z dobrem osoby. Przeciwnie, chroni ją w jej prawach, wolności, zakorzenienia ją we własnej etniczności. Dzięki niemu człowiek odnajduje się w większej społeczności kulturowej. W tym znaczeniu, sięgając do samych podstaw, można mówić o antropologiczno-etycznym aspekcie regionalizmu, który jest dla osoby ludzkiej jej naturalnym i niezbywalnym prawem. W tym znaczeniu refleksja, która dotychczas pozostawała na płaszczyźnie fenomenu społecznego, kulturowego, politycznego, historycznego czy gospodarczego staje się fenomenem antropologicznym, rozważanym w kategoriach etycznych.

Kościół katolicki w Polsce zna tę problematykę, choć na szczęście nie znajduje się ona w strefie konfliktu. Wychodząc z epoki państwa totalitarnego można będzie, wyciszając sztucznie akcentowane nie-

bezpieczeństwa, jeszcze bardziej służyć człowiekowi, uznając pozytywne wartości regionalizmu.

Odcinając może nieco od głównego nurtu tematy, chciałbym wrócić do samorządności, podejmując myśl zawartą w encyklice „*Sollicitudo rei Socialis*” Jana Pawła II. Samorząd tak bardzo łączy się z konkretnymi inicjatywami, które wyzwalają gospodarność, które urzeczywistniają podmiotowość, a to z kolei promuje człowieka, pozwala mu na pełny rozwój jego talentów, a w końcu ubogaca społeczeństwo. Bez podmiotowości obywatelskiej nie ma autentycznej twórczości. Samorządność zakłada poszerzanie podmiotowości. W przeciwnym wypadku następuje to, o czym pisał papież: *Zamiast twórczej inicjatywy rodzi się bierność, zależność i podporządkowanie wobec biurokratycznego aparatu, który jako jedyny dysponent i decydent, jeśli nie wręcz posiadacz ogółu dóbr wytwórczych, stawia wszystkich w pozycji mniej lub bardziej totalnej zależności.* Jasno wynika z tego tekstu, iż Jan Paweł II miał na myśli określony system społeczno-gospodarczo-polityczny. On już minął. Ale został człowiek, który w tym systemie się urodził i niemal zestarzał. Z tak wielkimi więc trudnościami wchodzi w życie samorządność, zakładająca konieczność samodzielnego myślenia, ale zarazem rozumienia istoty demokracji.

W centrum wszystkiego jest osoba ludzka, której podporządkowane jest społeczeństwo z wszystkimi swoimi strukturami i instytucjami. Chrześcijanin ma ożywić swym duchem doczesną rzeczywistość, służąc osobie i społeczeństwu. To zakłada udział w „polityce”, czyli w działalności gospodarczej, społecznej, prawodawczej, co ma służyć dobru wspólnemu. Ta realizacja podmiotowości jest obowiązkiem. Formy realizacji mogą być różne. Oskarżenia o karierowiczostwo, o kult władzy, o egoizm — kierowane pod adresem ludzi wchodzących w skład rządu, parlamentu czy partii politycznej — nie mogą zwolnić chrześcijan z aktywności w tych dziedzinach. Kościół na Soborze Watykańskim II wprost pochęcał pracę tych, którzy poświęcają swoje siły dobru państwa. Podstawowym kryterium tego zaangażowania na rzecz osoby i społeczeństwa jest dążenie do wspólnego dobra jako dobra wszystkich ludzi i całego człowieka. Ten sam dokument precyzuje, że *dobro wspólne obejmuje sumę tych warunków życia społecznego, dzięki którym jednostki, rodziny i zrzeszenia mogą pełniej i łatwiej osiągnąć swoją własną doskonałość.*

Klimatem, w którym urzeczywistnia się to działanie jest solidarność. Czym ona jest? Jan Paweł II nazywa ją *stylem oraz narzędziem polityki, która chce dążyć do prawdziwego rozwoju człowieka.* To wymaga czynnego i odpowiedzialnego uczestnictwa w życiu politycznym wszystkich i każdego obywatela oraz rozmaitych grup, związków zawodowych, partii itp. Tę solidarność w innym dokumencie swoim Jan Paweł II nazwał: *mocną i trwałą wolą angażowania się na rzecz dobra wspólnego, czyli dobra wszystkich i każdego, wszyscy bowiem jesteśmy odpowiedzialni za wszystkich.*

Za mało byłoby mówić o podmiotowości oraz ogólnie wskazać płaszczyznę aktywności, o czym mówiliśmy przed chwilą. Trzeba wyraźnie powiedzieć, że zasadniczym działaniem na rzecz społeczeństwa jest aktywność gospodarcza, do której klucza dostarcza organizacja pracy. Praca bowiem jest najbardziej powszechnym i bezpośrednim narzędziem rozwoju gospodarczego, a zarazem prawem i powinnością każdego człowieka. Tu znowu — w sferze gospodarczej — osoba ludzka jawi się jako ośrodek i cel — człowiek jako twórca. Miejsce pracy ma się stać miejscem wspólnoty osób, cieszących się poszanowaniem ich podmiotowości i prawa do uczestnictwa. Uczestnictwo będzie tu oznaczało również tworzenie nowego typu przedsiębiorstw, rewidowanie systemów handlowych i finansowych, nowe technologie itp. Razem z tym musi iść kompetencja, uczciwość, duch chrześcijański, traktowanie pracy jako drogi własnego uświęcenia.

Tych zagadnień nie można traktować w oderwaniu od aktualnego nurtu życia narodu. Mała ojczyzna musi być wpisana w życie dużej ojczyzny. Duża ojczyzna, jej stan aktywizuje lub paraliżuje życie małej ojczyzny, regionu, obywatelskiej aktywności.

ZWIĄZEK POMORSKI SZANSA I WYZWANIE

Proces rozwoju jednoczącej się Europy stanowi wypadkową dwóch tendencji — z jednej strony centralistyczno-etatystycznej, wyrastającej z koncepcji „państwa opiekuńczego”, z drugiej zaś antyuniformistycznej, dążącej do rozszerzania zakresu wolności i samorządności jednostek. Stopniowe ograniczanie funkcji tzw. państw narodowych, ukształtowanych w Europie zachodniej w rezultacie kilkusetletniego rozwoju oraz systematyczny wzrost kompetencji władz tzw. europejskich, wcale nie musi oznaczać zwycięstwa zwolenników stworzenia „superpaństwa”. Co prawda Bruksela i Strasburg w coraz większym stopniu pełnią rolę twierdz biurokracji i ośrodków „centralnego planowania”, jednakże naturalnemu i zrozumiałemu zmierzchowi ideologicznych państw narodowych towarzyszy spontaniczny rozwój regionów, wspólnot lokalnych i samorządów.

Współczesna Europa zachodnia zaczyna wracać do korzeni, do dziedzictwa sprzed rewolucji francuskiej i narodzin nacjonalizmów, kiedy to stanowiła niesłychanie bogatą mozaikę wszelkiego rodzaju wspólnot (stanowych, zawodowych, społecznych, terytorialnych, religijnych). Dla ilustracji tego, czym była kiedyś Europa, niech posłuży przykład z absolutystycznej Francji osiemnastego wieku, w której wszyscy, łącznie z królem, obowiązani byli płacić na przykład „mostowe”, tj. opłatę za korzystanie z mostu, ustanowioną przez lokalną minispółeczność.

Bliższe przyjrzenie się obecnemu ustrojowi Niemiec, Austrii (federacje landów) czy też Włoch Hiszpanii i Portugalii (gdzie istnieje autonomia regionalna, posunięta w przypadku Włoch do uznania nadzędności regionu w stosunku do państwa), ujawnia ogrom destrukcji dokonanych w Polsce pod rządami komunistów. Państwo komunistyczne było państwem totalitarnym, a więc takim, w którym niemal wszystko znajdowało się w gestii centrum, zaś regiony zostały poddane sztucznej uniformizacji. Chcąc powrócić do Europy należy w pierwszej kolejności odbudować „status quo ante” — przywrócić tradycyjne podziały, odrębności oraz odbudować lokalne samorządy i wspólnoty. Zadanie to wydaje się tak ogromne, że jego wykonanie zdaje się przekraczać możliwości jednego pokolenia. Tymczasem trzeba się spieszyć, ponieważ od szybkiego włączenia się Polski w nurt „europejski” zależy to, czy przekroczymy granicę między obszarem „biedy i zastoju” oraz „prosperity i dynamizmu”.

Związek Pomorski — utworzony w listopadzie 1990 roku przez znaczące środowiska regionalne (ZK-P, Towarzystwo Polityczne „Młoda Polska”, ZCH-N, Komitety Obywatelskie, samorządowców) — podjął próbę wypełnienia pustki istniejącej między działającymi od niedawnych wyborów samorządowych gminami a państwem. W świetle deklaracji, zadanie związku polega na „formułowaniu celów i środków polityki regionalnej i działaniu na rzecz rozwoju Pomorza w sferze gospodarczej i kulturalnej”. Powstanie związku wymusiła niejako trudna sytuacja samorządów połączona z brakiem zrozumienia przez rząd T. Mazowieckiego dla idei samorządu terytorialnego, decentralizacji państwa, przejęcia władzy lokalnej przez samych mieszkańców. W rezultacie wyborów prezydenckich powstała nowa sytuacja, niemniej formuła związku regionalnego w niczym nie straciła na aktualności. Grupa działaczy samorządowych wysunęła projekt nowego podziału administracyjnego Polski — zamiast 49 miniwojewództw, 10–12 regionów — w świetle którego Pomorze Nadwiślańskie stanowiłoby jeden z regionów, odwołujący się do tradycji przedrozbiorowych Prus Królewskich.

Na drugim zebraniu Związku Pomorskiego, 2 marca br. nie poruszano jednak problemu nowego podziału terytorialnego, ponieważ, jak stwierdził wicewojewoda J. Borzyszkowski — w obecnej sytuacji najważniejsze jest określenie modelu ustrojowego kraju. Jeden z zaproszonych gości, poseł M. Wojtczak — po zarysowaniu zalet oraz niebezpieczeństw regionalizacji — zaproponował model pośredni, obdarzający regiony autonomią, ale uznający nadrzędność interesu państwa. Autonomia regionów posiada szereg zalet, takich jak bliskość miejsc podejmowania decyzji i ich wykonywania, naturalna tożsamość małych zbiorowości, zbieżność interesów mieszkańców z interesami regionu. Jednakże z drugiej strony istnieje niebezpieczeństwo ruchów odśrodkowych (Śląsk), wzniecania lokalnych waśni i ambicji. Z kolei P. Adamowicz, prorektor UG i radny miasta Gdańska, ukazał dwa modele rozstrzygnięć konstytucyjnych — model autonomiczny, w którym region posiada szerokie kompetencje ustawodawcze i model administracyjno-rządowy, w którym ustawodawstwo zastrzeżone jest dla sejmu. W jego wystąpieniu pojawiła się propozycja trzeciego rozwiązania — państwa regionalnego, istniejącego między państwem unitarnym (jakim jest obecnie Polska), a federalnym (Niemcy). Przekształcenie ustrojowe Polski jest ściśle związane z tempem prywatyzacji, reformy systemu podatkowego, etc.

Zgodnie z postulatem J. Borzyszkowskiego o podejmowanie działań w ramach istniejących prawnie możliwości oraz dążenia do stworzenia silnych regionów, zdolnych do nawiązywania samodzielnych kontaktów zagranicznych, A. Remiszewski wystąpił z propozycją utworzenia Unii Gmin Pomorza Nadwiślańskiego. Jej celem miałyby być „reprezentowanie wspólnych interesów gmin regionu pomorskiego, w szczególności w sprawach dotyczących modelu przyszłej regionalizacji państwa, szczegółowych regulacji dotyczących regionu pomorskiego, współpracy międzyregionalnej” oraz działalność edytorska, szkoleniowa, promocyjna, opiniotwórcza i koordynacyjna.

W deklaracji intencji Unii Gmin Pomorza Nadwiślańskiego czytamy m.in.: „Oczekujemy od parlamentu wprowadzenia reformy organizacji państwa, polegającej na odejściu od chaotycznego centralizmu urzędniczego i anachronicznego podziału na obecne województwa. Proponujemy funkcjonowanie państwa w kilkunastu regionach będących formą zorganizowania samorządów tych obszarów. Zakres kompetencji i podział terytorialny samorządów poszczególnych szczebli powinien być wynikiem szybko poprowadzonej dyskusji społecznej”. Wokół takiego stanowiska zjednoczyły się różnorodne środowiska pomorskie — od politycznej grupy „młodopolskiej”, poprzez środowiska społeczne o rodowodzie solidarnościowym, skończywszy na działaczach regionalnych i kaszubskich. Wokół takiego stanowiska może wykrystalizować się „program dla Pomorza”, zbieżny z interesem znaczącej części mieszkańców Pomorza.

W.T.

GDY

POLITYKOM

BRAKUJE

WYOBRAŹNI...

Jednym z najczęstszych zarzutów stawianych obecnie elitom politycznym jest zarzut braku programu. W skrajnych przypadkach wymaga się od przywódców i autorytetów przedstawienia szczegółowych recept na natychmiastowe i bezbolesne zażegnanie głębokiego i rozległego kryzysu. Na baczniejszą uwagę zasługuje jednak innego rodzaju oczekiwanie — sądzę, że bardziej rozpowszechnione i bardziej naturalne — aby politycy zaangażowani w proces podejmowania decyzji posiadali jasną świadomość celów, do jakich zmierzają. „Solidarnościowa” elita wyłoniła się w wyniku kilkuletniej, znużonej lecz zwycięskiej walki z komunizmem. W 1989 roku została obdarzona spontanicznym i bezgranicznym mandatem zaufania, opartym na autorytecie, jaki zyskała sobie dzięki „niepokornej” postawie. Ważne jest to, że w tamtym momencie nie była przygotowana do przejęcia władzy, a więc skazana niejako z góry na popełnianie błędów. Wydaje mi się, że wskazywanie na niedostatki w umiejętnościach rządzenia jest niezbędne z dwóch powodów. Po pierwsze — krytyczna analiza służy lepszemu zrozumieniu pogłębiającego się rozdźwięku między oczekiwaniami społecznymi a działaniami elit, po drugie — uchwycenie nieprawidłowości i wad pozwala na wyciągnięcie wniosków na przyszłość.

Zrozumienie sytuacji politycznej w Polsce a. D. 1991 nie jest możliwe bez zrozumienia szerszego zjawiska, jakim jest proces tworzenia się III Rzeczypospolitej. Patrząc z perspektywy dwóch lat można pokusić

stę o próbę oceny przemian zapoczątkowanych układem „okrągłego stołu”. W okresie tym na scenie politycznej dominowało kilku polityków, których pozycję umacniał fakt, iż wychodzące z komunizmu społeczeństwo nie zdolało jeszcze wykształcić instrumentów pozwalających na artykułowanie własnych poglądów — nieskrępowanej prasy, silnych partii politycznych, kadr, ośrodków nacisku. Na tych politykach spoczęło więc nie tylko wielkie zadanie do wykonania, ale również wielka odpowiedzialność. W latach 1989—1990 politykę kreowały „wybitne jednostki”: L. Wałęsa, T. Mazowiecki, B. Geremek, A. Michnik, A. Hall. Ich rola ulega jednakże i w miarę dalszego rozwoju systemu demokratycznego będzie nadal ulegała nieuchronnemu zmniejszaniu. W odniesieniu do wspomnianego okresu ten swoisty „signum temporis” sprawił, że o wiele łatwiej i z większą dozą jednoznaczności możemy ferować oceny i wyroki. Po prostu — za konkretnymi posunięciami kryją się konkretne nazwiska ludzi odpowiedzialnych za skutki podejmowanych decyzji. Taka sytuacja rzadko ma miejsce w rozwiniętym systemie demokratycznym, w którym wola najwybitniejszych nawet jednostek jest w znacznym stopniu ograniczona zależnością od ustabilizowanego prawa, powszechnie akceptowanych zasad, trybu postępowania, dyscypliny partyjnej, czy kontroli wszechpotężnych środków masowego przekazu.

Generalnie patrząc, ewolucja polityczna Polski w okresie od „okrągłego stołu” do wyborów parlamentarnych charakteryzuje się, nie spotykany w krajach sąsiednich, chaosem. Już na pierwszy rzut oka narzuca się niejako sam przez się wniosek o braku jakiegokolwiek jasnego, logicznego i długofalowego „planu gry”. Nie chodzi o to, że w połowie 1989 roku nie istniała żadna gotowa recepta czy wizja ewolucji Polski od komunizmu i konspiracji do demokracji i wolnego rynku. Polityka jest sztuką wykorzystywania atutów, jakie aktualnie znajdują się w zasięgu ręki i elastycznego reagowania na wszelkie zmiany koniunktury. W ten właśnie sposób należy widzieć grę, polegającą na stopniowym i rozłożonym w czasie odchodzeniu od „kontraktu” i odsuwaniu komunistów od władzy. Brak „planu gry” polega na tym, że „szersza perspektywa” nie zaistniała w żadnym momencie, kiedy podejmowano kluczowe dla ewolucji kraju decyzje. W harmonogramie przemian politycznych nie sposób dopatrzeć się jakiegokolwiek głębszej myśli czy nawet logiki wyrastającej ponad to, co jest logiczne jedynie z perspektywy osiągnięcia doraźnych korzyści politycznych. Co prawda już od samego początku w obozie niekomunistycznym pojawiały się różne, niekiedy sprzeczne ze sobą koncepcje, style myślenia, poglądy. Konflikt między T. Mazowieckim a L. Wałęsą narodził się — o czym możemy nie pamiętać — jeszcze przed wyborami w czerwcu 1989 roku. T. Mazowiecki i A. Hall opuścili wówczas Komitet Obywatelski i — broniąc pluralizmu oraz wewnętrznej demokracji — odmówili kandydowania w wyborach z listy „Solidarności”. Ówczesna koncepcja Wałęsy polegała na tym, by do walki wyborczej iść w „zwartym szyku”, w oparciu o warszawski ośrodek skupiony wokół B. Geremka i A. Michnika. Taka była geneza sporu, początkowo nie będącego sporem personalnym, który na dwa lata zdominował krajobraz polityczny, stając się przyczyną rozłamów i walki o urząd prezydenta pomiędzy dwoma obozami skupionymi wokół dwóch skłóconych ze sobą polityków, nie zaś wokół konkurujących ze sobą programów.

Decyzja Wałęsy o wyznaczaniu kandydatów w czerwcu 1989 roku, skrzętnie poparta przez lewicę warszawską, spowodowała wykluczenie z gry środowisk prosolidarnościowych i antykomunistycznych wyraźnie nieprzychylnych lewicy warszawskiej. Późniejsze powołanie Mazowieckiego (zamiast Geremka) na stanowisko premiera należy interpretować jako świadomą próbę ze strony Wałęsy osłabienia, zbyt silnej z punktu widzenia przewodniczącego, pozycji lewicy warszawskiej. Już w tym momencie układ „okrągłego stołu” przestał obowiązywać i pozostaje tajemnicą poliszynela, dlaczego ów „dziwny” Sejm zdołał pomimo to przetrwać do 1991 roku. Rząd Mazowieckiego oparł się w dużym stopniu na ludziach, którzy w czerwcu 1989 roku znaleźli się „w nietasce”.

Niespodziewany awans na najwyższe stanowiska nie przesłonił jednak np. A. Hallowi wcześniejszych upokorzeń „nietaski” Wałęsy. Nowy rząd dokonał zaskakującego „zwrotu w lewo” i sprzymierzył się z ośrodkiem lewicy solidarnościowej. Środowiska prawicowe znów znalazły się poza nawiasem, a wraz z nimi również dotychczasowy „dyrygent”. Rząd Mazowieckiego — dotąd wrażliwy na „pluralizm” i „demokrację” — zmienił się rychło z rządu przejściowego na trwały, z ogólnonarodowego na rząd wąskiej grupy politycznej. „Filozofia” rządu polegała na konserwowaniu, z niewielkimi zmianami, istniejącego układu. Zasadnicze zmiany polityczne wymuszały nacisk zewnętrzny, podczas gdy rząd koncentrował się na reformie gospodarczej. Długofalową koncepcję przedstawił jedynie resort L. Balcerowicza i K. Skubiszewskiego.

Wyборы samorządowe stanowiły swoisty przejaw polityki obliczonej na doraźne korzyści. Wybory te miały stanowić antidotum na gorycz skutków przemian gospodarczych, a zarazem substytut wyborów parlamentarnych. Jednakże ustawy o samorządach i budżecie na rok 1991 — uchwalone przez „dziwny” sejm — skutecznie pozbawiły nowe samorządy możliwości efektywnego działania. W rezultacie, wybory samorządowe wzniewiły społeczne nadzieje, ale przyniosły wzrost niezadowolenia.

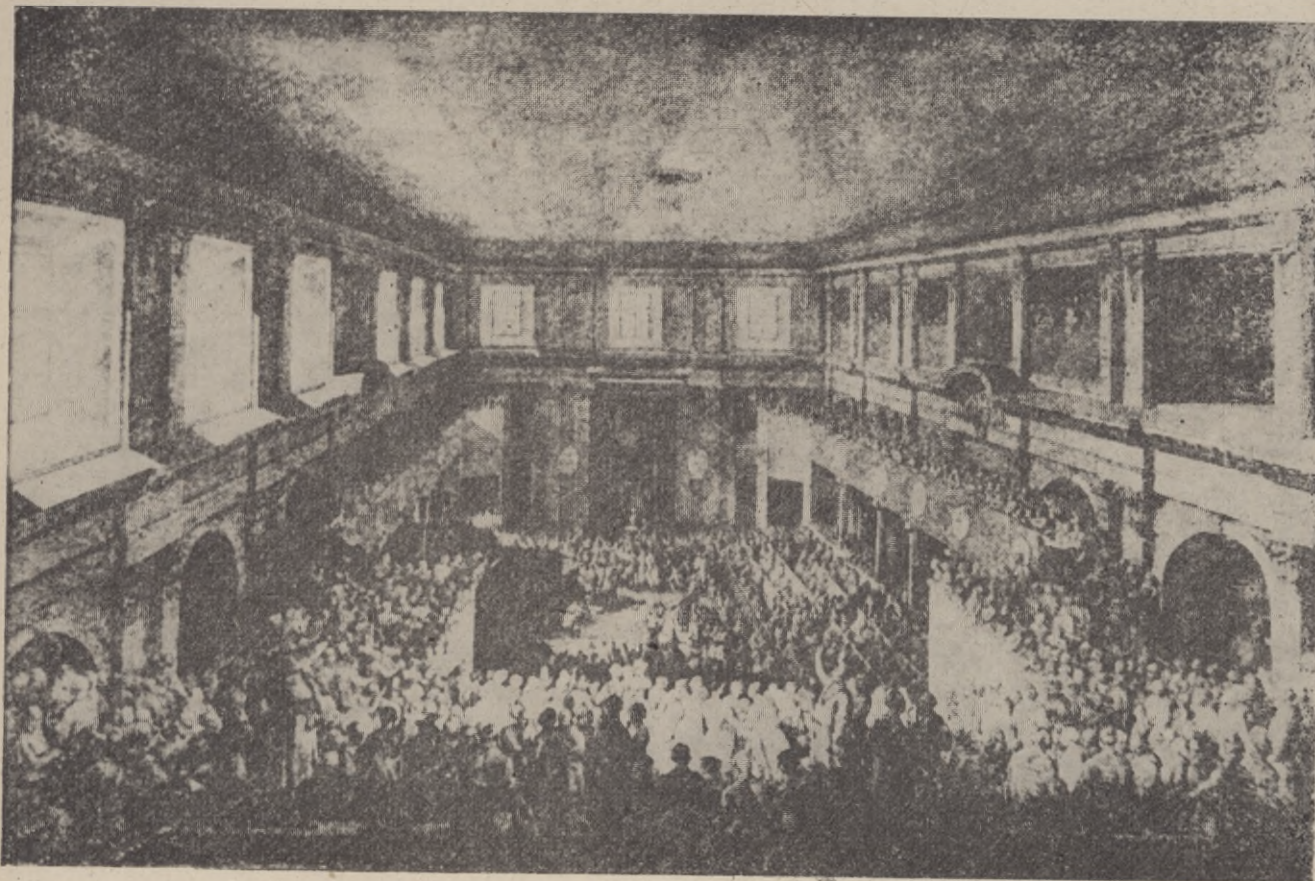
Coraz wyraźniejszy konflikt Wałęsy z Mazowieckim, narzucający obu politykom swoisty styl działania, zaowocował zorganizowaniem kolejnych wyborów zastępczych — tym razem prezydenckich. Z przyczyn wiadomych obóz warszawski nie zgodził się na wybór prezydenta przez parlament. Wybory jesienią 1990 roku spowodowały zmianę rządu, wzrost destabilizacji społecznej oraz ujawniły kryzys zaufania do elit politycznych (casus Tymiańskiego).

Przedwczesne wybory prezydenckie przekreśliły na długie lata możliwość zbudowania spójnego systemu politycznego. Jest oczywiste, że przyszła konstytucja — pisana „dla Wałęsy” — nie będzie wolna od wad konstytucji marcowej z 1921 roku — pisanej „dla Piłsudskiego”. „Dziwny” parlament przez blisko dwa lata zwlekał z uchwaleniem ordynacji wyborczej. Jego prace cechowały się szczególnym chaosem (np. przewodniczący OKP B. Geremek lansował jeszcze wiosną 1990 roku koncepcję uchwalenia nowej konstytucji przez „dziwny” parlament). Za stopniowe obniżanie autorytetu Sejmu w dużej mierze odpowiadają wszyscy ci, którzy mogli i powinni byli przyspieszyć termin wyborów umożliwiających powstanie w pełni demokratycznej „praw świątynicy”, w której znalazłoby się miejsce dla wszystkich liczących się sił politycznych.

Jak słusznie zauważył J. Muro („Spotkania”, 6 marca 1991): „Kiedy społeczeństwu przewodzą ludzie szerokich horyzontów, jasnej myśli i trafnego rozumienia istoty zjawisk polityczno-gospodarczych, wtedy i wynik ich zabiegów jest obiektywny. Ale kiedy poziom budowniczych jest niski, gdy nie mają oni szacunku dla społeczeństwa, to po ich dziele niewiele można oczekiwać, nie odróżniają spraw ważnych od nieważnych, nie potrafią trafnie sformułować podstawowych kwestii (...) Ustrój nasz powstaje na zasadzie podobnej, jak bieda-chaty w dzielnicach nędzy. Jego budowniczowie radzą i radzą, a w przerwach obrad szukają po śmietnikach materiałów do budowy ustroju — skrzynek, puszek i kawałków papy. Co znajdują, to dokleją lub przyczepiają, byle jak, byle tylko mieć dach nad głową i jakąś ścianę wokół siebie. I tak to idzie”.

Ostatnie lata mogą być wykorzystane jako znakomita praktyczna lekcja demokracji, której można było uniknąć, ale skoro już się ją przeżyło, można jej nie powtarzać. Jeżeli właściwie ją odczytałem, lekcja powinna nauczyć: wyborców większej ostrożności i sceptycyzmu w ocenie kandydatów na przywódców; elity polityczne zmiany kryteriów wylaniania kandydatów; samych zaś kandydatów zwrócenia bacznej uwagi na niebezpieczne skutki własnej matości politycznej.

Wojciech Turek



KONSTYTUCJA 3 MAJA

Władysław Zajewski

Znakomity znawca XVIII-wiecznej Europy historyk Szymon Askenazy napisał, iż schyłek wieku oświecenia zamykają dwa niezmiernie wagi wydarzenia: upadek Rzeczypospolitej szlacheckiej i Rewolucja Francuska 1789 roku. W cieniu tych wydarzeń mniej zauważalne dla niektórych historyków stały się dwa inne fakty: wzrost potęgi Prus i Rosji. Oba te państwa niezwykle szybko awansują do rzędu mocarstw i oba, dzięki zręcznej polityce swych władców, będą cieszyły się względami europejskiej elity intelektualnej, jako państwa skłonne do głębokich reform wewnętrznych. Jednakże sympatie Fryderyka II (i jego następców) czy Katarzyny II manifestowane wobec Voltaire'a, Diderota czy nawet J. J. Rousseau nie oznaczały, iż panujący w Prusach czy Rosji skłonni byli pójść aż tak daleko w akceptowaniu ideologii oświecenia, by w swoich „poddanych” dostrzec „obywateli”, którzy mają prawo posiadać tak w kieszeni, jak na stole u siebie konstytucję, gwarantującą im określony zasób praw. Trafnie przeto francuski historyk literatury Maurice Colin zwraca uwagę na to, że sympatie oświeceniowe władców Rosji i Prus nie oznaczały bynajmniej rzeczywistej sympatii ani do przemian we Francji, ani też chęci do przestrzegania ówczesnych norm prawa międzynarodowego i nie hamowały ich mocarstwowych aspiracji kosztem najbliższego sąsiada.

Usadowienie na tronie polskim w 1764 roku Stanisława Augusta Poniatowskiego przy poparciu „familii”

Czartoryskich i nade wszystko zbrojnej pomocy Katarzyny II stosunkowo szybko doprowadziło do sytuacji, w której Warszawa, jak pisał poseł szwedzki w Petersburgu Nolken, stała się przedmieściem stolicy Rosji. Nie można odmówić monarsze polskiemu wielkich aspiracji intelektualnych czy nawet dyplomatyczno-politycznych. Jak pisał szwedzki dyplomata w Warszawie Lars Engeström, król polski *piękny, miły, prześlicznie mówiący po polsku, łacinie, po niemiecku, po włosku, po francusku i po angielsku, doskonale świadom wszystkich nowinek literackich i nowych instytucji obcych krajów, rozmową swoją cudzoziemcom imponował, czarował ich...* Był też niechybnie jednym z panujących najlepiej zawsze uwiadomionym o tym, co się w Europie działo. (...) Rozrzutnym był nie umiając być wspaniałym. Dawać nie lubiał, ale odmawiać nie umiał. Nie był złośliwym, ale mścił się dziecinnie w drobnostkach. Nie był dobrym, ale tak słabym, że często mógł za dobrego uchodzić. Nie wiem czy miał tyle odwagi osobistej co jego bracia, lecz brakło mu odwagi ducha i dawał się prowadzić wszystkim, co go otaczali, co się zbliżało do niego, po większej części kobietom... („Pamiętniki” (w) „Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców”, Warszawa 1963). Sporo w tej opinii Engeströma dowolności, ale niemało też trafnych spostrzeżeń, bowiem tam, gdzie dyplomata szwedzki pisze o słabej woli i o tym, jak ogromny wpływ na decyzje króla wywierało jego najbliższe oto-

czenie (bracia, zwłaszcza książę prymas Michał Poniatowski oraz niektóre przyjaciółki monarchy), nie odbiega od prawdy. Po załamaniu się pierwszej próby ambitnych reform Stanisława Augusta z lat 1764—1766 i katastrofie konfederacji barskiej, której konsekwencją stał się pierwszy rozbiór kraju, uzależnienie monarchy polskiego od Rosji stało się wręcz upokarzające. Doskonale to ilustruje anegdota XVIII-wieczna opowiadana w salonach warszawskich. Odbyna się bał, na którym są: król, ambasador rosyjski Repnin, znany z brutalności i biskup Młodziejowski. Repnin od niechcenia pyta swoich sąsiadów, co poczną, jeśli przestaną pełnić swoje dotychczasowe funkcje. Biskup Młodziejowski odpowiada: — Zostanę nauczycielem. — Dobrze, replikuje Repnin, a co będzie robić Wasza Królewska Mość? — Nie wiem... mamrocze niezdecydowany Stanisław August Poniatowski. — Ale, podpowiada ze złośliwym uśmiechem Repnin, Wasza Królewska Mość mógłby zostać tancerzem, wszak tańczy doskonale!

Wszelako król, mimo rozlicznych trudności i potknięć po utworzeniu Rady Nieustającej oraz Komisji Edukacji Narodowej, będzie zmierzał krok po kroku do stabilizacji państwa oraz podniesienia prestiżu Polski. Trzeba wszak pamiętać, iż z jednej strony rzucała mu kłody zacięta, rozzuchwalona klika magnacko-hetmańska, która ponad głową króla szukała w Petersburgu, poparcia, by upokorzyć Stanisława Augusta, zaś z drugiej strony wszelkie poczynania monarchy były kontrolowane i nadzorowane przez ambasadora Stackelberga, działającego ściśle według instrukcji Katarzyny II.

Szczególną protekcją monarchy cieszyła się Komisja Edukacji Narodowej, dzięki której udało się w Polsce na blisko ćwierć wieku przed jej upadkiem solidnie zreformować nie tylko akademie w Wilnie (znakomitą rolę odegrał w tym wypadku Józef Wybicki!) i w Krakowie (tutaj zapisał się złotymi zgłoskami ksiądz Hugo Kołłątaj), lecz także szkoły wydzielowe i podwydziałowe. Miało to niebagatelne znaczenie dla dalszych losów Polski. Wychowane bowiem zostało pokolenie ludzi młodych, z dobrych rodzin szlacheckich, ogarnięte „gorącą reformatorską” i przede wszystkim ludźmi utalentowanych, niejednokrotnie gruntownie wykształconych, którzy potrafili wykorzystać ową koniunkturę polityczną, jaka pojawiła się w tej części Europy, szczególnie na przełomie lat 1790/91.

U schyłku lat osiemdziesiątych XVIII wieku Europa podzieliła się na dwa obozy. Z jednej strony znalazły się tzw. dwory cesarskie: Rosja i Austria, z drugiej zaś państwa tzw. potrójnej koalicji: Prusy, Holandia i Anglia. Szczególnie ostro rysował się konflikt Prus z Austrią i Rosją. Ta ostatnia uwikłana była od 1787 roku w wojnę z Turcją (aż do 9 stycznia 1792) i w wojnę ze Szwecją (w latach 1788—1790). Siłą rzeczy tedy Rosja, która była filarem gwarancji (z 1768 i 1775 roku) utrzymujących Rzeczpospolitą szlachecką w marażmie ustrojowym (wolna elekcja, liberum veto, „złota wolność”), nie mogła ani skoncentrować się na wydarzeniach w Polsce, ani też unicestwić „gorączki reformatorskiej”. Tym bardziej znalazła się w niedogodnej sytuacji, iż uprzednio, w 1787 roku, Katarzyna II odrzuciła nieśmiało próby Stanisława Augusta na zjeździe w Kaniowie upodmiotowienia polskiej polityki zagranicznej i wyrażenia zgody na znacznie bardziej umiarkowane reformy za współudziału Polski w wojnie z Turcją.

Zwołany jesienią 1788 roku w Warszawie sejm rozpoczął obrady w bardzo korzystnej sytuacji międzynarodowej i częściowo wewnętrznej. Kraj, uwolniony od pobytu garnizonów wojsk rosyjskich, mógł się skoncentrować nad decydującymi dla losów państwa kwestiami. Tym bardziej, iż Prusy demonstracyjnie w swej taktyce antyrosyjskiej rzekły się 12 października roli gwaranta praw kardynalnych. W tej sytuacji przeciwnicy Rady Nieustającej, która była dla Polaków mimo wszystko symbolem uzależnienia Polski od Rosji, zaatakowali na sejmie istniejące struktury władzy. Sejm 3 listopada 1788 roku zniósł Departament Wojskowy Rady Nieustającej i powierzył władzę nad wojskiem Komisji Wojskowej Sejmu, natomiast 19 stycznia 1789 roku zniesiono całą Radę Nieustającą,

co praktycznie oznaczało rzeczywiste i formalne obalenie systemu gwarancyjnego. Było to otwarcie drzwi dla głębokiej reformy wewnętrznej Rzeczypospolitej. Już wcześniej sejm podjął wymowną decyzję podniesienia stanu liczebnego armii polskiej z 18 do 100 tys. kawalerii i piechoty. Kraj przez najbliższe trzy i pół roku będzie oddychał pełnią wolności politycznej.

Nadal historycy nie są zgodni czy rzeczywiście państwa tzw. potrójnej koalicji parły do wojny z Rosją na przełomie 1790/91 roku. Historyk Jerzy Łojek, autor książki „Konstytucja 3 maja” (Lublin 1981), utrzymuje, że pod koniec 1790 i w początkach 1791 *wybuch wielkiej wojny europejskiej wydawał się pewny i że w tej sytuacji potrzebna była Zachodowi pomoc Rzeczypospolitej*, tyle że Stanisław August Poniatowski nie potrafił wyciągnąć żadnych konkretnych wniosków z tej pomyślnej dla Polski sytuacji. J. Łojek właściwie uzasadnia i podbudowywał wcześniejszą opinię Szymona Askenazego, iż *przymierze polsko-pruskie jakie było założone w traktacie marcowym 1790 było rzeczą skróś realną i zdrową*.

Odmienne wszelako oceniał politykę przywódców Stronnictwa Patriotycznego historyk Walerian Kalinka, uznając, iż zerwanie królewskiego sojuszu z Rosją Katarzyny II i oparcie polityki reform o fikcyjny sojusz z Prusami z 29 marca 1790 roku było największym błędem politycznym tego sejmiku. Prusy, pozerane aspiracjami mocarstwowymi, potrzebowały nowych ziem polskich i jawnie zgłaszały pretensje do Gdańska i Torunia, natomiast Rosja nie potrzebowała ziemi polskiej, miała swojej aż nadto. Rozumiał to dobrze król i dlatego Stanisław August, który najdłużej opierał się zmianie sojuszy i zniszczeniu związków z Rosją, zdaniem wspomnianego Waleriana Kalinki, o głowę góruje nad wszystkimi społecznymi politykami (Paweł Popiel „Uwagi o Sejmie Czteroletnim Waleriana Kalinki, Kraków 1893). Nastawienie liderów Stronnictwa Patriotycznego, wybornie scharakteryzował austriacki chargé d'affaires w Warszawie Benedikt de Ceché pisząc do Wiednia: *obecni przywódcy polskiego narodu zdecydowali postawić wszystko na jedną kartę i raczej wszystko stracić i narazić Polskę na przyszły rozbiór, aniżeli zdecydować się na przywrócenie traktatu z 1775 roku i znosić nadal tak zwane jarzmo rosyjskie*.

Na czele przywódców Stronnictwa Patriotycznego, którzy pchnęli politykę polską na nowe tory, znalazł się światły magnat Ignacy Potocki, marszałek litewski, polityk z otwartą głową, główny architekt polityki zagranicznej Sejmu Wielkiego i współtwórca Konstytucji 3 Maja. Paweł Popiel napisze („Uwagi o Sejmie Czteroletnim...”), że Potocki był *wielkim patriotą, który głównie przyczynił się do konstytucji 3-go maja, który później [po insurekcji 1794 — uwaga Wł. Z.] głowę swoją ofiaruje Suworowowi za krew Pragi i Warszawy; pozostawił w potomności wątpliwość nie co do swojej cnoty, ale skutku zawiennego albo szkodliwego jaki wywarł na ostatnie Polski przeznaczenie*. Tak tedy na 100-lecie obchodów Konstytucji 3 Maja Popiel utrzymywał, że Potocki dał się omotać sprytnemu G. Lucchesinemu i niepotrzebnie mu się marzył Hohenzollern na tronie polskim. Zbijał zacięcie tej jeremiady na politykę Sejmu Czteroletniego i jej sternika Szymona Askenazy pisząc, iż *bezużyteczne skargi żalosalne na zdradliwe już z góry, zdradliwe z premedytacją kuglarstwo pruskie uprawiane w pisarstwie księcia Kalinki zwalnianą w istocie rzeczy od odpowiedzialności Prusy, służą ich wybieleniu i pomniejszają błędy popełnione przez Sejm Czteroletni*. Błąd nie tkwił jego zdaniem w koncepcji, w założeniu filozoficznym polityki Ignacego Potockiego, lecz w tym, iż sejm nie nadszedł za szybko zmieniającą się rzeczywistością poza granicami Polski.

Paweł Popiel trafnie wiązał gorącą reformatorską na sejmie, zwłaszcza po 16 grudnia 1790 roku, gdy wybrano 105 nowych posłów, z duchem reformatorskim ówczesnej Europy: *był to czas Rousseau, Mably'ego, kiedy opat Sieyès urządzał Francję na papierze, zaś Thomas Paine twierdził, iż tylko ten obywatel jest wolny, który konstytucję swej ojczyzny może nosić w kieszeni* („Uwagi o Sejmie Czteroletnim...”). Z tej właśnie szkoły myślenia wywodzili się

O SKUTECZNYM RAD SPOSOBIE ALBO O UTRZYMYWANIU ORDYNARYJNYCH SEYMOW.

*Nemo est tam inimicus causae suae, qui non
malos Cives, aut homines improbos,
dicere audeat. Cicero ad Cicer.*

W WARSZAWIE

w Drukarni J. K. Mici z Rypley
u XX. Sebelarum Piarum
Roku MDCCLX.

Rep. fot. Alfons Klejna

przywódcy reform na Sejmie Wielkim: Ignacy i Stanisław Potocy, Stanisław Małachowski, Stanisław Sołtyk, Tomasz Wawrzecki czy też stojący poza sejmem: Hugo Kołłątaj i ksiądz Scypion Piattoli, powiernik i doradca króla. Dość wymowne, iż pamiętnikarz Friedrich Schulz, autor wspomnień zatytułowanych „Podróże Inflanckie z Rygi do Warszawy i po Polsce w latach 1791—1793” (w: „Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców”), do grona najwybitniejszych reformatorów działających na sejmie lub wokół sejmu zaliczył także Józefa Wybickiego, wymieniając jego nazwisko obok Juliana Ursyna Niemcewicza i księcia Adama Kazimierza Czartoryskiego. Następnie zaś dodał: Wybicki, deputowany od miast wielkopolskich na sejm, był od nich [posłów — uwaga Wł. Z.] starszym, miał już lat czterdzieści, znanym był dawniej w kraju jako dobra głowa i dobry pisarz. Znano go także jako patriotę, gdyż na sejmie, nie wiem którego roku, on sam jeden złożył protestację przeciwko jakiemuś wnioskowi od trzech mocarstw sąsiednich popieranemu. Zniknął później dla ubezpieczenia osoby swej i nie wrócił aż na początek sejmu konstytucyjnego. Przyjęli go bardzo radośnie patrioci, czynnym był z wielkim zapętem, pisał i mówił w sprawie reform. Dawniejsze pismo jego nosiło tytuł „Listów patriotycznych” i miało być żywo i dowcipnie ułożone. Wspominałem też o jego dziełach teatralnych. Nie sądzę przeto, by można było się zgodzić z opinią znakomitego historyka Adama Mieczysława Skałkowskiego, który w syntetycznym szkicu biograficznym Wybickiego („Józef Wybicki 1747—1795”, Poznań 1927) napisał, iż rola autora „Listów patriotycznych” na Sejmie Wielkim, na który nie został wybranym posłem, była mało znacząca i że najprawdopodobniej nie dopisywało mu zdrowie, by mógł aktywniej włączyć się w życie polityczne kraju.

Faktycznie Wybicki nie został posłem, a więc nie wszedł w skład wyłonionej 7 września 1789 roku Deputacji do ułożenia projektu formy rządu (konstitu-

cji), której formalnie przewodniczył doskonale znany mu z czasów konfederacji barskiej jej mózgi polityczny, biskup kamieniecki Adam Krasiński. Wybicki cieszył się dobrym zdrowiem wówczas i myślał początkowo o mandacie poselskim. Dopiero pod wpływem i namową swych przyjaciół, jak wyznał to w liście z 30 maja 1791 roku do księdza Hugona Kołłątaja: na jego [Kołątaja] i [Ignacego] Potockiego perswazję, zaniechawszy pretensję moją do poselstwa, przyrzekłem być z miast deputowanym na sejm, za co mi Kołątaj dziękuje i do Warszawy wzywa do prac prawodawstwa (W. Zajewski „Józef Wybicki”, Warszawa 1989). Z listu Wybickiego wynika dość jasno, iż od samego początku prac Sejmu Wielkiego pozostawał w ścisłym związku i łączności z przywódcami Stronnictwa Patriotycznego i tylko na ich nalegania zrezygnował z zabiegów o mandat poselski. Dlaczego?

Odpowiedź jest dość prosta. Wybicki uważany był i słusznie za świetnego eksperta zagadnień społecznych Rzeczypospolitej. Rodem z Pomorza, znał dobrze nie tylko kwestię włościąńską, lecz i miejską. Uważany był za zwolennika emancypacji mieszczań, włączenia ich czynnego w życie polityczne Polski; miał wyrobione kontakty i cieszył się poważaniem oświeconych środowisk mieszczań Warszawy i Poznania, mimo iż wywodził się ze średniej szlachty. W zamiśle twórców reformy państwa sprawa miejska miała być jej bardzo ważnym, istotnym elementem. Oto dlaczego Wybicki wszedł z opóźnieniem, dopiero 10 sierpnia 1791 roku, a więc już po uchwaleniu Konstytucji 3 Maja, do sejmu jako plenipotent miast wolnych z wydziału Poznania. Wybicki miał być wyrazicielem, uosobieniem zmian dokonujących się w Rzeczypospolitej, a w rzeczywistości był współorganizatorem tychże przeobrażeń. Nie bez racji utrzymuje znawca literatury politycznej epoki Sejmu Wielkiego, Roman Pilat, iż z różnych wskazówek sądząc, jest prawie niewątpliwym, że [Wybicki] w tej sprawie wydawał broszury polityczne („O literaturze politycznej Sejmu Czteroletniego”, Lwów (1872). A. M. Skałkowski stwierdził w wymienionej już pracy, że w 1789 roku Wybicki był sekretarzem komisji podatkowej, która ścigała zadeklarowane na sejmie podatki na rzecz zwiększenia liczby wojska. Prezes tejże komisji na okręg poznański, pisarz koronny Maksymilian Mielżyński, składał Wybickiemu podziękowanie za jego bezinteresowną pracę, która jest nowym do zastępstwa Twoich dodatkami i życzył mu, by w dalszej działalności wysoki w narodzie dopiół zaszczytów, a później potomności zostawił do uwielbienia chwałę rozpoznań swego w narodzie światła i posuniętego dobra publicznego, a do naśladowania istotne Twoje obywatelskie cnoty. Wydaje się przeto, że Wybicki, acz nie należał do grona najgłośniejszych osób redagujących kolejne projekty konstytucyjne, to jednak pośrednio sprzyjał pracom Deputacji konstytucyjnej, popierając pomysł obdarzenia prawami obywatelskimi mieszczań i czynnego wciągnięcia ich w życie polityczne kraju, jak też łagodząc tarcia między przywódcami Stronnictwa Patriotycznego a królem, z którym pozostawał w bardzo dobrych kontaktach osobistych (od 13 listopada 1780 roku nosił tytuł szambelana królewskiego!). Świadectwem tej sympatii Wybickiego do króla były jego wrześniowe mowy z 1791 roku na sejmie, w których bardzo wysoko podnosił zasługi monarchy dla kraju. Jest rzeczą naturalną, iż monarcha w rozmowach z przywódcą Stronnictwa Patriotycznego dążył do ustabilizowania i wzmocnienia władzy królewskiej w Rzeczypospolitej. Ten też cel przyświecał zwolennikom Stanisława Augusta Poniatowskiego w sejmie. Ignacy Potocki — przeciwnie. Ten republikanin konstytucyjny z przekonania, w projektach swoich, twierdził prof. Emanuel Rostworowski, podporządkowywał sejm sejmikom, a władzę wykonawczą sejmowi. Tron miał być dziedziczny, ale bezsilny („Czasy Saskie i oświecenie” w: „Zarys historii Polski” pod red. J. Tazbira, Warszawa 1979). Ostateczny projekt Konstytucji 3 Maja był dziełem kompromisu między propozycjami Ignacego Potockiego i kontrprojektami Stanisława Augusta Poniatowskiego, najczęściej formułowanymi za pośrednictwem ks. Scypiona Piattoli. Należy wszakże pamiętać, iż niebagatelną rolę przy osta-

tecznej redakcji odegrali także ks. Hugo Koliński i marszałek sejmu Stanisław Małachowski. Pamiętać także wypada o postaciach „drugiego planu”, takich jak poseł Aleksander Linowski, plenipotent miast wolnych, Józef Wybicki i wielu innych, których trud i aktywność przyczyniły się do ostatecznego sukcesu zwolenników nowej konstytucji.

Poprzedzone poufnym zebraniem zwolenników konstytucji w Pałacu Radziwiłłowskim 2 maja wieczorem, na którym odczytano ostateczny tekst konstytucji, odbyło się przyspieszone o dwa dni wielce dramatyczne posiedzenie sejmu w Zamku Królewskim 3 maja. Zwolennicy reformy potrafili zorganizować tłumy ludności, która w sposób bardzo zorganizowany i statnowczy „asystowała” posiedzeniu sejmu. Miała ona wywierać presję moralną i fizyczną (w ostateczności) na przeciwników reformy państwa. Posiedzenie rozpoczęło się w obecności króla o godz. 11 odczytaniem przez posła Tadeusza Matuszewicza depesz naszych dyplomatów, z których emanowało widmo zagrożenia suwerenności Polski. Po tych zatrważających relacjach dyplomatycznych, skumulowanych z określonym celem, nieoczekiwanie wpadł na środek izby poselskiej poseł kaliski Jan Suchorzewski, pozyskany przed kilku dniami przez ambasadora rosyjskiego Jakowa Bułhakowa. Cisnął pod nogi króla Order Św. Stanisława i zawołał do króla, iż *wie, że uknowana jest rewolucja podobna do szwedzkiej, która wprowadzając rząd nowy do kraju, wolność narodu zmieniła w niewolę. Krzyknął następnie, iż oświadcza się nieprzyjacielem Polski i ratować jej przez włożenie kajdan nie myśli. Ledwo go wyprowadzono, a już wpadł po raz drugi z kilkuletnim synkiem wołając, iż zabije go tu na miejscu wśród obrad sejmowych, by nie dożył niewoli, którą ten projekt krajowi gotuje. Na nic się zdała obstrukcja posła Suchorzewskiego i wspierającej go grupki malkontentów. Po sześciogodzinnej wyczerpującej debacie, krzykach i przekrzykiwaniach, wezwano zebranych do zaprzysiężenia tekstu odczytanego konstytucji. Rozległy się okrzyki „Wiwat król!” „Wiwat konstytucja!” Jak pisze historyk tego dramatycznego dnia Leon Wegner w „Dziejach dnia trzeciego i piątego maja 1791” (Poznań 1865) posłowie przystąpili do stołu, na którym leżała Ustawa Rządowa z dnia 3 maja, bez najmniejszego już oporu zaopatrzyli ją podpisami swymi, a przez dopełnienie tej formalności, nadali jej ostateczne znaczenie, powagę i moc prawa naród cały obowiązujący. Król w towarzystwie posłów i senatorów, zwolenników konstytucji udał się pieszo do katedry św. Jana, gdzie po uroczystym Te Deum biskup Turski odczytał rotę przysięgi, zaś zebrani podnosili palce do góry na znak ślubowania. Filozof i polityk konserwatywny, Anglik, Edmund Burke napisze potem, iż *grono najwspanialszej szlachty na świecie stawilo się na czele szlachetnych i wolnych obywateli. Nikt straty nie poniósł, nikt poniżonym nie został.* (L. Wegner „Dzieje dnia trzeciego...”). Natomiast w Paryżu Konstytuanta przyjął chłodno naszą konstytucję. Uważano ją za zbyt monarchiczną i Rada Muncypalna Paryża nie chciała z tego powodu wysłać gratulacji do Warszawy.*

Generalnie rzecz biorąc Ustawa Rządowa z 3 Maja 1791 roku znosząc liberum veto, wolną elekcję, konfederację i sejmy skonfederowane, zaprowadzając naczelny organ administracji rządowej, tzw. Straż Praw z udziałem marszałka sejmu, umożliwiając awans społeczny i polityczny mieszczaństwu oraz biorąc w łono pod opiekę prawa i rządu — bardzo istotnie modyfikowała anachroniczny ustrój Rzeczypospolitej i torowała drogę ku scentralizowanej monarchii konstytucyjnej. Nie bez racji napisze prof. E. Rostworowski („Czasy Saskie i oświecenie”), że Konstytucja 3 Maja była owocem trwających od czasów Konarskiego i sejmu konwokacyjnego 1764 polskich usiłowań reformatorskich i przymusów nad naprawą Rzeczypospolitej. Joachim Lelewel porównując zaś, jako pierwszy w naszej historiografii, trzy konstytucje — 1791, 1807 i 1815 roku, najwyżej ocenił Konstytucję 3 Maja, jako najbardziej odpowiadającą duchowi polskiemu i naszej tradycji narodowej: W Rzeczypospolitej Polskiej i w jej konstytucji 1791 roku naród jest celnym przedmiotem prawodawczym. Polska powołując każdego obywatela, szlachcica i mieszczańszczyznę do życia politycznego była prawdziwą rzeczypospolitą. ■

CZY POLSKA MOGŁA OBRONIĆ KONSTYTUCJĘ MAJOWĄ?

Marcin Borowski

U progu Sejmu Czteroletniego w Krakowie w 1788 roku ukazała się książka holenderskiego publicysty P. van Wonzela pt. „Stan niniejszy Rosji”. Autor ostrzegał w niej, iż na północy Europy wyrosła groźna, konkurencyjna dla Holandii potęga gospodarcza, morska i militarna — państwo Katarzyny II, które w razie konieczności może zmobilizować 350-tys. armię, w tym artylerię do 35 tys. Otóż ta potęga, jako gwarant praw kardynalnych w Rzeczypospolitej, skoro tylko w styczniu 1792 roku ustały działania wojenne z Turcją, wcześniej ze Szwecją, podjęła przygotowania polityczne i militarne do zdławienia ruchu reform polityczno-ustrojowych w Polsce. Przygotowania polityczne poprzedziły ostre ataki propagandowe skierowane przeciw konstytucji majowej, jako dziełu skażonemu od samego początku duchem jakobińskim. Wyjątkowo trafnie przewidywał ten rozwój wydarzeń poseł saski Georg Völckersahm, który w depeszy z Petersburga już 15 grudnia 1791 roku donosił do Dreżna: *Polityka rosyjska jest głęboko nieprzyjazna tak wobec nowej konstytucji, jak i kwestii dziedziczności tronu. Z tego też faktu należy wyciągnąć wniosek, że Rosja będzie się starała obalić wszystkie reformy polskie. Duma cesarzowej została poważnie zraniona przez zniewagę, z jakimi spotykała się od początku sejmu. Ona faktycznie nie zaaprobowowała żadnych zmian, które zostały wprowadzone w Polsce bez jej zgody. Jej zawziętość i upór, z jakim wstrzymuje się od oświadczeń w tej sprawie dowodzi wymownie, że zamierza wykorzystać niedawne wydarzenia w Polsce zgodnie ze swoimi ukrytymi i głęboko przemyślanymi planami. Ten plan był dość prosty, wspominała o nim jeszcze nim została uchwalona konstytucja majowa, mówiąc do G. Potiomkina: skoro Bóg obdarzy nas pokojem, utworzymy rekonfederację w Polsce. Natomiast już po uchwaleniu konstytucji majowej napisała do F. M. Grimma: Polacy przewyższyli wszelkie szaleństwa paryskiego Zgromadzenia Narodowego! Muszą być istotnie opętani przez diabła, aby działać w sposób tak przeciwny ich własnym interesom i samej podstawie ich egzystencji.*

Decyzja o wojnie z Polską zapadła w pierwszej dekadzie kwietnia 1792 roku; deklarację o wkroczeniu armii rosyjskiej w granice Rzeczypospolitej Jakow Bułhakow doręczył w Warszawie 18 maja 1792 roku. Uwolniona od wojny z Turcją carcyca mogła zmobilizować przeciw Polsce, i to z dużym wysiłkiem,

niespełna 100-tys. armię. 22 maja 64 tys. żołnierzy pod wodzą gen. Kachowskiego wkroczyło na Ukrainę, zaś 33 tys. pod wodzą gen. Kreczetnikowa na Litwę. Siły poważne, ale nie aż tak straszne przeciw 9-milionowej Rzeczypospolitej. Wodzowie rosyjscy nie zdradzali też szczególnych talentów wojennych, nic tedy dziwnego, że Katarzyna II najbardziej liczyła na zastraszenie i złamanie ducha oporu Polaków, a szczególnie podatnego na tę taktykę Stanisława Augusta Poniatowskiego. Rosjan wspierali targowiczanie, którzy w Petersburgu 27 kwietnia 1792 roku podpisali Akt Nowej Konfederacji, opatrując go późniejszą datą — 14 maja 1792 w Targowicy.

Zgodnie z Konstytucją 3 Maja, sejm 22 maja 1792 roku przekazał całą komendę nad wojskiem monarchy, który z tej okazji zapewnił posłów i senatorów: *Ufajcie! Gdy trzeba będzie ofiary życia mego nie będę szczędził!*

Faktem jest, że siły polskie ustępowały liczebnie armii rosyjskiej. Polakom udało się wystawić na Ukrainie 22 tys. korpusu pod wodzą księcia Józefa Poniatowskiego oraz 18-tys. armię na Litwie pod wodzą księcia gen. Ludwika Wirtemberskiego (okazał się zdrajcą, zastąpił go później gen. Judycki i gen. Zabiello). Faktem jest też, że zawiódł sprzymierzeniec pruski, który samowolnie uznał, iż alians z 29 marca 1790 roku nie obejmuje obrony konstytucji majowej. Ale bitwa pod Zieleńcami (18. 6.) i pod Dubienką (18.7.1792) pokazały, że Polacy potrafili stawiać opór. Mimo że armia polska cofała się w kierunku Bugu i Warszawy nie było militarnych powodów do paniki, tym bardziej do kapitulacji. Polski korpus oficerski żądnym był walki. Polacy wystrzelali zaledwie 1/4 amunicji działowej. Linie zaopatrzeniowe armii rosyjskiej znacznie się wydłużyły, zaczęły się poważne kłopoty z dostawami amunicji i uzupełnianiem braków. Nie zanosilo się przeto na łatwe zwycięstwo Rosjan, tym bardziej, że wojna toczyła się na ziemiach, gdzie ludność była wrogo ustosunkowana do najeźdźcy. Jednakże duch oporu u monarchy był najzupełniej nadwątlony. Z góry uznał, że w tej wojnie Polska stoi na straconej pozycji, toteż pod różnymi pretekstami odkładał swój wyjazd do obozu wojskowego, by stanąć na czele obrony zgodnie ze złożoną przysięgą. Zdaniem króla skarb państwa był pusty, nadzieja na pożyczkę holenderską — żadna. Przeto, jak utrzymywał później król, *puścić się na los niepewnej jednej batalii, którą gdybyście przegrali — rozproszono by was, to już i po waszym.* A chociażbyście i wygrali, a z wielką stratą ludzi, skądże ją nadgrodzić? Tak oto monarcha, nie kontrolowany przez sejm, który niefortunnie załimitował swe obrady 29 maja 1792 roku, podjął akces do Konfederacji Targowickiej, a z nim kilku przywódców reform, w tym podkanclerzy ks. Hugo Koliątą. Mieli złudną nadzieję, że uda się im ocalić Polskę przed rozbiorem i nawet zachować część reform. Gdy jedynym ratunkiem był zbrojny, zdecydowany opór, podjęcie bitwy o Warszawę i ewentualne negocjowanie w pełnej gotowości do walki. Do takiej właśnie taktyki wzywał Stanisław Augusta Poniatowski marszałek litewski Ignacy Potocki, pisząc z Berlina 10 czerwca 1792 roku: *Pierwsza myśl Waszej Królewskiej Mości nie wszczynać negocjacji innej jak tylko zbrojnej, do czego śmiem dodać: w obozie, a nie w stolicy, zdaje się najzabawniejsza!*

Porównując zbrojny wysiłek znacznie już osłabionej Polski w czasie insurekcji kościuszkowskiej 1794 roku, a więc dwa lata później, widać wyraźnie, że środki i sposoby obrony dzieła reformy w Polsce w 1792 roku nie zostały wyczerpane, że załamanie się reform dokonało się bardziej z przyczyn politycznych niż militarnych.

Działacz patriotyczny Franciszek Dmochowski w broszurze pt. „Précis des causes de la destruction de la Pologne”, Paris 1797, napisał, iż dzięki militarne-
mu złamaniu miękkiego oporu Polaków, Rosja zagarnęła w sumie ogromne terytorium 50 tys. mil kwadratowych, podwoiła swoją ludność i dochody oraz de facto wkroczyła do Europy. Taki był tragiczny owoc rozbiórów Polski. ■

Jan Drzeżdżon

BIŌLI KŌLP (1)

BIELAWA POBIEGUJE

Mie so tak da wëdzrzec przez okno, a tã Mariczka sztiblëje drogã. Dzesz ta kuflõ, jõ so mëszi, mõe dze na jaczi różanc, te bialczie tak w niedzielę po pólniu chodzą na różanc. One mają w Dąbrowie aż dwie różę, chłopi le jedną. A to Mariczeszczë so tã kuflõ, jõ so mëszi, le ji ta szõtka nadlatëj. Czëdesz Mariczka to bëło dzëwcë le proszë widzec, wiedno we włosach mia czerwionã szlëfkę, a bõte jak wëszpëglowonë. To tak nie da zarë taczë frelenë, a te jak ona tancowa, jõ doch mogë pamiętac, jak róż szła z Kapeczim, on le tak nadlatowõl, a to bël ju sztek chłopa. Jo, a cëz terë z nië ostã, krzewõ, dërch tak pól usmiõnõ, jakbë so kogu sromë. Në ko prosto rzec — stõrõ babã. To nawet wëdzrzi jakbë mia përzne pukla. Mõe ona le je tak skrzewionõ, ko ona nieborõk w zëcym zõdnë lakotë ni mia. Choc tak prõwdë rzec chtësz tu mõ tak wielgã rozkosz na tim swiece, jak nen stõri Bialk wiedno rzekl, ko to je richtich omëka.

Nië, po prõwdzë tu ni ma na tim swiece wieldzie rozkoszë, ale tã rzec kõi rõd zëje, jak przindze do umrzenië, te co to je za rëczenië, a jamrowanië. Jõ rõd nie jidë na pogrzyb, jõ mili zdrë nõ niego z dõleka, te to so mie nawet widzy, lëdzë jidã za zarka z głowamë spuszczonëm a spiewajã. Konie a wõz sã wëstrojonë zelonym. Jak chto umrze krõtco kol nas, te oni muszã jidz farbi a to spiewanië je fejn czëc. Te jo so ustapië medzë szurkã a chlëwë, tak zëbë mie dëcht nie bëło widzec a zdrë, a slëchajë.

Jõ so tak mëszi, mõe bë Mariczkë zascëgnã, a te jõ bë z nią rõd pogõdõl, ko w niedzielę po pólniu to czlowiek tãz ni mo dëcht co robic, kruszom jõ móm wrzuconë, kõi tãz grëzë, nã a tã becic, te ona Stazja wefardichujë, ta tim jõ so nie darwajë czarowac. Stazja, ona so dõ za wszëtczim radë, jõ nõ nië ni mogë nic rzec. Takã bialkë to trudno poszëkac, a nõlepi ona potrafi uchowac gãsõra. A ta ona jich mo zecht, a taczë brzëdolë, zë sã gorsze jak psë. Jõ muszë miec dërch põtë zamklë, to jinaczi nie jidzë. Bo knap one le zmerkajã, zë põtã je przeotemklõ, to one sã na drodze, a te wa le mia widzec. Jak tã le so blõs chto pokõzë, te one jidã nõ niego ran, ko ten nie wië, dze kãta

szkac. To jesz są co wicy jak găsôre, ko jô môm strach windz na drogę. Prawie Stazja ta nié, za nią one jidą jak owce, ona jima do zréc. A te to môtaczié skrzydla, a dzobé. Ale teré one są zaszporowóné, tak że drogą móze każdy jidz.

Jô bē mógł zaklepnąć na okno, ale te ona bē tego nie czēla, móze ona je jako zamészlonó abo téz i gléchó a te to tak dēch bē nie wēzdrza, zēbē jô na okno klepól jak chto jidzē drogą.

Stazja so pērznę przēległa na lawie kol piēcka, ona bē so mógła lētko wēzrasnāc. A te ona bē so mie spita: A na kogoż tē, tē Antónku, klepiesz. Nē jô bē muszól rzec, że na Mariczkę. A te Stazja bē so porwa a bē rzekła: Cēs z tē z nią mōsz do czeniēni, zēbē tē doch dól Maricczce poku, ona pewno jidze na rózanc. Niech doch bialka jidze swoją drogą.

Jô bē nie chcól dēcht przindz z swoją Stazją w sztridkę, w niedzielę po pólniu, je tak fejn cēcho, człowiek so móze legnāc a za niczim nie czērówac, a te ma bē so mia sztridowac o głupé klepaniē. Nē to lepi, że jô na to okno nie zaklepnā. Ale z Mariczką jô bē ród pogódól. Jô mēsłē, że ona zē mna téz. Jô mdę muszól so tu jakusz wēkarowac z tē jizbē nim ona zańdze za szopkę. Ona dēcht dzērznē, jô mdę muszól so pospióc.

Chto wié, dze je na moja muca, ona tu wiedno wisa pod bēlką, chto wié, dze jô ję môm rznionē.

Wele, lezi biēs na stoleczku, a na ni kot.

Biō że pērznę dali Mórecku a daj mie tē mucę. Nē tē mēsłisz, że jô so chcę z tobą zabawiāc, jô terē ni môm czasē, muszē chutko nēkac za Mariczką, zanim ona nie zóndze za szopkę, jô bē nie chcól za nią zē wsladē wolac. Tak jo, te tē jes fejn. Fejn Mórca. Terē so sadni dali na tim stoleczku, jak ce tak je dobrze. Sadni le so.

Jô muszē jidz za nā Mariczką wēzdrzec, chto wié cze ona nie mdze uszlō, to so tak mēsli, ale nigle so człowiek wēpēzgli to warō a warō. Jô pamietājē, jak nō nieboszczek tatł téz wiedno gódól — zanim człowiek so te szpēre wēpuscy a te so wētémłēje, nē te to je wnet pólniē. Ale on bēl starszi jak jô terē, cze on tak gódól, on wic wiedno sódól na lawie kol piēcka a mówiól rózanc. Czasē Agnes, moja matka a jęgo bialka, przēniosła mu upiēklē na baranim szmulce plence. On ni miól zēbów, ale ne plence jakusz szcamiól. Tē nasze bialczē mogā fejn plence piec, ko jak Stazja upieczē, te jima téz nic nie felō. Mie so nawet tak wēdeje, że Stazjinē plence są lepsze jak nēnczenē. Ale tak jak komu szmakō, jô jem pewno do nich barzi przēnalōzony, tatłowi onē bē pewno tak nie szmakalē. Tatł bēl wiedno dzywny kol jedzeni. Nēnka z nim mia dēcht malēr, a te zēbē on co rzekł, niē, mucę pocesną a szed abo w chlēw, abo dze w las. A ona za nim wolō: Ne powiedz że Frēcē, cēz ce richtich je nie szmakō ce to. Jô ce mōzē upiēkē grzēbów abo uwarzē chutiszko zócercie. Ko tē doch jes głodni. Na ostatku ona zaczē ju wadzec: Ko te biō tē stōri wēkrēkusē, biō dze ce szpēre poniosā, nōlepi w Augustowē brzōszi a tē so legni, a slēcho jak wiater w lēstach szēmi, mēsłisz tē, że jô nie wiēm, że tē tē lēgōsz. Taczi delemon to nie wi, co je dobrē, jô do niego tak a tak, Frēcku móze to, abo Frēcku móze chleba zē szmul-tę, a te jesz obložonē. Niē, tacziēmu niekarze to so nie widzy, to so weznie a lezē, a terē chtēs z to mdze cze a wēmiszlō.

Mē kol nēgo stole nic nie gódalē, kożdi bēl sztlē jak mēsł. Jak nēnka wadzēla te to so muszól wzy-c w nacht. Mē wiedzele, że ona bēla tim glosniēs-zō, czym tatł bēl dali. Ale jak on bē le nazod przēs-zed, a sód kol nas, ona bē bēla dēcht sztlē. Mē to wszētko dobrze wiedzēl. Tatł wiele nie gódól, ale on le tak wēzdrzól ta te móg jic jesz bē so nodzie polomiól. Ale jak on ju bēl uszli, te on nazōd nie przēd, nēnka o tim wiedza, temu ona so tak znōsza. Te to bēlē czēsto jinē czasē, jak to so człowiek móze domēs-lac.

Wiēs tē, Móreć, cēz tē tē mōszes wiedzec te jes szcēsłēwi, że tē sedzysz na moji mucy, ona je od tego pērznę ugrzōnō, ona tu muszēla z gozda spad-nāc, a Stazja ję pewno tē polożēla, a ten kot zarē to zmerklōl. Ko pewno na mucy to so wiele lepi spi jak na stoleczku, a te ten Móreć to je sztlēk

kuńdē, jak on le móze co krēgnāc, te on tē je, jak nō kot.

Tak tē le so tu spi Mórecku, jô muszē jic wēz-drzec za Mariczką, bo ona mie uceczē. A dzesz są te moje kufłē, onē tu wiedno stojile kol platē, a terē jich ni ma, jô mdę muszól zbudzec Stazję, to nie mdze radē. Jô muszē tak zakuknāc cze ona jesz spi, zēbē so nieborōk nie wēzrasla.

Stazja. Czējesz tē!

Stazja nic, ona mrēczi cze chrapie. Jô mdę muszól pērznę glosni, móze ona uczējē. Jo poprōwdzē ona przēotemkła jedno oko, ale móze ji so co snije.

Stazjiko, spis z tē, nie wiēs tē dze są moje kurpē, one tu wiedno stojelē kol platē, móze tē mōsz jē dze ustawionē.

Ona spi. Nie mdze radē, jô mdę muszól so sóm je wēsžēkac, one muszā bēc dze ustawionē, móze barzi pod stolē. Welē, są biēsē, stojā, to ona muszēla ji miec dze postawionē, one ji pewno bēlē w drodze. To są dobre kurpiszczā, mocnē, skōrowē, z grēbēmē zōlamē, jô mogē w nich wlēc wszēdzē, cze w gnōj, cze w Biēlawē, one nie przēmiknā. A w niedzielę, jak jô so jich wēblēkujē, te jidē w nich do koscla. Nie so w nich nawet szōtno jidzē. Bialk mō dēcht taczē same skorznie, ale tē moje mie so nawet wi-dzy, że bēle pērznę drogszē, one mają jakbē grēbszē zōle. Rōz kol koscle ma tak z Bialkē stojā, a te mē ta do se przēstapilē a jô wēzdrzól na tē zōle, a jęgo bēle pērznę cenkszē. Jô so nie dól nic merkac, a on tēz nic nie rzekł.

A te za szōtō on so spitōl — dzesz tē Antónku, tē twoje skorznie kupil?

Ko w Miescē — jô mu rzekł — w Miescē na rēnku.

Mōze od tego samēgo strēcha co jô — on so spi-tōl? On tē stoji czēsto w nōrce, jak le wlēszes na rēnk. Mō wąsk, a taczē prēk oczē, to je szewc dzesz tē z dali.

Jo prawie od niego — jô rzekł — od tego samēgo strēcha, on potrafi dēcht zacht przēgadowac.

Ale téz mō dobri towōr — rzekł Bialk. — Jakusz dlugo jô kurpiē w tēch skorzniach, a one są dērch jak nowē.

Mie so mocno zdaje, że nieboszczēk tatł od niego kupiōl — jô rzekł do Bialka.

Ale Tōnku, to doch nie je mōžno — odpowiedzōl Bialk — to muszól bēc chto jiny, a móze ojc tego jistnēgo szewca.

To mōg bēc jęgo ojc, pewno jo — jô rzekł do Bialka — mōcē Bialk prōwdē.

Jo, moje kurpiszczē to są dobrē bōtē, nen strēch mōg przēgadowac, zēbē kol niego kupic, ale téz miōl dobri towōr, to nie móze rzec, jô so wiedno tak o tim wszētczim zmēsłzē jak jô nē kurpē trekajē. Jô mdę muszól jidz buten trēptnāc, zēbē one so tak wloželē, bo na Stazja mogla bē so lētko zbudzec, niech spi bialczeszczē, to je w niedzielę po pólniu, ona so ród tak na ucho legnie, jak to so rzecze. Ona so tak ten cali tidzēn nacamiō, a ten nen przindzē, a nen a z kaźdim odpawi, a te w chēczech muszi bēc czēsto, to wszētko nō niā zdzē. Ti naszī Mōrcēn a Weronika ti le zdzā, zēbē dze moglē biegac do wsē. Dzcē so tak nie czerējā, prawie że jich tak musz dostōnie, nē te one zrobiā, ale tak to wszētko Stazja muszi tu spērglēc, bo jinaczi tu bē bēlo kol nas jak kol szetornikōw. A tak te kaźdi móze przindz a sadnāc na zōfē abo na lawę, wszētko je wēklepōnē, okna wēmētē, to nie móze nic rzec. Tak téz niech so nieborōk legnie, to so ji dēcht nalezi. Jô bē jesz ji muszól przēkrec dekā nodzie, nodzie mogā nawet zmiarznāc kol piēcka. Ale jak jô mdę sztpēl w tēch mojih sztiflach, te to aż chēcē mdā drēnowalē a Stazja so zbudzy. Jô le muszē tak o pocuszku.

Ja, to so da, terē ona mō nodzie przēkrētē. Chto wiē, co ji so snije, ona so tak usmia, jōm jesz ostōl stojācē. Terē jô mogē jidz, le klēczkę tak lētko przē-otemkē, niech tu mdze tak sztlē, jak tu mō bēc w niedzielę po pólniu. Niech Stazja tē spi, niech Móreć sedzy na stoleczku, a jô so pērznę windę pogadac z Mariczką. Jô mēsłē, ona jesz nie zaszla za szopkę.

Nē moje kurpē są baro blēk. Ten chto bē nie wiedzōl, że jô jich tak fejn gutalinā smarējē, ten bē mēsłōl, że one są ze szkła. Jô so muszē na nich dobrze przēzdrzec. Ala na jô so mēsłē, wa to jesta

kurpiszcze, co jô waji niós z Miasta. To muszôl bęc dobri szewc. Onë tak wiedno wic kol platë stojôlë, a terë jô nie wiém, jak one so należlë tu pod stolë. Ale ju le ma ju, jô ji móm ju obleklë, terë jô mogë w nich sztiblowac. Onë nie są jesz dobrze wlazlë, jô bë muszôl dobrze nimë treptnac, te to bë bëło to richtich. Terë jô muszôl dëcht o pocuszkutu wëlesc, żebë ona Stazja so nie zerzasła. Nëże na klëczka. Jo, ale ta nasza klëczka je zarë czëc, jakusz jô to zrobië. Mòże jaczim rókse.

Ale te Stazja so porwie na nodzie a mdze mëslëla, że to jacji kónc swiata. Ale dze Stazjiko, to nie je żóden kónc swiata, to le jô biegają wëdzrec za Mariczką.

Le pomalë, czësto pomalë, jô bë doch tã klëczkã wnet ugriz, a te prosôl na miłosć boską, żebë ji blós nie bëło czëc.

Dwiërse so përzne przëotemklë.

Në ko te jô mogë ju jednã nogã postawic. Stazja spi, to tak je czëc jakbë w nim piëcku burcze. Ko niech spi bialka, cëz ji je nót. Nierôz ma dwoje so legniema kol piëcka, ta lawa je tak szerokô, że ma so obrëmima. Stazja nie je takô szerokô, chtërny gódają, że ona je dosc grëbô. Ko pewno, że zmiarto ona nie je, ale żebë bëła grëbô, to tãz nië. To dô bialczë grëbë, że so nie mogã uwilëc, ale nië Stazja, ko richtich jak so nalezi. Pewno, że ona tãz móg moc za tim. Jô mëszlë, że jak ona bë komu zadwignë, te to bë lónowa.

Rôz z Klarą Albeczich one so posztridowalë kol Biëlawë, ale to ju są lata, jô jednak mogë pamietac. Stazja do nië przëstąpiła, a to bëło prawie w ny modze, a rzekła, tak a tak Klara tã prówdë ni mós, a mie tu dëcht nic nie gadu. Klara zrobiła so czësto tamrô, a z ny modë kracze rut. Mie so mocno wëdôwa, że Stazja bë ji mia jednëgo upieklë. Muszë rzec, że ona je tak w sztëdzë jak jô. Jak ma tãz jidzema do koscia fejn pod rëkë, te jô móm wielë razi czëtë, jo to je dëcht pôra, ti so do se pasëją. Chto wië, chto to je. A te jak przindã krótko a rzekã pochwóleni, te jô czëjë, to są Tóna ze Stazją, më waji ni moglë z dôleka poznać, a te wa dosc flot szła, to waji so nie szło nagonic. Na koscelny drodze je wielë lëdzy z dôleka, te spod trudna, żebë tak zare poznôl. A te jak so jidzë przez las, te to në cenie mërgają to w całosci so nie dô od razu poznać, chto to jidzë.

Jô dëcht móg nie jem za wësoczi, ale Stazja nigdë mie nót nie rzekła. Jô so nierôz mëslôl, że każdô bialka bë chca miec wësocziëgo chlopa, ale ona so nie da nic mërkac. Ko moli jô tãz nie bël, taczë strzëdny chlop. Stazja zôs bëła forszô bialka. Ona tego nigdë nie rzekła, ale jô mëszlë, że ona so od se wiele da. Jak më szlë do koscia te ona le so zapię nę swojã czerwionã broszë, a to so z dôleka blëkrowa. Rôz, jak ma stôja w koscele, te mie so da wëdzrec na Stazjã, a ona mô pod brodã wielgã tęczë. Cëz na swiece, jô so mëszlë. Zdrzë bëlno, a to brosza, czerwionô sklanianô brosza. Tak richtich rzec, te to nie bëło sklo, to bël jaczisz kamien. Ona je dosta od swoji nënëzi, a ta tãz jë mia od swojich starszëch, od matczë czë od ojca. To mogła bęc baro drogô brosza. Jô widzôl jak ksądz so obrocôl od wóltôrza a wëdzrôl na nië, a miôl ful oczë tã tęczë. On muszôl chutko tã oczë zamknac, bo tak on bë nie widzôl, dze je wóltôrz, a dze są lëdzë. Jak jô to Stazji gódôl, jak ma szła nazôd dodom, te ona tak nót mië wëdzra a rzekła — na drëdi rôz jô muszë so przëkrëc tã broszë szalë.

Ma szła pod rëkë, te jô ni móg dëcht nót niã zdrzec z przôdku, jô përzne wëcygnã szëjã a zazdrôl jak tam z broszã. Dërch pod brodã bëła tęczã. To dzywnë, jô so mëslôl, czë w koscele, czë na koscelny drodze wiedno Stazja mô tã swojã tęczë pod brodã. A niech mô, jô so mëslôl, hurmë psów, to doch so las od tego nie zapôli, jak ksądz kôl wóltôrza móg wëtrëmac takã jasność, te tu medzë taczemë bómamë a blotkamë më so jakusz przëmërgniëmë.

Në te jem ju rut, terë jô muszë le dobrze strëptnac. Jo Mariczka czëła to moji treptani, ona bë bëła wnet uszlô za szopkë. A terë ona stôl a zdrzi.

(Cdn.)

Wëdrowano dawniej na odpusty i na jarmarki.

Wanożël Remus. W jego sladë podająã (w br. już po raz szósty) wodni wanożnicë podczas Kaszubskich Spływów Kajakowych „Sladami Remusa”.

Wanożël pan Czorliński do Pucka. Hieronim Derdowski opisał tã wanożë, a Klub Turystyczny ZK-P „Wanożnik” postanowił jã czëściowo powtórzyć. Jeżeli to wanożenie na kolach sië powiedzie, to — być może — narodzi sië nowa cykliczna kaszubska impreza turystyczna.

CZAS I STEGNA WANOGI

Rajd na rowerach (kolach) planujemy od piãtku 2 VIII wieczorem do soboty 10 VIII br. Zaczniemy go w Żukowie w szkole.

Trasa rajdu wiedzie przez Kartuzy dolinã Łëby do Lëborka, nad Jezioro Żarnowieckie i Pobrzeżem Kaszubskim do Pucka i Rumi. Składa sië z siedmiu etapów (średnio po 25 km). Wieczorami spotkania, podczas których bëdziemy czytali fragmenty poematu Derdowskiego, śpiewali i gawëdzili.

Sobota, 3 VIII. Otwarcie imprezy. Jazda do Kartuz, gdzie zwiedzimy m.in. Muzeum Kaszubskie i kościół poklasztorny. Wieczorem spotkanie z oddziałem ZK-P.

Niedziela, 4 VIII. Kaszubska msza święta. Jazda przez Sianowo i Mirachowo do Strzëpcza. Biwak i ognisko nad jeziorem obiecal zorganizować oddział w Głodnicy.

Poniedziałek, 5 VIII. Jazda przez Tłuczewo i Rozłazino nad Jezioro Lubowidzkie.

Wtorek, 6 VIII. Jazda i zwiedzanie dworów na trasie: Godętowo — Wódka — Salino — Gniewino — Nadole. Tam biwak.

Środa, 7 VIII. Dzień przerwy. Zwiedzanie skansenu w Nadolu i elektrowni „Żarnowiec”.

Czwartek, 8 VIII. Jazda po trasie: Wierzchucino — Żarnowiec — Krokowa — Karwia. Biwak nad morzem.

Piątek, 9 VIII. Jazda i zwiedzanie: Rozewia (latarnia morska) — Władysławowa (port) — Swarzewa (kościół p.w. Matki Boskiej Swarzewskiej) — Pucka (Muzeum Ziemi Puckiej).

Sobota, 10 VIII. Jazda do Rzućewa (pałac), alejã do Osłanina, następnie przez Mrzezino do Rumi. Pożëgnalna zabawa wspólna z rumskimi drëchami.

Powroty do domów indywidualne.

INFORMACJE ORGANIZACYJNE

Zapraszamy członków i sympatyków ZK-P w wieku od 12 lat wzwyż. Uczestnicy powinni miec własne rowery i karty rowerowe, także małe namioty, materace oraz śpiwory. Wyżywienie uczestnicy zapewniają sobie sami.

Grupy rajdowe liczące 5–10 osób muszã miec apteczki pierwszej po-

Wanoga na kolach „STEGNA CZORLIŃSCIEGO”

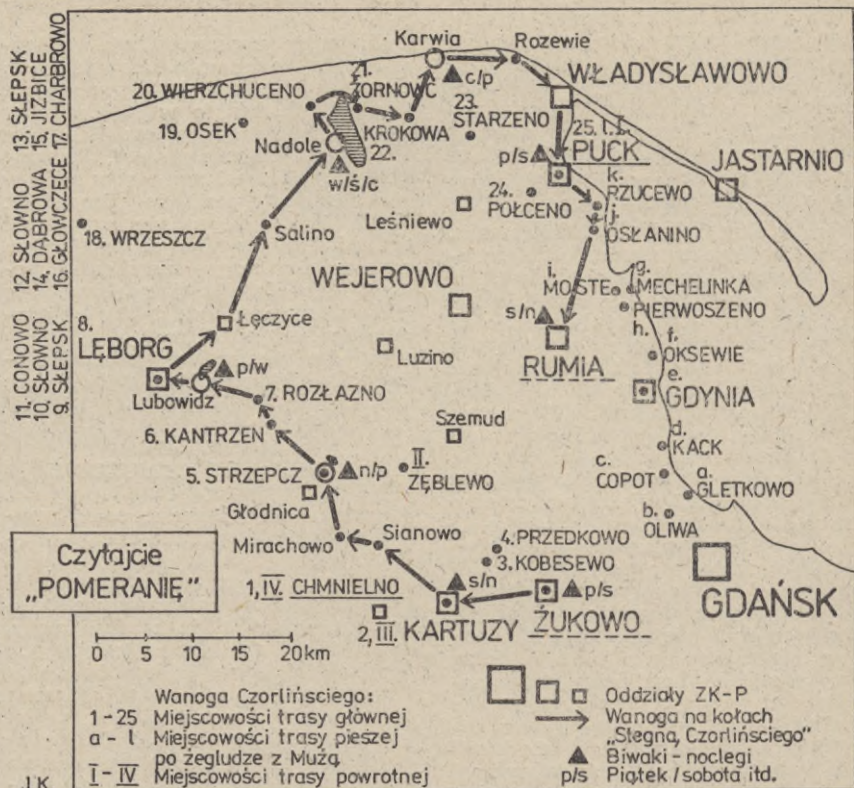
mocy i serwis techniczny. Grupę prowadzi pełnoletni przewodnik. Osoby zgłaszające się indywidualnie będą grupą odrębną.

Organizatorzy zapewniają:

- informacje bieżące przed i podczas rajdu oraz przewodnika;
- przewóz namiotów i materiałów na trasie rajdu;
- gorące napoje rano i wieczorem oraz trzy posiłki obiadowe.

Zgłoszenia udziału należy dokonać w Zarządzie Głównym ZK-P do 14 czerwca br., podając nazwisko i adres kierownika grupy rajdowej oraz jego telefon w domu i w pracy, ponadto liczebność grupy i wiek jej uczestników, środowisko, z jakiego pochodzi, np. szkołę, oddział ZK-P, klub. Należy również uiścić opłatę za udział w rajdzie po 150 000 złotych za każdego uczestnika w terminie do 28 czerwca br. w kasie ZG ZK-P w Gdańsku lub wpłacając na konto PKO w Gdańsku 19510-5890-132 z dopiskiem „Wanoga”. W tym przypadku należy kserokopię dowodu wpłaty dostarczyć do Zarządu Głównego ZK-P do 28 czerwca br. Niedopełnienie tego warunku będzie oznaczać rezygnację (mimo zgłoszenia się) z udziału w wanodze.

Bernard Hinz



Poemat Hieronima Derdowskiego „O panu Czorlińskim co do Pucka po sece jachoł” przeczytałem w oryginale, czyli w grafii polskiej (wydania I-III i VI) i w grafii kaszubskiej zastosowanej przez Leona Roppa (wyd. IV i V). Powieść Aleksandra Majkowskiego „Żécé i przigodé Remusa” przeczytałem także po kaszubsku i po polsku w przekładzie Lecha Bądkowskiego. Przeczytałem wstępy (przedmowy, postawia) do tych dzieł i sporo innych tekstów dotyczących tych autorów i tych ich szczytowych efektów twórczości.

W miarę czytania z coraz większym zdziwieniem stwierdzałem, że czorlińskologowie nie byli precyzyjni w swoich wypowiedziach, bo nie czytali „Czorlińskiego” z mapą w ręku, tj. tak jak ja czytałem „Remusa” (patrz „Pomerania”, 7-8/88). A remusologowie chyba głównie z tego samego powodu nie zauważyli czorlińsko-remusowych analogii.

Z mapą w ręku

„REMUS” dobęł na „CZORLIŃSCIM”

Konfrontacja tekstu „Czorlińskie-go” ze współczesną (i z dawnymi) mapą pozwoliła mi narysować trasę wędrówki pana Jana. Prześledźmy ją.

Czorliński wyruszył saniami w dwa konie (był to gniady i szemel) z Chmielnia z zamiarem jechania przez Kożyczkowo do Pucka, ale rychtyk tam, gdzie się zaczyna bor za onym wrzosem, / baba przelazła (...) bez drogę koniām decht przed nosem, więc przesadny pan Jan skreślił w stronę Kartuz, mniast do Kożeczkowa (wyd. VI, s. 9 — dalej strony tegoż wydania). W Kartuzach wstąpił do Szmula, co przedaje czopecie (s. 11), którego Jerzy Samp w przedmowie do VI wydania przerobił na karczmarsza.

Czopnik Szmulek dał Czorlińskiemu nową kapuzę z zaszytym, jak się później okaże, mulem (molem) i spowodował, że pan Jan, gdy wespół (...) peten cieliśzk mocnego kornusa (s. 13), zgodził się zawieźć kilku Żydów na targ do Conowa. Pochodzili oni w większości z południowych Kaszub, tylko dwaj ze środkowych: Danjel ze Stężecze i Elijusz ze Szymbarku. Derdowski przez wskazanie miejsc pochodzenia Żydów-pasażerów Czorlińskiego informował, że Żydów było więcej na południu niż północy Kaszub.

Czorliński postanowił jechać nie szaseją, bo nie chciał szucieltu (szosowego) płacec, ale kołem przez Kobesewo, Przedkowo (J. Samp od-

wraca kolejność — s. XXII) i Strzepcz do Kantrzena, gdzie właśnie kaszubscy panowie szlachta wybierali posia do Berlina, więc tam bele z celech Kaszub braco pozzechani, / wszędzie we wse przed płotami pełno beto sani. Derdowski, wymieniając obradujących w Kantrzenie, gdzie (...) le sama szlachta mnieszko i panowie (s. 21), pokazał równocześnie gdzie są te całe Kaszuby, a aby być sprawiedliwym w stosunku do trzech ich części, podał, że obradowali: pan Zelewski ze Zornowca — północ, pan Tempsci z Kożeczkowa — środek i z Klińcza pan Gruchala (s. 22) — południe.

Czorliński jechał dalej bez Żydów przez Rozłazno precz na Lęborg, Słępsk i Słowno. Nie jechał jednak prosto, ale mnijol szlabane (wężykiem pokazuję to na mapie), aby szosowego nie płacić. Wreszcie — napisał w liście do żony — z rena dnia szostego ju żem beł u celu / i żem stanqn so w Conowie w Kaszubskim hotelu (s. 31).

Derdowski podał w słowniczku (wyd. I i II), że Conowo = Canowo = Zonau, później był to Zanow, dziś Sianów, miasteczko nie opodal Koszalina. Zlokalizowanie Conowa było dla niektórych autorów trudne. Edmund Raduński (wyd. III, s. X) lokuje je nad morzem, a Jerzy Samp (wyd. VI, s. XXII) w ogóle ostrożnie Conowa nie wymienia.

W Conowie Czorliński siedział 50 dni w areszcie. Ferdinand Neureiter („Historia literatury kaszubskiej”, Gdańsk 1982, s. 75) napisał, że „w czasie jego pobytu w więzieniu pozdychał mu z głodu oba konie”. Rzeczywiście, głodem (...)

umorzone bęte te bjedotę, / bo nie mniałe nic kaidana, skora le a gnote. Ale jeszcze żyły, lecz ju mniałe szpere wecygnięte. / Jesz dechate, doch jech z peska wiszące jęzecie / do wodzete, że tu żodne nie pomogą lecie (s. 53). Konie jednak zdechły nie wówczas, gdy Czorliński siedział w areszcie, ale — rzec można — na rękach swego pana.

Ich skóry zdjął Żyd Czarownik, który w tymże czasie kupił innego, siwego konia, a świadom, że skóry padłych koni są Czarlińskie, zaproponował: *Pan mnie do te kuńskie skore, a jo pana za nie / nazed będe wioz do Chmnielna, cze nie rechtyk, panie?* (s. 59). Po obejrzeniu konia Czorliński dali zacząć umawianie / o ne skore i nareszcze o do dum jechanie (s. 65). Gdy się wydostał z Pomrów, w myśli plan sobie układał, kupić sobie własne konie, boc doch mam piniądze, / Żyd niech potym ze swym sewym szuko szczesco w swiece, / a jo dali so pojade do Pucka po sece (...). Tak so mądry nasz Czorliński w głowie medytował, / cież ze Żedem o zabranie z miasta się ukłodoł. / Godzą się, że rebok (Czorliński) skore zabjerze z gniadego, / a Żyd weźnie są nę lechszą z szemla umartego (s. 66). A więc Czorliński nie kupił od Żyda jego konia, jak to napisał Samp (s. XXII).

Czorliński i Żydzi, gdy wydostali się z Conowa, ruszele w inni boscie szaseją do Słowna (s. 67). Szosą także dotarli przez Słupsk do Dąbrowy. Dalej ju nie wlekle się szaseją, bo ta wiedla kołem, / le puscele się nad rzeką Łupą wilczym dotem. / Mniele na noc bec w Dorsowie, z rena tej w Lęborgu (...), ale oni zabładzele w jednym gęstym lese / i ju wicy nie wiedzele, gdzie jech kaduk niese. Wreszcie stanele kole Głowczec zamiast bec w Dorsowie! Nigdy nie wjechali do Głowczyc, chociaż, gdy zorientowali się, gdzie są, chcele na noc bec w Głowczecach (s. 68), ale Edmund Raduński napisał, że Czorliński z wyprawy do Conowa wracał „przez

Słupsk, Dąbrowę, Głowczycę, Izbi-
ce”.

Po trosze usprawiedliwia Raduńskiego to, że i sam Derdowski, jako czorlińskolog, nie był precyzyjny. Napisał mianowicie w 1880 roku w „Przyjacielu” (cytuje za: Hieronim Derdowski, „Pisma proza”, Kartuzy 1939, s. 48), wbrew temu co w „Czorlińskim” stoi, że Czorliński, Żydzi, koń i sanie „się przywlekli do wsi Głowczyc”, a po tragicznym zdarzeniu, o którym za chwilę, „poszedł pan Czorliński napowrót do Głowczyc”, więc tak jakby poprzednio był już w tej wsi.

Tu, nie porzucając tropienia niefrasobliwości czorlińskologów, chcę wskazać na

ANALOGIE CZORLIŃSKO-REMUSOWE

Po minięciu Głowczyc, sewy zmykot ze saniami (prawie bez pasażerów), jakbe gzyk go gonieł, / precz szorując, jeno za nim slade orczyk zwonieł (pomińmy przyczynę tego galopu). A, że beł ju kaseczk ślepy, wnet więc zboczeł z traktu (...) wjedno prosto na jezioro bjerze. / Tam na onym jeno kawał z brzegu beło lode, / a wej dali jesz, stojale niezmarzniete wode. / Cież więc sewy wjechoł w pędze na otwarte mniesce, / tej le pluso... i ze wszescim w zotor wpod bez wiesce.

Jezioro Łebskie zabrało Czarownikowi konia, Czorlińskiemu sanie, a podczas Remusa wanogi na Pomorskiej, gdzie są ostatnie granice, chdze movją naszą godką („Remus”, s. 428), mokrada otaczające jezioro zabrały Remusowi karę. I Czorlińskiemu, i Remusowi pomogli okoliczni mieszkańcy mówiący po kaszubsku. Przy okazji tych zdarzeń i w „Czorlińskim”, i w „Remusie” jest mowa o Słowińcach i o Kabatkach.

Dalej Czorliński szedł z Izbi do Głowczyc i przez Charbrowo, Wrzeszcie i Osiek do Wierzchucina, gdzie przemocował. Remus i Trąba także byli w tej wsi, tyle że w drodze prowadzącej w odwrotnym kierunku.

Czorliński tak napisał o Wierzchucinie: *choc ta wies je Prusokowa wiere ze dwa wiecie, / do dzys jednak w ni mnieszkają polsci katolecie* (s. 81). Podobnie zapamiętał tę wieś Remus; napisał: *ve Wierzchucenje czułasma się jak doma* (s. 430).

Z Wierzchucina pan Czorliński poszedł (...) do Zornowca, gdzie mniol znajomego (s. 81), a stamtąd udał się do Krokowej na wesele.

W tym czasie pani Czorlińska wyruszyła na poszukiwanie męża. Spotkała go w Krokowej.

Neureiter w ogóle nie zauważył Zarnowca i Krokowej na trasie wanogi Czorlińskiego, napisał, że dociera on „do wsi Wierzchucino, gdzie ma znajomka”, chociaż nie godzi się tak pisać o kimś, kto mniol mnieszkawie w cesterscim klosztorze, / nie jak jaci gburek w dole, le jak grof na gorze (s. 81). Neureiter spotkanie Czorlińskich ułożył także w Wierzchucinie. Nie są to jedyne niefrasobliwości tego autora.

Tu druga analogia. Czorlińska zdybała męża w Krokowej. Trąba, alter ego Remusa, dopadł go w jego początkowo samotnej wędrówce na Pomorską nie opodal, bo pod Wodargowem pod wielkim kamieniem, co go Stojcem zovją.

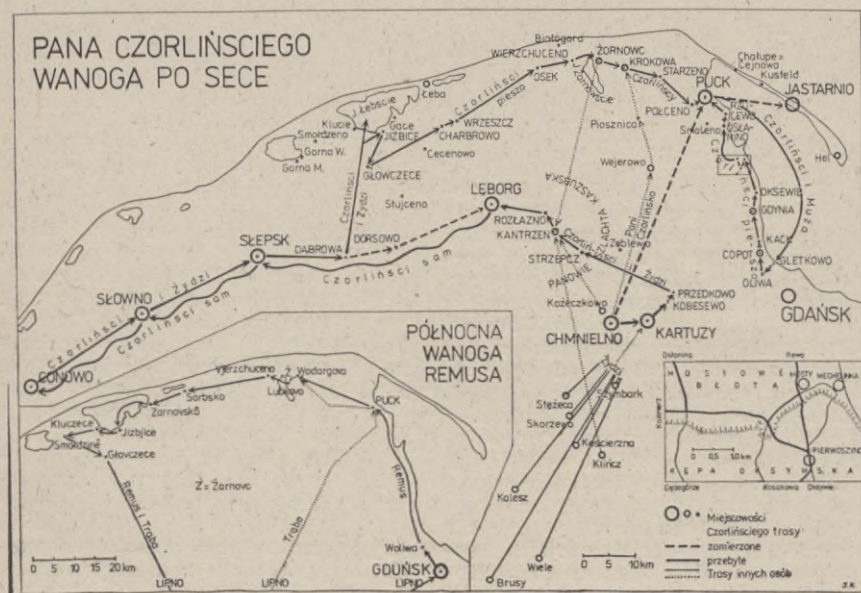
Wreszcie jest Czorliński (z żoną) u celu swej podróży. Jednak nie może so dobrac secy w Pucku, puszczo się więc do Jastarni bez wodę (s. 117), ale nie dociera tam. Szstorm zapędza łódź pod Gdańsk, gdzie się wicher, jakbe cudem, ustanowiel nagle (...), ale szlachcic (Czorliński) morsci reżje mniol ju po sam posek, / proseł, be go wesadzele na Gletkowsci piosek (s. 124).

Czorliński nie dotarł do Jastarni, ani do jakiegokolwiek innej miejscowości na półwyspie. Nie przeszkodziło to jednak Neureiterowi napisać, że Czorliński był w Helu, bowiem — jak podał — dopiero „w drodze powrotnej szstorm zapędza łódź w pobliże Gdańska i Czorliński musi wracać stamtąd piechotą do Pucka, gdzie zostawił żonę”.

Ale zanim Czorliński wysiadł na Gletkowsci piosek, gdańscy buflakowie, brodzący w wodzie, mówią mu: *Kresztota muszysz kusznac, nie cy nie pomoże, / bo jinaczi będe bjeda! bjeda! twoji skorze* (s. 124). Motyw „Krzysztofa, co stoi — według Raduńskiego (s. X) — na Długim Rynku”, powraca w „Remusie”. Tym razem Krzysztof jest na ratuszu, ale od Remusa njicht takji ceremoniji (kusznienia Krzysztofa) nje żadoł.

Z Jelitkowa Czorliński poszedł do Oliwy, gdzie mu kwestorz Leon, braceszk z Wejerowa (s. 125) opowiedział o księżętach pomorskich, co od samego Stepska cale beło jech Pomorze, / a le czesto po kaszubsku w swym godale dworze (s. 126). A o jednym z nich, o Świętopelku, że wszesciech Mniemcow z Kaszub węgnoł do zdzebelka. / Męstwo, chytrosc i upartosc, fife i wekręte / jesz Kaszube do dzys po nim mają w spodku wzęte (s. 127).

Analogiczny jest pobyt Remusa w Oliwie, dokąd koźdi Kaszëba, choc-



le roz jeden v žecu, wodběc povjinen pielgrzimkę, be se pomodlic na grobach ksqáž kazěbskich. Jich mjeczovji, dziržkosć i rozumovji — procem rožnim panom, chterni nami ržqdžilē — zavdžeczomē, žesmě do dzisodnja zatřimelē vjarē, wobeczoj i movē vojčov naszich.

Kolejna analogia: i Czorliński, i Remus idą z Oliwy do Pucka tą samą drogą. Czorliński kole morzo brzegu (s. 133), a Remus brzegiem morzō po vsach rebackjich (s. 427).

Są także

ANALOGIE NIE WIĄŻĄCE SIĘ Z TRASAMI WĘDRÓWEK

Negatywna postać „Czorlińsciego”, czopnik Szmulek, daje panu Janowi fejn kapuze! (...) z szadem klapami (s. 11). Czorliński i Szmul mają z sobą na pieńku. Czorliński czapnikowi przedot łoni, cieję się łęgie gule, / kšeczek z fifem zamniast welne zgrzebja i pakule (s. 9). Szmul mu za to włożył do kapuze piecielnego mula (s. 100). Za sprawą tej gadziny Czorliński, zamiast jechać prosto z Chmielna lub z Kartuz do Pucka, podróżował aż do Conowa, tam dostał się do areztu, stracił konie, zgubił pod Dąbrową drogę, w Łebscim jezorze utonęły mu sanie, sztorom o mało co nie zatopił łodzi, którą płynął. Słowem, miał przygody-przykrości od takiej, że dzece ucekał, bo (...) za judosza z piekła jego mniał (s. 78 i 79), aż po utratę czterech przyjaciół: dwu koni własnych, jednego cudzego i Żyda Bartka (s. 72).

Piecielný mul, gdy po ponad ośmiu tygodniach podrośl w kapuzie, mniot trze jaż głowie, nogow mniał szesnasce, / a przegmni sedem palcy mierzel on długosce (s. 103). Gdy go Czorliński, mszcząc się na Szmulu, cisnął w Żyda, wówczas z mula zaro se wełgie mulow mniłjane, / / te wnet jemu wszetek towor mniał pogrezono. Szmul, widząc jacie jego czare wedale owoce, / poszed, skoczł do przeręble na kartuscim bloce (s. 141 i 142). Cato Żeda (...) weszło do kanotu tam pod zemni spodem. / Ten se cygnie pod gorami obrosleni borem / i se wreszcie łączy z Bjotym chmnielnieniem jezorem. / W taci sposób Szmul se dostot w Czorlińsciego sece — / / bjedok nie mniot snac spokoju i na tamtych swiece (s. 142). Czorlińsciemu se potemu pomnieszalo w głowie (s. 141).

„Czorliński”, mimo krotochwilnych treści, jest utworem smutnym, pesymistycznym. Zło (mul) w nim bierze górę. Pan Czorliński tylko do przedostatniego aktu akcji walczy z nim zwycięsko, ale mula (zła) nie unicestwia. Kieruje tylko jego niszczące zapędy w stronę Szmula. A więc nie zwycięstwo dobra nad złem, ale zemsta, ale działanie (walka) wyłącznie przy pomocy zła.

Ostatnim aktem tej walki jest umysłowa choroba Czorlińskiego i jego zupełne poniżenie: zostaje burmistrzem w Betowie (s. 141).

Piecielný mul Szmula jest proto-

typem sepa Smeťka. Pon Jozva tak mōwił Remusowi wo bjotim Ormuzdzie i czornim Arimanje, po naszimu Smeťku, bogach-anjolah z vjarē starodovnich Persōw i wo jich robotach v dzejach kaszubskjich:

Ormuzd vēcignat rēkę i z pod grobovigo kaminja vėdobel gorse prochu bohaterōv i soł go jak sevca seje zorno na prěchodni žnjiva ku uschodovji stuńca i zachodovji, ku nortu i pońju. A proch szedł ku zemji, jak rōj gvjodz, jak żolcē skrē. A chdze spodla skra, tam vėtrisnāt wogjiń ze svjēti zemji i łaczł se z wognjem v płom.

A Smeťk (...) signāt v durē strupjatigo vjāza. Tam sedot seł stari. A won go vzał na dłoń, rozvjinał mu skrzydła i pjoro za pjorkjem vėrivajacē puscel zlim vjatrem za skrami. A sepovē pjora ku zemji spodalē a z kazdigo łęgtē se sovē i sepē. I szarim skrzydłem padał na wognje i gaselē płomiń.

W „Czorlińscim” jest odpowiednik tylko drugiej części tej opowieści: z piecielnego mula se wełgie mulow mniłjane, / te wnet wszetek (szmulowy) towor mniał pogrezono (s. 141).

Pan Czorliński odczuwał na sobie dziwne działanie nowej kapuzy z zaszytym mulem: Beto srodze mnie w ni pieknie (...), ale ciężko bela, jakbem centner mniot na głowie (...). Czasem belo mnie, jak ciejbem w bani mniot gdzie szemka, / czasem mgto mnie se robjelo, że mnie brała drzemka; / roz mnie mocno po wiczosu i czubie drapato, / a tej znou po żedowsku w usze cos szeptało; / czasem w doł mnie cygło, jakbem kamiń mniot u szyji.

Nakrycie głowy działało także na Remusa, który wspomina: jō usadzot nen rickerski szol (helm Witosława) na głowę (...). V ti chvjilē wod stōp do głovē przeszedł mje dzivni wogjiń, jakbe prąd seł nje z tego svjata. Strzęsło to mna, jak v wogrosze, a samimu mje belo dzivno, że procem voli rēka moja chvitała do levigo boku, jakbe tam nalezc mjała mjecz (s. 459).

Analogia jest tu wpływ nakrycia głowy na tego, kto je nosi. W „Czorlińscim” wpływ negatywny, w „Remusie” — pozytywny.

Pan Czorliński przyrównuje poszczególne miejscowości, czy ogólniej, obiekty geograficzne, jeżeli tak rzec można, z Pisma świętego do miejscowości na Kaszubach. Dla niego roj je w Wiecu oraz Betowo, a Betleem to je jedno mniasto.

Remus rozwija te analogie. Gdy są wuczel z Martą katejezmu i Historiji Svjēti, rzekł do Marty, że mu se zdaje, że naju pustkowje, to je tą zemją wobecanā, wo chterni v ksqážce stoi (...). Naju rzeka v lese, to Jordan, a naju jezoro, to Genezaret (...). Moł pod korunovanā jarzēbjina, to Betel, chdze Patriarcha Jakub wuzdrzot drabjinę vesokā jaż do njeba. Studnjō prěż trzech chojnach: tam braco Jozva przedelē do Egiptu. Pjekarnjik v sadze, to pjec, v chturen kozol vřzucē na spolenjē chłopokōv krol Nabuchodo-

nozor. A vjēlci vādōł do jezora (...) to kula lvōv, v chternā Danjela pro-roka vřzucilē poganje (s. 59).

Oprócz tych porównań terenowych są i osobowe: Naju pan to Abraham, a jego żona, nasza panji to Zara (s. 59). Według Remusa, Michał to Jermijosz, Marcin to Absolon, Marcjanna to Putifarzenō, Manta to Rebeka, a o sobie Remus powiedział: jezdem pasturk David (s. 60).

Wreszcie ostatnia analogia, którą zauważyłem: Szmul utopił się na kartuscim bloce (jeziorze), ale jego ciało wypłynęło w Bjotym chmnielnieniem jezorze, aby dostać się w Czorlińsciego sece (s. 142), aby ukazać się Czorlińskiemu.

Podobnie kończy się „Remus”. Zły duch Czernik jechał przez wieś (Lipno-Lipusz) w jakis spravje na jedno z naszich pustkowji. Po pewnym czasie doł se czuc prěż sviecācim stuńcu krotkji, ale mocni grzemoł (...). Nie trvalo długo a ten som voz (...) v konje jak szoloni prěnekoł do vsē. V njim ležot czorni jak smola, zastrzeloni pporunem z jasnigo njeba, pon Czernijk (s. 564 i 565).

Zły duch Czernik też wrócił. To, że nie ujrzał go już Remus, który w tejże godzinie oddawał duszę Bogu, nie przeczy analogii, a nawet mnoży analogiczność sytuacji: Czorliński traci zdrowie zmysły, a Remus — życie.

„Czorliński”, jak już rzekłem, jest utworem smutnym. Tylko jego fragmenty zostawiły ślad w wātpiach duszē moji, głównie te, gdzie w poemacie jest wtórnie poezja, pieśni „Ziuziu, ziuziu, coruleńku” (s. 36) i „Tam gdzie Wisła od Krakowa” (s. 61). Dzieło Derdowskiego nie wprowadziło mnie jednak w jakiś szczególny nastrój. Po jego lekturze wiem bez cienia wątpliwości: „Remus” dobił na „Czorlińscim”.

PRZY OKAZJI

Niektóre odcinki wanogi Czorlińskiego mają w poemacie gęstą dokumentację. Takim odcinkiem jest piesza trasa wędrówki kole morzo brzegu. Czytamy, że Czorliński wjedno webjerajac sobie drodze proste, (...) szed na Mechelinę, Pierwoszeno, Moste (s. 133).

To jest prosta droga? Z odrysu mapy z doby wojny francusko-pruskiej wynika, że Czorliński powinien był iść z Pierwoszena, z pominięciem Mechelinki i Mostów, na Ostanino, a jeżeli już koniecznie chciałby nie pominąć tych miejscowości, to powinien był przejść kolejno: Pierwoszeno i Mechelinę, a nie odwrotnie.

Występująca w poemacie kolejność miejscowości nie wynika ani z potrzeby zachowania rytmu, ani rymu. Jest to po prostu pomyłka. Myślę, że nie byłoby brakiem szacunku dla oryginału, wydrukowanie w VII wydaniu „Czorlińskiego”, że pan Jan szedł na Pierwoszeno, Mechelinę, Moste.

Janusz Kowalski

WDÔR

Z

NIECHWALEBNËCH

LAT

Eugeniusz Gołqbk

Nôdps tego tu felietónu, përzne dzëczy, brëkuje wëjasnieniô. Bo „Pomeranie”, okróm uczalëch, czëtiwają téz lëdze..., chtërny bë chcelë z kaszëbsczëgo tekstu cos wërozmiôc. Zôs autor, wezmë jô, mô prawie chëtkë së pobawic słowama i zaczinô wëmiszłac, dobierac słówka papiórowé, ksążkowé. Nen „wdôr” znaczi tëlë, co wspomnienië, a je utworzony od pëlniowokaszëbsczëgo czasnika „wdarzëc so” — przëbôcziwac so, wspominać.

Cziej jô ju jem przë wëjasnieniach, rozwidnië téz nôglówk „przëscyganie czasu”, tak samo na piërszë

wëdzrzenië glupkowati. A może nië. Bo niechtërny no przëscyganie wiërë parlëczą so z polsczim „przësciganiem”, tj. urëchliwanim, wëmijaniam. A ko no przëscyganie je jakbë zatrzëmiwanim, scyganim, polsczim „przyhamowaniem”. Może dopiërku terô së dlô kogos stało jasné, że jô jem zacopańcë, chtëren próbujë sëpac piôsk w koleczka zëgra historii, tzn. że mojim programë je przëszkôdzanië nôturalnëmu biegowi zdarzeniów. Po prôwdze, cos w tim je. Jak dotëchczôs zëdzier kaszëbsczë historië szedł wiëdnô w stronë smiërcë. Dlôte jô próbujë przëscygnac nen drówk czasu i dlôte tak rôd sygóm do tego co bëło, w przëszlôtë. Z drëdzi stronë przëszlôta nie dôwô człowiekowi ukojeniô, osoblëwie przëszlôta Kaszëbów. Choc jidze téz dokazac, że nimo tragizmu kaszëbsczich dzëjów kuńcowi rezultat dôwô jakas nôdziejë na przëndotë. Wiele zanôlezi od naju samëch, od te, czë më bądzmë chcelë chëc. Nasze trëchlënë, strach przed spolaszeniem së, wëdziniëcym, mają swojë podstawë. Równak më możëm na to së przëdrzec téz jinaczi: polaszëzna je dlô nas bodlëcã, podkôcënkë do obrôbianiô swogëgo zôgónka kulturowëgo. Wiëdnô tak bëło, że glëpszi së uczil od mądrzëszëgo, biëdniëszë pożyczôl od bogatszëgo. Ni muszimë w polsczi kulturze widzec leno tego „miedwiedza”, chtëren chce nas zãdeptac. Bo możëm i bë jesmë mielë widzec w ni téz opiekuna, chtëren dôwô nóm zëc i së rozwijac.

Në, ale miôł bëc nen wdôr z lat dlô kogos niechwalebnych. Hele naparlëczëło mië së taczë wspomnienië z lat „pôzdnëgo” Gomutczë, dôwnëch dlô dzysëszny młodzëznë tak, jak dlô mojegô pokoleniô czasë Bismarcka i Kulturkampfu. Wnenczas, cziej jô chodzył do slëdnëch klas technikum, knôpiczë włosë bëlë rzeczą o wôdze ideologiczno-ustrojowi. Muszë tu nadczidnac, choc le dlô tëch z pokoleniô „Sexpistol-sów”, że rządowë peerelu cziej ju przërozmielë, że nigdë nie mdã moglë nalezc „pospólnëgo jëzëka ze swojim nôrodë wskôzëlë mu cël blëszszi, jak nen niedosygli socjalizm. Tim cëlë, okróm Zëdów stelë së bigbitowcowie, klatati knôpi z gitarama abo i (czëscy) bez gitarë. To bël nen nowi ôrt „wrogów lëdu”. Okróm dludzych włosów bëlë téj w môdze buksë, baro szëroczië poniżi kolón i bôtë na dosc wësoczim hafscëu, z ostro obcëtim szpëcë. A w szkole przënlëgalo së nosëc przepisowi mundur i włosë jak nôkrotszë. Szkólny na lekcjach wëchowawczëch mierzëlë lënikã szërokosc knôpiczëch buksówków, szarpelë za włoszi na karku i za baczë, tj. włoszi kole ucha.

Klatë bëlë tëpionë bez miłosërdzô. Możliwë je, że frëzjërzë bëlë jëdurnã klasã pomidzë rzëmiësnikama, co wnenczas rzetelno popiërała Gomulkë. Prôwdac, okróm nich, téz wiëldzi dzël robocëgo nôrodu popiërôl të nagónkë. Bo tak ju je, że lëdze dôwają së szczwac. Trzëba le bëło jima wskazać, kogo mają grëzc.

A wejleno, jô wnetk czësto jem zabôczil, chto tu je nã alfã i omegã historii. Ko jô téz próbowl zapuszcziwac włosë i jak diôbël przed kropidlë jem së umikôl przed biôlim czitlë balbiërë. Do te wszëtczëgo na wiëchrz bëła jész gitara i muzyka Beatlesów. A hamletowëgo ôrtu zapitanie: Lubisz të Niemena? — je przëkladë problematyczny dejowi, nad jakã loma so głowë elita młodëgo pokoleniô, nôdzejã przëdny klasë nôrodu. To, czym po prôwdze pôchnëło wnenczas politicznë wiodro, antisemitizm czë biôtka z Koscôlë („orëdzie biskupów”), mië nijak nie cëkawilo. Nôwôzniëszô bëła gitara elektrycznô podlaczonô do radia, co jëczëla w rëkach mojegô zespôlu. Tu, nimo, wiôl wicher dzëjów (wëdarzenia marcowë), a më marcowlë z gitarama. A ko cziej ju bël zespôl, tj. kapela, téj przëszedł nôwikszy kłopot — jego nazwa. Nick nie bëło tak wôżnë, ani repertuar, ani umiëjëtncosc graniô. Ale nazwa doch muszala bëc i to pasownô. Bo më nie mëslelë skuńczëc kariërë na gminnych estradach. Kureszce, po pôrë godzënach jałowëgo mësleniô, chtos pobëdowl: A może bë tak „Ziëmianie”? (Mialo to bëc na podobë znónëgo tēj zespôlu „Polanie”).

I to bë bëło wszëtko na ten temat. Nen kômpel, co wëmëslil „Ziëmianów”, ni miôł pojëcô o wszëtczich znaczeniach tego słowa. I do dzys nie mdze wiëdzôl tego, jak pocëszno ono zwëczëło w tim tam, gomulkowszcim kontekscë. ■

ANKIETA

CZY

CHCEMY SIĘ UCZYĆ

W SZKOLE

PO KASZUBSKU?

W Stężycy pani Wanda Kiedrowska przeprowadziła sondaż wśród uczniów i rodziców na temat ich stosunku do nauki języka kaszubskiego w szkole. Poniżej publikujemy część wypowiedzi. Red.

Dzieci

● Uważam, że lekcje np. języka polskiego mogłyby być prowadzone w języku kaszubskim. Wydaje mi się, że takie lekcje byłyby ogromną szansą nauczania się tego języka dla tych, którzy mają z nim kłopoty. Lekcje, na których można mówić tak, jak mówię się w domu, byłyby o wiele ciekawsze.

● Sądzę, że lekcje te będą ciekawsze, bardziej swoje.

● Język kaszubski może być tylko na lekcjach języka polskiego. Myślę, że uczyłoby mi się łatwiej. Bardzo podoba mi się mowa kaszubska.

● Zgadzam się z poglądami moich rodziców. To wspaniale, że dzięki nam mogłyby przetrwać język i kultura naszych przodków.

Przedtem, gdy jeszcze na lekcjach nie mówiliśmy po kaszubsku, nie wyobrażałam sobie, jak to nauczanie może wyglądać. Teraz, kiedy mówiliśmy i czytaliśmy po kaszubsku na dwóch lekcjach języka polskiego i kółku polonistycznym uważam, że to wspaniale umieć czytać i mówić w języku kaszubskim. Bardzo mnie zainteresowały te lekcje. Na razie dościsł trudno jest mi zrozumieć tekst kaszubski, który czytam.

● Język kaszubski w szkole jest „bombą”. Ślabo mówię po kaszubsku, chociaż moi rodzice zwracają się do mnie właśnie w tym języku. Mimo że mam dużo nauki, bo w tym roku zdaję egzamin do szkoły średniej, chciałabym uczęszczać na dodatkowe zajęcia z kaszubszczyzny.

● Bardzo podoba mi się mowa kaszubska, dlatego pragnę uczyć się kaszubskiego. Sądję, że taka lekcja powinna być prowadzona wcześniej. Jestem w VIII klasie i do końca roku szkolnego zostały 3 miesiące, więc nie nauczmy się dużo, ale chociaż troszeczkę. Uważam, że pomysł uczenia się mowy kaszubskiej jest wspaniały.

● Sądję, że język kaszubski powinien być w każdej szkole. Moim zdaniem powinien to być przedmiot obowiązkowy, tak jak matematyka czy język polski. Obserwuję zaniedbywanie języka kaszubskiego, ludzie coraz mniej nim się posługują.

Rodzice

● Chcemy, żeby nasza córka uczyła się języka kaszubskiego na lekcjach języka polskiego i historii. Uważamy, że powinna umieć czytać i pisać w tym języku. Na lekcjach historii poznawałaby historię regionu. Chcemy również, żeby córka uczęszczała na dodatkowe lekcje. Celem ich byłoby lepsze poznanie rodzinnych Kaszub. Takie lekcje są konieczne, bo za kilkanaście lat nikt na Kaszubach nie będzie umiał dobrze mówić ani pisać po kaszubsku. Gdyby tak się stało, byłoby to bardzo smutne.

● Chcemy, aby nasze dziecko uczyło się po kaszubsku wybranych przedmiotów, dlatego iż poza wiedzą zdobytą na lekcji, udoskonali jeszcze wymowę rodzimego języka. Pragniemy, aby uczyła się kaszubszczyzny na lekcjach języka polskiego i historii. Uważamy, iż nasze dziecko może uczęszczać również na dodatkowe zajęcia, aby pogłębiło swoje wiadomości o kulturze i obyczajach. Chcielibyśmy, aby ten język nigdy nie zaginął. Poprzez nasze dzieci trwałby.

Nauka języka kaszubskiego w szkole jest dużą szansą na przetrwanie języka, który powoli zanika w mieście i na wsi.

● Zgadzam się, żeby mój syn uczył się języka kaszubskiego, ale podczas lekcji, ponieważ po lekcjach jest dużo pracy. Wydaje mnie się, że język kaszubski jest bardzo potrzebny i powinien być prowadzony podczas zajęć lekcyjnych. Nauka języka powinna być wprowadzona jak najszybciej, ponieważ do końca roku pozostały zaledwie 3 miesiące. Im później się zacznie, tym mniej się nauczy.

● Jak najbardziej zgadzam się, aby nasza córka uczyła się po kaszubsku. Uważamy, że najodpowiedniejszymi przedmiotami, na których można by nauczać języka kaszubskiego jest język polski i historia. Sądzymy, że język kaszubski przyda się naszej córce.

● Naszym zdaniem dziecko musi się uczyć języka i kultury kaszubskiej na zajęciach obowiązkowych, a nie na dodatkowych lekcjach, na które nie chce się chodzić, a każdy Kaszuba powinien znać kulturę i język kaszubski.

● Bardzo bym chciała, aby moja córka uczyła się języka kaszubskiego, dlatego że coraz mniej się z nim spotykamy w codziennych kontaktach, a język nie powinien zagać. Uważam, że córka może uczyć się języka kaszubskiego nie tylko podczas lekcji, ale także i po lekcjach. Jeśli nie będzie języka w szkole, to kaszubszczyzna zginie.

● Zdaniem moich rodziców lekcje nie powinny być prowadzone w języku kaszubskim, ponieważ nie sprzyjałoby to w dalszej nauce w szkołach wyższych. Nauka języka kaszubskiego podczas zajęć pozalekcyjnych mogłaby być prowadzona, ponieważ powinny być pielęgnowane obyczaje i język regionu, który zamieszkujemy. Dodatkowe lekcje poszerzyłyby wiedzę o Kaszubach i języku kaszubskim. Moje zdanie jest podobne, jestem zwolennikiem nauki języka kaszubskiego podczas oddzielnych lekcji.

● Wolę, aby moje dziecko uczyło się na dodatkowych lekcjach mowy i kultury kaszubskiej dlatego, że ani dzieci, ani nauczyciele nie są przygotowani do uczenia po kaszubsku; mało jest nauczycieli mówiących dobrze i poprawnie po kaszubsku. Uważam, że jest to mądry pomysł uczyć kaszubskiego i o Kaszubach, ale nie widzę tego w szkole na lekcjach, dzieci są przeładowane wiedzą i mieszaniną polskiego i kaszubskiego wprowadziłaby zamieszanie w ich głowach.

● Nie wyrażamy zgody na naukę języka kaszubskiego, ponieważ realizowanie programu szkolnego i jednocześnie nauka języka kaszubskiego będą za trudne i córka nie podoła obu programom.

● Nie chcę, aby moje dziecko uczyło się w szkole po kaszubsku, ponieważ przysporzy to więcej kłopotów w nauce. Jeszcze nie tak dawno zwracano uwagę, zabraniano mówić po kaszubsku na lekcjach.

MIASTO

JASTARNIA

I

GMINA

KARSIN

Marek Łatoszek

Miasto Jastarnia i gmina Karsin — porównywane tu ze względu na konwencję Alfabetu kaszubskiego — usytuowane są na przeciwległych geograficznie krańcach województwa gdańskiego. Przed wojną obie miejscowości znajdowały się w granicach państwa polskiego, co rzutuje na ich późniejszy status, już w obrębie PRL, wyłączający je z masowych migracji. W myśl stosowanego podziału zarówno Jastarnia, jak i gmina Karsin należą do warstwy I, czyli miejscowości położonych całkowicie w obrębie dialektów kaszubskich, choć trzeba zaznaczyć, że granice gminy Karsin we wschodniej, lesistej i mało zamieszkałej części poza obszar ten nieznacznie wykraczają.

Jednoznaczne identyfikacje i „rozplywająca się” kaszubskość

Gdyby Kaszubów mierzyć wskaźnikami syndromu „kaszubskiego”, to w Jastarni jest ich dwukrotnie więcej — 58 proc. — niż w gminie Karsin — 29 proc., mimo iż w świetle typologii miejscowości wymieniana gmina leży również w centrum kaszubszczyzny („Pomerania” 5—6/90). Wobec powyższych dysproporcji procentowych paradoksem mogą wydawać się da-

ne dotyczące nie-Kaszubów w obu miejscowościach. Okazuje się bowiem, iż w Karsinie jest ich mniej — 14 proc. — niż w Jastarni — 21 proc. W tej gminie, podobnie jak w kilku innych wcześniej już charakteryzowanych, dominuje kategoria pół-Kaszubów — 52 proc., w Jastarni — 21 proc. Są to osoby o mieszanym na ogół rodowodzie, nie posługujące się mową kaszubską (w przypadku nieletnich dzieci kryteria przynależności etnicznej jeszcze się komplikują).

Różnice w stopniu etniczności obu omawianych miejscowości ujawniają się wyraźniej, gdy rozpatrywać je od strony preferowanej w badaniach świadomości. Dla Jastarni charakterystyczny jest dwudzielny podział — 2/3 mieszkańców zadeklarowało się jako Kaszubi, zaś 27 proc. osób uznało się za nie-Kaszubów. Rzadko występuje tu identyfikacja półkaszubska (7 proc.).

W gminie Karsin ponad 1/3 osób (36 proc.) deklaruje się jako Kaszubi i tylko 9 proc. jako nie-Kaszubi. Natomiast większość mieszkańców utożsamia się z kategorią pół-Kaszuby — 46 proc. Dominacja tej właśnie kategorii może być pewnym świadectwem odchodzenia od kaszubskości, jeśli uwzględnimy status miejscowości z punktu widzenia jej kaszubskiego położenia i tradycji. Dodajmy, że pozostałe 9 proc. osób stanowią ci, którzy nie potrafili lub nie chcieli identyfikować się w kategoriach Kaszuby czy nie-Kaszuby. Tym respondentom kategoria pół-Kaszuby również nie wystarczała. Rodowód tych osób jest jednak niekaszubski.

Nie-Kaszubi w Jastarni określali się przeważnie przez pryzmat regionu, z którego pochodzą (Wielkopoleanie i Laszczki — Nowy Sącz), rzadziej deklarowali się jako „rdzenni Polacy”. Niektóre osoby nie określiły w ogóle bliższej identyfikacji. W Karsinie nieliczni nie-Kaszubi utożsamiali się jako Pomorzacy.

Przynależność etniczna lub jej brak były na ogół utrwalone w przekazie pokoleniowym. W Jastarni 90 proc. Kaszubów pochodzi z pełnych rodzin kaszubskich (10 proc. z półkaszubskich), w Karsinie wszyscy bez wyjątku Kaszubi mają rodowód czysto kaszubski. Także nie-Kaszubi w obu miejscowościach wywodzą się z rodzin niekaszubskich. Natomiast liczna kategoria pół-Kaszubów znosi ową ostrość podziałów przez sam fakt swojej niejednorodności, mieszczą się w niej bowiem wszystkie grupy pochodzeniowe: Kaszubi 40 proc., pół-Kaszubi 40 proc. i nie-Kaszubi 20 proc. Ważne są co najwyżej ich proporcje. Na przykładzie kategorii pół-Kaszuby można mówić o przelamywaniu się — w takich identyfikacjach — procesów asymilacji i autochtonizacji, na razie nie wyrażają się one w tożsamościach z szerszą zbiorowością czy dzielnicą pomorską.

Charakterystyczne jest to, że rozkład deklaracji subiektywnych (często także i syndromu) w niektórych miejscowościach jest sprzeczny z ogólną zasadą usytuowania w warstwie. Mamy bowiem również miejscowości z warstwy I — teoretycznie najbardziej kaszubskiej ze względu na sposób usytuowania w obrębie dialektów kaszubskich — o niskim lub stosunkowo niskim odsetku Kaszubów (np. Brusy, Hel, Karsin). Omawiana tu Jastarnia, miasto niewątpliwie kaszubskie, leży w pobliżu Helu, gdzie Kaszubi stanowią wyraźną mniejszość, Karsin sąsiaduje z gminą Dziemiany, gdzie z kolei 100 proc. mieszkańców identyfikowało się jako Kaszubi. Procesy osadnicze, tradycja, polityka administracyjna, a nade wszystko dynamika wewnętrzna poszczególnych miejscowości zdecydowały o charakterze każdej z nich.

Podobne rodowody i ziemia pochodzenia

W obu miejscowościach ok. 60 proc. osób wywodzi się z pełnych rodzin kaszubskich, ponad 20 proc. z rodzin niekaszubskich. Także miejsce urodzenia mieszkańców Jastarni i Karsina wykazuje duże podobieństwa. W Jastarni aż 83 proc. badanych stanowią Pomorzacy urodzeni w obszarze dialektów kaszubskich, w Karsinie 86 proc. Również rodzice badanych w zdecydowanej większości pochodzą z Pomorza (z obszaru dialektów kaszubskich): w Jastarni

72 proc., w Karsinie 69 proc., natomiast 15 proc. osób przybyło tu z Pomorza, ale spoza obszarów dialektów kaszubskich.

Charakterystyczną cechą jest także zasiedloność badanych sięgająca co najmniej dwóch pokoleń. Okazuje się, że 47 proc. rodziców badanych mieszkało w Jastarni od urodzenia, zaś 25 proc. przybyło tu z pobliskiej Kuźnicy lub ziemi puckiej. Z innych regionów Polski osiedliło się w mieście nieco ponad 1/4 osób. Nie były to jednak zwarte grupy migrantów, jakie znamy z wędrówek na Ziemię Zachodnią, raczej pojedyncze osoby z różnych województw, wśród których wyraźniej zaznaczyli swoją obecność Wielkopolanie (3 proc.) oraz Górale z nowosądeckiego i Zakopanego (8 proc.). W pokoleniu obecnym jastarnianie z urodzenia to 42 proc. osób, 41 proc. przybyło tu z puckiego i Gdyni, a także z okolic Władysławowa i Wejherowa. Nieliczni migranci spoza Pomorza pochodzą z województw: kieleckiego, poznańskiego i nowosądeckiego. Porównując odsetek rodowitych jastarnian w pokoleniu rodziców i obecnym możemy mówić o zjawisku pewnej migracji rodowitych mieszkańców. Jej zasięg w obu pokoleniach ograniczony był w zasadzie do pobliskich terenów północnych Kaszub.

W Karsinie 43 proc. rodziców badanych to mieszkańcy urodzeni w macierzystej gminie, dalszych 26 proc. pochodzi z pobliskich gmin województwa bydgoskiego, zwłaszcza z Czerska, ale także z Chojnic, Brus i Tucholi, rzadziej Kościerzyny i Sulęcyna. Są również nieliczni przybysze z Tczewa i dalszych gmin województwa gdańskiego oraz ziemi toruńskiej. Należy też odnotować sporadyczne pochodzenie ukraińskie.

W pokoleniu badanych 37 proc. osób urodziło się w gminie Karsin, 28 proc. przybyło tu z chojnickiego, czerskiego i Lipnicy, a 27 proc. z innych gmin województwa gdańskiego. Jest rzeczą charakterystyczną, że nie ma tu w ogóle migrantów z pobliskiej kaszubskiej gminy Dziemiany. Ponadto 14 proc. pochodzi z województw pilskiego i toruńskiego.

Porównując dwa pokolenia tej gminy można również powiedzieć o migracji pewnej części osób oraz jej zasięgu ograniczonym do pobliskich terenów południowych Kaszub. Być może Kaszubi z bydgoskiego, jako element napływowy, nie są tak mocno związani z tożsamością kaszubską jak Kaszubi z północnych Kaszub, zasilających Jastarnię. Z szerszych badań wynikało już bowiem, że Kaszubi w województwie bydgoskim są stosunkowo słabiej zintegrowani z grupą etniczną, w porównaniu do Kaszubów „gdańskich” czy „śląskich”.

Czyste i mieszane małżeństwa

W Jastarni zdecydowana większość małżeństw to homogeniczne małżeństwa kaszubskie — 66 proc. oraz z dominantą kaszubską — 8 proc. 16 proc. mieszkańców — nie-Kaszubów — weszło w związki małżeńskie z Kaszubami lub pół-Kaszubami. Tylko 8 proc. stanowią małżeństwa niekaszubskie. W gminie Karsin z kolei dominują małżeństwa pomiędzy pół-Kaszubami — 38 proc., małżeństw kaszubskich mamy tu 25 proc. i tyleż samo mieszanych, w różnych wariantach, resztę stanowią małżeństwa niekaszubskie.

Jak widzimy, w obu miejscowościach charakter i typ małżeństw uwarunkowany jest raczej strukturą etniczno-regionalną niż barierami społeczno-kulturowymi. Przewaga danego ugrupowania, w tym przypadku Kaszubów lub pół-Kaszubów, reprodukowana jest przez czynnik rodzinny, który utrwała je pokoleniowo. Można jednak sądzić, że kolejne pokolenia pół-Kaszubów mogą wykazywać tendencję do osłabienia swojej tożsamości etnicznej.

Mówi się po kaszubsku, ale nie wszędzie

Jastarnia należy do tych miejscowości, w których obecność języka kaszubskiego zaznacza się bardziej niż w innych. 47 proc. osób zadeklarowało, że rozumie mowę kaszubską i posługuje się nią na co dzień,

20 proc., iż komunikuje się po kaszubsku, tyle że rzadko. Tylko 7 proc. badanych nie rozumie mowy kaszubskiej w ogóle. Dla pozostałych mieszkańców stanowi ona jakiś element kontaktu na zasadzie częściowego przyswojenia jej i użytkowania. Natomiast za pewną niespodziankę, wymagającą jeszcze badań, należy uznać, że 20 proc. osób deklarujących się jako Kaszubi oświadczyło, że rozumie mowę kaszubską, „ale nie umie mówić po kaszubsku”. Również znajomość czytania wśród jastarniańskich Kaszubów jest znaczna, gdyż obejmuje blisko 2/3 osób, natomiast pisanie jest już wyraźnie rzadszą umiejętnością, którą może wykazać się zaledwie 23 proc. osób.

W Karsinie posługiwanie się językiem kaszubskim jest dwukrotnie rzadsze — 27 proc., 18 proc. osób nie rozumie mowy kaszubskiej w ogóle, a 46 proc. rozumie ją wprawdzie, ale tylko częściowo i nie używa jej. Natomiast stosunkowo dużo osób zadeklarowało umiejętność czytania. Czyżby oznaczało to potencjalną możliwość zaktywizowania języka?

Transmisja pokoleniowa języka jest zróżnicowana. W Jastarni 45 proc. dzieci zna mowę kaszubską i stosuje ją w praktyce z różną częstotliwością, w Karsinie jedynie 13 proc. W pierwszej miejscowości zaledwie 9 proc. dzieci nie zna języka wcale, w drugiej aż 25 proc., a dalszych 25 proc. rozumie go tylko częściowo.

Potwierdza się oczywisty fakt, że istotny a może nawet decydujący wpływ na socjalizację etniczną dzieci ma postawa rodziców i użytkowanie przez nich języka, jak również skład etniczny i typ małżeństw, w których socjalizacja ta przebiega.

Czy Kaszubi nie zaginą?

Zobaczmy, jak mieszkańcy Jastarni i Karsina oraz czterech omawianych już miejscowości — Czarna Dąbrówka, Dziemiany, Gniewino, Hel (por. „Pomerańia” nr 9/90 i nr 1—2/91) zapatrują się na problem ewentualnego utrzymywania się lub zanikania Kaszubów jako grupy etnicznej. Wśród wszystkich badanych przeważał pogląd, że Kaszubi jako grupa będą stopniowo zanikać — 47 proc. Na drugim miejscu znalazła się opinia, że utrzymają się tak jak dotychczas — jej wyrazicielami jest 35 proc. osób. Skrajnie pesymistyczny pogląd o szybkim zanikaniu grupy etnicznej czy jej rozkładzie wyrażało 15 proc. osób, zaś optymistów opowiadających się za poglądem o zwiększeniu roli Kaszubów w przyszłości, zarejestrowaliśmy zaledwie 3 proc.

Najbardziej wierzą w trwałość Kaszubów w gminie Dziemiany — 66 proc., największymi pesymistami natomiast są mieszkańcy Karsina — 73 proc. W czterech pozostałych miejscowościach: Czarna Dąbrówka, Gniewino, Hel i Jastarnia ponad 60 proc. mieszkańców wyraża opinię o zagrożeniu Kaszubów przez współczesną cywilizację.

Badani o ludności kaszubskiej

53 proc. w Jastarni i 71 proc. w gminie Karsin wypowiedziało się na temat ludności kaszubskiej i problemów zawartych w ankiecie. A oto wypowiedzi mieszkańców Jastarni:

„Ludność kaszubska zamieszkująca Półwysep Hel-ski przez pracę wykonywaną na morzu jest wypróbowaną warstwą narodu silnego. Mężczyźni są odważni, pracowici i bogobojni, ponieważ z żywiołem, jakim jest morze, związani są na co dzień. Rodziny ich, żony zajmujące się domem i dziećmi, praktycznie mężów swych widują rzadko. Powracających z morza witają zawsze z radością”. (K, nr 440, m. 55 l, wyksz. zawodowe).

„Ludność kaszubska jest na pewno bardziej polska niż cała reszta społeczeństwa, która uważa nas za zniemczonych. Szanuje język polski, a zarazem nie wstydzi się swojej gwary. Problemy ich są takie same jak wszystkich. Żyją życiem codziennym”. (K, nr 454, m. wyksz. średnie).

„Mam żal do swoich rodziców, że nie nauczyli mnie mowy kaszubskiej, abym mógł się nią swobod-

nie posługiwać, a do swoich dzieci zwracam się tylko przemyślanymi zdaniem i wyrazami. Myślę, że w powojennej historii zrobiono wyjątkowo dużo krzywdy ludności kaszubskiej, nie pozwalając jej wręcz na swobodny rozwój i kultywowanie tradycji i kultury (pamiętam okres licealny, w którym wręcz szykanowani byli uczniowie rozmawiający na przerwach po kaszubsku i uczniowie, w których mowie tkwiły naleciałości języka kaszubskiego). Do dzisiaj dnia matki nie uczą małych dzieci języka kaszubskiego, aby »dzieci nie miały kłopotu«. Często spotykamy obrazek, kiedy to Kaszubi przechodzą na język polski, kiedy tylko ktoś obcy pojawi się w ich kręgu. Poza tym widać wielką liczbę ludzi przybyłych spoza regionu. Ludzie ci szybciej robią kariery niż tutejsi. Proszę zwrócić uwagę na władze miejskie, urzędy, samorządy i ludzi mających wpływ na życie regionu. Większość »interesów«, np. pensjonaty, stołówki należą do ludzi spoza terenu (Łódź, Warszawa, Pabianice). Myślę, że przez wieki, kiedy to zmieniały się rządy, a każdy z nich mówił »Kaszubi — tak — ale do władzy nie«, narodziła się nieufność i poczucie odosobnienia, dlatego też uważam, że publikowane i często podkreślane dążenie Kaszub do polskości odbiega nieco od historycznego obiektywizmu. Kaszubi nie mając zaufania do jakiegokolwiek rządu, traktowani jedynie jako rekruci, »mięso armatnie«, zawsze chcieli przede wszystkim dobrej organizacji, porządku itd. Jeżeli chodzi o przyszłość regionu, uważam, że jesteśmy niestety już ostatnim lub co najwyżej przedostatnim pokoleniem które utożsamia się z tą kulturą, kultywuje ją i zna język. Potem pozostanie tylko nazwa». (K, nr 457, m, wyksz. niepeł. wyższe).

A oto wypowiedzi mieszkańców gminy Karsin:

„Kaszubi to jedyna grupa etniczna w Polsce, która kultywuje nie tylko mowę, ale i język pisany w różnej postaci. Pytania są szczerze i mogą dać jakiś obraz dotyczący Kaszubów i kaszubszczyzny w ogóle. Powyższą ankietę uważam za pożyteczną, jeśli nie wprost niezbędną dla prawidłowej oceny i szukania środków, by kaszubszczyzna nam nie zginęła. Najbardziej charakterystyczne u Kaszubów, z obserwacji i życia wśród ludności kaszubskiej, jest ich przywiązanie do ziemi ojców i do miejsca. Stąd tu mniej niż w innych regionach Polski jest emigracji do miast». (P, nr 189, m, 51 l, wyksz. wyższe).

„Ludność kaszubska jest narodem starym, narodem polskim, cechuje się gościnnością, są dumni i uparci — dążą do obranego celu. Lubią się bawić, ale kiedy potrzeba, potrafią pracować i pomagać innym». (PK, nr 186, k, 34 l, wyksz. średnie).

„Uważam, że tradycje kaszubskie zanikają, np. obrzędy weselne. Jedyny przedmiot zainteresowania to tylko haft kaszubski i rzeźby, ale nie jest to masowe, lecz pojedyncze przypadki. Mową kaszubską posługują się jedynie starsi, moi rówieśnicy używają pojedyncze zdania lub wyrażenia, np. nazwy maszyn i przedmiotów codziennego użytku. Młodzież z okolicznych wsi jak Przytarnia, Goski, więcej kaszubią aniżeli w Wielu. Starsi Kaszubi nie dbają o to, żeby przekazywać młodym tradycje naszego regionu». (K, nr 193, m, 36 l, wyksz. ZSZ).

Powtarzającym się wątkiem wypowiedzi, zwłaszcza mieszkańców Jastarni, jest przekonanie o zanikaniu języka kaszubskiego, kojarzonego tu z kaszubszczyzną. Zwraca się na przykład uwagę, że dawniej występował zwyczaj modlenia się po kaszubsku, dziś raczej nie praktykowany. Funkcjonuje dość rozpowszechniony pogląd, że młodzież nie przywiązuje wagi do tradycji regionu. Z kolei przedstawiciele tej generacji obarczają winą starszych, że im jej nie przekazują. Typowy problem osłabienia komunikacji między pokoleniami. Przeciwstawia się też ludność miejscową ludności napływowej, oceniając wyżej etos Kaszubów. Charakterystyczne są też opinie o stosunkowo rzadszej emigracji Kaszubów. W kilku wypowiedziach (zob. np. nr 457) wskazuje się na uwarunkowania systemowe, które przyczyniały się do niszczenia Kaszubów jako grupy etnicznej, nie mieszczące się w schemacie centralizacyjnej polityki i wizji ideologicznej realnego socjalizmu. ■

Ponad dziewięćdziesięciu delegatów Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego zebrało się 2 marca w Ratuszu Staromiejskim w Gdańsku, by podsumować działalność Zrzeszenia po ostatnim XI walnym zjeździe organizacji, który odbył się 2 grudnia 1989 roku. Zgromadzenie delegatów Zrzeszenia, o którym tu mowa, zwołane po raz pierwszy po zjeździe, wytyczyło również ważniejsze kierunki działania społeczności zrzeszonej.

O pracy Zrzeszenia po ostatnim zjeździe informowaliśmy w poszczególnych numerach „Pomeranii”. Warto jednak przypomnieć najważniejsze fakty, świadczące o aktywności organizacji i wciąż umacniającym się jej autorytecie. W minionym okresie powołano cztery nowe oddziały Zrzeszenia: w Łebie, Łęczycach, Szymbarku i Zblewie, przybyło 440 nowych członków i łącznie, po wielu weryfikacjach, nasza organizacja skupia około 4000 osób. Tak licznym stanem osobowym, jak słusznie zauważono, nie może poszczycić się nie tylko wiele organizacji i towarzystw, lecz także partii i ugrupowań politycznych.

W okresie panowania władzy komunistycznej niejednokrotnie mówiło się, że Kaszubi i Pomorzanie stroną od działalności społeczno-politycznej i nie włączają się w życie publiczne kraju. Takie stwierdzenia można było usłyszeć także w środowisku zrzeszeniowym. Okazało się jednak, że z chwilą upadku totalitarnej ideologii wielu ludzi z naszego regionu, w tym także działaczy Zrzeszenia, aktywnie włączyło się w budowanie struktur samorządu terytorialnego, współtworzyło komitety obywatelskie, Pomorski Konwent Samorządowy i inne ugrupowania, które włączyły się w proces demokratyzacji kraju. Godzi się przypomnieć, że obecnie ponad stu działaczy Zrzeszenia piastuje różne funkcje w organach samorządowych, a także władzy państwowej.

Idee i działalność Zrzeszenia znajdują coraz szersze odbicie w lokalnych oraz ogólnokrajowych środkach masowego przekazu. Spełniony został również wysuwany wielokrotnie przez naszą organizację postulat, by kaszubszczyzna znalazła trwałe miejsce w telewizji. W dużej mierze przyczynił się do tego poseł OKP, Antoni Furtak. Prezentowany co dwa tygodnie Magazyn Kaszubski „Rodnó zemia”, prowadzony przez red. Izabellę Trojanowską, doczekał się już licznych pozytywnych recenzji i cieszy się sporą popularnością nie tylko wśród społeczności kaszubskiej.

We wspomnianym okresie niewątpliwie osłabła działalność wydawnicza Zrzeszenia. Stało się tak za sprawą trudności finansowych, z którymi borykają się również inni edytorzy. Niemniej wydano siedem pozycji książkowych oraz wszystkie numery „Pomeranii” i „Komunikatów”. Na podkreślenie zasługuje

fakt, że Zrzeszenie podjęło się, na zlecenie Wydziału Kultury UW, wydawania nowego kwartalnika literackiego „Tytuł” bez pobierania jakichkolwiek prowizji, co spotkało się z uznaniem środowiska gdańskich pisarzy.

Poprawiła się sytuacja lokalowa zarówno Zarządu Głównego, jak i poszczególnych oddziałów. Wydawana przez ZG ZK-P „Pomerania” otrzymała nową siedzibę w gdańskim Domu Prasy. Własne lokum ma też — w odrestaurowanej chacie rybackiej — oddział Zrzeszenia w Jastarni. Kilka innych oddziałów znalazło schronienie w obiektach parafialnych. Zbliża się ku końcowi budowa Domu Kaszubskiego przy ul. Straganiarskiej w Gdańsku. Oddanie do użytku tego ważnego obiektu planuje się na 20 grudnia br. — w 35-lecie powołania Zrzeszenia. Z inicjatywy naszej organizacji powołano Fundację Uniwersytet Ludowy im. J. Wybickiego w Sikorzynie, która zajmuje się odrestaurowaniem zabytkowego dworu w tej miejscowości i organizacją wspomnianej placówki oświatowej. Ustanowiono też Fundację Rozwoju Kaszub i Pomorza, która ma zbierać środki finansowe na wszechstronną działalność przyczyniającą się do ożywienia regionu.

Przedstawiciele ZK-P tradycyjnie brali udział w zjazdach Związku Podhalań i Związku Górnośląskiego, bratnich organizacji, podobnie jak Zrzeszenie o autentycznym rodowodzie i zbliżonych programach działalności. Zrzeszenie w wieloraki sposób współpracuje z tymi organizacjami, szczególnie w sprawach związanych z regionalizacją kraju. Zarząd Główny utrzymuje także kontakty z różnymi środowiskami za granicą, przede wszystkim w Niemczech i Danii.

Pozornie wydawać by się mogło, że przy bardzo aktywnej pracy Zarządu Głównego zanika działalność Zrzeszenia w tzw. terenie, w oddziałach. Jednakże tylko z części nadsyłanych sprawozdań oddziałów za rok ubiegły wynika, że społeczność zrzeszona poza Gdańskiem nadal podejmuje wiele inicjatyw, natomiast wiele informacji o nich nie dociera do „Komunikatów” i do „Pomeranii”. Z powodu szczupłej obsady dziennikarskiej w tych pismach działacze w oddziałach powinni bardziej niż dotychczas zająć się o szybkie dostarczanie sprawozdań do tych periodyków.

Niektórzy delegaci zabierający głos w czasie dyskusji, nie bacząc na powagę zgromadzenia, mówili o sprawach banalnych, nie wnosząc żadnych konstruktywnych wniosków, kierując się często osobistymi urazami do niektórych członków Zarządu Głównego. Można też było usłyszeć głosy pełne pretensji, zarówno nie podparte konkretnymi faktami, jak też niejasno sformułowane lub zawierające jedynie gromkie hasła. Padaly też zarzuty, że Zarząd Główny pomija w swojej działalności sprawy pomorskie, a zbyt eksponuje kaszubskie, że jakoby istnieje grupa gdańska, która zdominowała naczelne władze Zrzeszenia.

Jak już niejednokrotnie w przeszłości, tak i tym razem zwyciężył zbiorowy rozsądek przedstawicieli społeczności zrzeszeniowej. Wszyscy członkowie Zarządu Głównego uzyskali wotum zaufania.

Delegaci uczestniczący w zgromadzeniu jednoznacznie opowiedzieli się za:

- zwołaniem w czerwcu 1992 roku II Kongresu Kaszubskiego oraz zaakceptowali jego dwudniowy program z wiodącym tematem dotyczącym przyszłości kaszubszczyzny;

- wsparciem i łączeniem się ZK-P podczas najbliższych wyborów parlamentarnych z tymi siłami politycznymi, których program i kandydaci odwołują się solennie do podstawowych interesów społeczności zrzeszonej;

- działaniem Zrzeszenia na rzecz regionalizacji kraju oraz takiego podziału terytorialnego, by w jednym regionie znalazły się wszystkie grupy etniczne Pomorza, w tym przede wszystkim Kaszubi.

Należy podkreślić, że zgromadzenie delegatów ZK-P zostało bardzo starannie przygotowane, a bogaty program obrad zrealizowano w ciągu niespełna sześciu godzin.

Delegaci zakończyli spotkanie odśpiewaniem hymnu kaszubskiego „Tam gdzie Wisła od Krakowa...”.

(s.j.)

POMORSKIE NAZWISKO MUZA, MUŻA

Edward Breza

Myśl napisania tego drobnego artykułu powziąłem, gdy opiniowałem do druku dla wydawnictwa Ossolineum ciekawy „Słownik nazwisk polskich” prof. K. Rymuta z Instytutu Języka Polskiego PAN w Krakowie. Autor zamieścił we wspomnianym słowniku nazwisko *Muza* i sprowadził je do podstawowego rzeczownika *muza* 'bogini grecka, kobieta niezmiernie piękna'. Podobnie myślałem i ja, kiedy w latach siedemdziesiątych na studiach zaocznych filologii polskiej Uniwersytetu Gdańskiego zjawiała się studentka z pólnocnych Kaszub o nazwisku *Muza*. Dopiero gdy przy jakiejś okazji zajrzałem do „Słownika gwar kaszubskich” ks. B. Sychty i zobaczyłem tam rzeczowniki *muza*, *muża*¹ i formy od nich pochodne, myślenie moje pobiegło innymi torami.

Przedstawmy jednak najpierw dokumentację interesującego nas nazwiska, jak to zwykle postępuje się w badaniach onomastycznych. W roku 1583 wizytatorzy kościelni zanotowali we wsi Cekcyn pod Tucholą kasjera (*vitricus ecclesiae*), nazywanego *Lucas Muzy*². W wizytacji z 1652 r. w Sławęcinie w b. pow. chojnickim odnotowany został niejaki *Joannes Musow*³. W lustracji z 1664 r. we wsi Łąkorz w b. pow. lubawskim zanotowany został karczmarz *Jan Muza*⁴. Z kolei inwentarze starostw puckiego i kościerskiego wymieniają w 1678 r. w lesie zwanym Kępina (źródło Kampina) pod wsią Gniewino na osobnej nowinie, tj. polu świeżo wziętym pod uprawę, leśniczego i strzelca o nazwisku *Jakub Muza*⁵. *Chrystina Muzowna* występuje w 1792 r. w parafii Żarnowiec w b. pow. puckim w tamtejszej księdze chrztów, przechowywanej w Archiwum Państwowym w Gdańsku⁶. Księgi metrykalne parafii Swarzewo w b. pow. puckim ujawniają również omawiane nazwisko: *Andreas*

¹ T. III s. 146–147. Wyraz notuje też *Pomoranisches Wörterbuch* F. Lorentza, Bd I, Berlin 1958, s. 548, w znaczeniu 'landsamer, unzuverlässiger Mensch, Tölpel' i G. Półlocki, *Słownik kaszubski*, Chełmno 1887, s. 50: *muża* 'mazgaj'.

² *Visitationes archidiaconatus Pomeraniae Hieronyma Rozrażewski Vladislaviensi et Pomeraniae episcopo factae*, curavit S. Kujot, Toruń 1879–1899, Fontes I–III, s. 142.

³ *Visitationes archidiaconatus camenensis Andrea de Leszno Leszczyński archiepiscopo a. 1652 et 1653 factae*, curavit P. Panske, Toruń 1907–1911, Fontes XI–XV, s. 203.

⁴ Opis królewskich w w województwach chełmińskim, pomorskim i malborskim z r. 1664, wyd. J. Paczkowski, Toruń 1938, Fontes XXXII, s. 443.

⁵ Inwentarze starostw puckiego i kościerskiego z XVII w., wyd. G. Labuda, Toruń 1954, Fontes XXXIX, s. 89.

⁶ Dalej skrót: AP. Wyszukałem przechowywane w tym archiwum metrykalne księgi kościelne, oznaczone cyframi rzymskimi; występujące po nich cyfry arabskie oznaczają kolejną stronę czy kartę.

Muza 1694 r., Andreas Muza 1712 r., Anna Muzowna 1728 r. Księgi tej parafii z XVIII w. kontynuują zapisy: Andreas Muza 1730 r., cora Muzowa 1740 r., Christina Muzowna 1742 r. (księgi przechowywane w miejscowym archiwum parafialnym). W sąsiedniej parafii Strzelno pojawił się wariant utworzony od nazwiska Muza — Muziński; Francisco Muziński 1727 r.

W tym czasie interesujące nas nazwisko odnotowane zostało także w księgach parafii Góra w b. pow. wejherowskim, Michael Muza 1744 r. (AP VI 15), Marianna Muzowna 1823 r. (tamże, s. 134). No początku XVIII w. omawiane nazwisko wystąpiło też na pograniczu kaszubsko-kociewskim w parafii Pogódky pod Skarszewami: Anna Muzanka 1701 r., a potem w Skarszewach: Marianna Muza 1842 r. (AP XXI 45). W Kościerzynie pojawiło się nazwisko Muzol: Marianna Muzolowa 1753 r. (AP X 81), utworzone za pomocą przyrostka *-ol*. Podwójną interpretację dopuszcza zapis z Kościerzyny: Musal Joseph 1846 r. (AP 1171) i Musal Martin 1875 r. (AP XII 181), który możemy czytać jako Muzal, a więc formę pochodną, utworzoną za pomocą przyrostka *-al* od nazwiska Muza, albo Musiał z pominięciem miękkości i niemczącym *l* zamiast *ł*. Nazwisko Muzal wymienione zresztą zostało na początku XIX w. w parafii Lalkowy w b. pow. Świecie: Martino Muzal 1807 r. (AP XIV 34) i Maria Musal 1832 r. (tamże, s. 206).

Pod koniec XIX w. w parafii Wejherowo (dane z miejscowego archiwum) notowani są: Franz Muza 1897 r. i Anton Musa 1894 r. W Kielnie, b. pow. wejherowski, występuje Georg Moza 1840 r. (AP IX 65), w parafii Tyłowo, b. pow. pucki w XIX w. występuje również Muza: Zofia Muza 1935 r. (AP XXIX, księga nie paginowana). Współcześnie nazwisko Muza i Muza można często spotkać na cmentarzu w Pucku, a noszą je mieszkańcy wielu wsi na północy Kaszub, jak: Jastarni, Klanina, Chałup, Swarzewa oraz miast: Pucka, Wejherowa, Helu; w Rumi też Mosa.

Przejdźmy zatem do interpretacji bogato udokumentowanego nazwiska. Zauważmy jeszcze, że omawiane nazwisko wystąpiło w następujących wariantach: Muza i Muża, Mosa, Muzal, Muzol i Muziński. Podstawowe warianty to Muza i Muża, pochodne są Muzal i jego gwarowy wariant Muzol oraz Muziński. Wykazałem już wyżej, że rzeczownik *muza* i *muża* notuje, ale tylko z północnych Kaszub, ks. B. Sychta w swoim „Słowniku gwar kaszubskich” (t. III, s. 146). Mamy zatem *muża* 'ciamajda, fujara, niedolega' oraz pochodny przymiotnik *mużowati* i przysłówek *mużowato*. Sychta notuje też samo nazwisko: *Muża* 'nazwisko kaszubskie' (Puckie). Uważam, że znaczenie to jest wtórne. Podstawowym był wyraz onomatopieczny (dźwiękonaśladowczy) *muża* 1. 'pieszczotliwie o krowie, krówka', 2. przestarzałe 'kobieta tęga, otyła'. Na południu Kaszub mówi się na krowę *mužia*. Jest to też na tym terenie wykrzyknik na przywołanie krowy. Sychta notuje go jako *muża*, *muża*, *muża* (z akcentem na końcu wyrazu), oczywiście znam go, i tak przywoływałem krowy, w postaci *mužia*, *mužia*, *mužia* (też z akcentem na końcu wyrazu). Wyraz ten ma całą rodzinę etymologiczną. Sychta notuje więc: *mużka* 'zdrobnienie od krowa, czyli 'krówka', *mużatko* 'cielątko', *mużęchna* 'krówka', *mużónka* 'krówka', *mużoch* w języku dzieci 'byk'; to samo znaczy *mużola* i *mużóczk*, *mużęc* w języku dzieci znaczy 'wydawać głos' o krowie.

Wyrazy te i ich znaczenie dadzą się uporządkować następująco: onomatopieczne przywoływanie krowy: *mužia*, *mužia*, *mužia*, potem 'sama krowa' i wreszcie 'człowiek przypominający zwierzę', a więc 'ciamajda, niedolega'. Przenoszenie nazw zwierząt na ludzi jest zjawiskiem częstym w języku, por. *ty ośle*, *byku*, *wole*, *psie*, *liste*! I nasz wyraz oznacza często człowieka płci żeńskiej: *muża* według Sychty znaczy też 'kobieta tęga, otyła', *mužia* też 'dziewczyna z przyczesnymi gładko włosami', tzn. jakby ją ulizła krowa. Wariant rzeczownika *muża* i *mužia* tłumaczy się onomatopeją i tym, że kaszubskie ż do dziś jest miękkie (ż).

Rzeczownik *muża* czy *mužia* był zatem przezwiskiem człowieka. Przewisko to przeszło do roli nazwiska. Przypomnieć warto, że do końca XIX w.

nazwisko i przezwisko używane były zamiennie, synonimicznie. Do dziś na północy Kaszub dzisiejsze nazwisko bywa określane wyrazem *przezwestko* (*Jocze on mó przezwestko?* — to pytanie o nazwisko). H. Derdowski w „Panu Czorlińskim” też prezentuje bohatera w zdaniu: *Mo przezwisko Jon Czorliński*. Wariant Muza omawianego nazwiska wziął się stąd, że w niemieckich zapiskach nie zaznaczono znaku diakrytycznego (tzn. *Muża* lub *Mužia*) i stąd Muza. Ta postać podtrzymywana była oczywiście także przez nawiązanie do starożytnych greckich *muż*, opiekunek nauki i sztuki.

Wyraz *muża* i *mužia* w odniesieniu do człowieka znany był na całym Pomorzu. Wariant *mužia* w tym samym, co na południu Kaszub, podwójnym znaczeniu notuje ks. Sychta w „Słowniku kociewskim”: 1. pieszczotliwie 'krówka', 2. 'dziewczyna z przyczesnymi gładko włosami'. Z Warmii rzeczownik *mužia* 'człowiek małomówny, nie umiejący się obracać wśród ludzi, tępawy' podaje W. Steffen w „Słowniku warmińskim” (Wrocław 1984, s. 86). Poza tym rzeczownik *muża* i *mužia* na 'krowę' i 'kota' (wtedy najczęściej *myžia*) znany jest w wielu regionach Polski.

Jak wynika z wyżej podanej dokumentacji, nazwisko Muza spotykane było historycznie na całych Kaszubach; dziś występuje tylko na północy Kaszub, choć sam wyraz *muża* 'o człowieku tępym i ociężałym umysłowo' i 'o krowie' bądź 'kocie' występuje na Krajnie, Ziemi Chełmińsko-Dobrzyńskiej, Warmii, Kociewiu i Kaszubach. Wariant *Moza*, w pisowni niemieckiej *Mosa* (niekiedy też w zapisach niemieckich *Musa*) powstał prawdopodobnie przez nawiązanie do niemieckiego *Mose* 'Mojżesz' lub przez polski zapis *Móza*. *Muzal* to forma pochodna, utworzona za pomocą przyrostka *-al* od nazwiska Muza. Wariant *Muzol* jest postacią gwarową formy *Muzal*.

Tak więc współczesne i historyczne nazwisko Muza na Pomorzu nie ma nic wspólnego ze starożytną *mużą*, jest nazwiskiem odprzezwiskowym, jak wiele innych nazwisk kaszubskich, polskich i w ogóle europejskich. ■

Czas przedłużyć prenumeratę!

Przypominamy o prenumeracie „Pomeraanii” na II półrocze. Cena pojedynczego numeru nie ulega zmianie, wynosi 3000 zł. Podwyższona została, o czym już informowaliśmy, opłata pocztowa. Za przesłanie 1 egzemplarza w kraju trzeba zapłacić 1000 zł, za granicę 4200 zł. Prenumerata więc na II półrocze w kraju wynosi 24 000 zł (18 000 zł + 6000 zł wysyłka), za granicę 43 200 zł (18 000 zł + 25 200 zł wysyłka).

Pochodzenie oraz pierwotne znaczenie nazwy Kaszuby wciąż pozostają nie odgadnione. Na pytanie: czy najpierw była to nazwa ludu czy też nazwa krainy, brak w zasadzie wyczerpującej odpowiedzi. Wprawdzie jeszcze dość często, szukając rodowodu nazwy, sięga się do genealogii plemiennej, to jednak coraz powszechniej uważa się, iż Kaszuby to nie tyle dawne miano plemienne, ile raczej późniejsze wyróżniające określenie etniczne. U źródeł trudności z etymologią nazwy Kaszuby słusznie także widzi się pewne uniwersalizmy. Nie bez racji szuka się bowiem przyczyn tego stanu rzeczy w takich wyróżnikach sytuacji, jak w specyfice pogranicza i kresowości, w dezintegracji procesów etnicznych, w niejednolitości politycznej regionu, a także dostrzega się pewien związek z tradycją wielkiego Pomorza jako reliktu dawnej jedności pod polskim zwierzchnictwem. Niewątpliwie duży wpływ na identyfikację nazwy mają również określone podziały kulturowe, a zwłaszcza moim zdaniem terytorialne, jak i różnice rozwoju społeczno-gospodarczego poszczególnych części, w tym podziały kościelne.

Pomorze — nadbałtycka część Słowiańszczyzny — od wewnątrzładowych sąsiadów odróżnia się przede wszystkim bardziej wzmocnionymi wpływami i związkami ze środowiskiem morskim oraz bardziej rozwinętymi i wszechstronnymi kontaktami z ludami północnej Europy. Niebagatelne znaczenie ma fakt, że nazwa Kaszuby bywała w poszczególnych okresach rozciągana na różne fragmenty ziemi pomorskiej, także północnopolabskiej, pełniąc różne funkcje wyróżniające. Toteż nie można się dziwić, że jej dzieje trudno ogarnąć.

Jako pewien przyczynek do badań pragnę przytoczyć, prawdopodobnie nieznanym w tym kontekście, poemat pochodzący z XVI w. Utwór noszący tytuł „Częstochowa” napisany został w 1568 r. przez Grzegorza z Sambora i wydany przez Siebeneychera. Ukazuje on Jasną Górę jako — już wówczas — wielki ośrodek ruchu pielgrzymkowego. Wiersz napisany po łacinie przełożył na język polski w 1896 r. Wincenty Śroka z Krakowa. Fragment, na który chcę zwrócić uwagę, brzmi następująco:

Tymczasem Częstochowa, miścina niewielka,
Siała niżej pocziwych mieszczan żywicielka.
Niewielka Częstochowa, ale wszystkie miasta
Całego świata swoim znaczeniem przerasta.
Tu nie tylko Polacy w święte mury spieszą
I Litwini pobożni gęstą idą rzeszą.
Tu mieszkańcy gór naszych i całe Polesie,
Kaszubi i lud z Moskwy hołdy swoje niesie.
Tu Kujawiak namioty rozbija płóciennie,
Tu Mazur z wełny stawia szalaszę odmienną.
Tu możni Morawianie, bogaci Węgrzyń,
Podolacy i Niemcy, Słowienicy, Rosini,
Tu z Pomorza, z Wołynia, z Tracji, z Inflant,
Zmudzi,
Z Saksonii, Prus, Czech, Śląska mnóstwo idzie
ludzi.

Czytającemu powyższy urywek nasuwają się następujące spostrzeżenia. Po pierwsze, iż nazwa Kaszubi pada łącznie z nazwą krainy Pomorze i określa lud. Po drugie, iż występuje wraz z nazwami ludów i terytoriów opisujących całą środkową Europę, hasłowo określając dominujące wówczas tutaj wielkie organizmy polityczne, zaś bardziej szczegółowo — regionalno-etniczne kresy Rzeczypospolitej. Sądę jednak, iż najważniejszym spostrzeżeniem, jakie się nasuwa, jest fakt, iż nazwa pojawia się w utworze religijnym, związanym z Kościołem. Okoliczność ta przemawia za tym, że przypuszczenie o upowszechnieniu nazwy przez czynniki kościelne (dyplomację i kurie papieską) jakby bardziej się uprawdopodobnia.

Wojciech Wiła

Wiele razy pisano już w „Pomeranii” o braciach Peplińskich — szkolnym Aleksym i ks. Antonim. Nie przesadzę, jeśli powiem, że o drodze kaszubskiej braci zdecydowała między innymi postawa starszej ich siostry Anusi, która stanowiła o codziennej atmosferze plebanii ks. Antoniego, przede wszystkim przez długie 20 lat jego pracy daleko od Kaszub — w Czarnowie pod Toruniem. Kaszubska plebania to zarówno gospodarz, jak jego siostry — Wanda i Anusia własnie, opiekujące się domem, gospodarzem, gromadką osieroconych dzieci zmarłego brata i... gośćmi. Wszystkich raczyły dobrym kaszubskim jadem, zarażały ciekawością kaszubskiego świata. Przodowała w tym „cotka Anusia” — wierna czytelniczka „Kaszëb” i „Pomeranii”, każdej starej i nowej książki kaszubskiej. Znała kaszubski świat — wsie i miasteczka, swoją liczną rodzinę, a przez nią ogromny krąg ludzi godnych ludzkiej pamięci. Bliski był jej świat duchów, wanożników i kpiarzy.

Anna Leszczyńska urodziła się 7 lipca 1902 roku w Kłęczynie w Ziemi Bytowskiej, skąd pochodziła jej matka. Była pierwszym dzieckiem Justyny ze Schröderów i Franciszka Leszczyńskiego, pochodzącego z pobliskiego Kruszyna, w parafii Leśno. Ojciec zginął w czasie I wojny światowej. Wówczas rodzina mieszkała już, od 1912 roku, w Wielkim Kłęczu koło Kościerzyny. Gromadka dzieci Leszczyńskich, a potem Peplińskich (Justyna wyszła po raz drugi za mąż) wymagała opieki także najstarszej siostry Anny, która po śmierci ojca została zwolniona z obowiązku szkolnego dla pracy w domu. Do szkoły chodziła w latach 1908—1912, najpierw w Kłęczynie, a potem w Kruszynie i Kłęczu. W jej, a także młodszego rodzeństwa pamięci zapisali się dwaj szkolni — Skierka z Kłęczyna i Henka z Kruszyna, o którym ciepło pisze m.in. Anna Łajming. Mała Anusia szybko poleniła haczky lektury, co ułatwiła jej biblioteczka dziadka Jana Schrödera, wiernego odbiorcy ludowych wydawnictw, szczególnie Karola Miarki z Mikołowa.

W latach dwudziestych Peplińscy przenieśli się do Łysiewa koło Sierakowic. Tam Anusia dokształcała się wieczorami w szkole, a jednocześnie uczyła krajeństwa. Działając w różnych organizacjach religijnych (Koło Panien Bractwa Różańcowego — zelatorka, III Zakon Sw. Franciszka, Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej — sekretarka) miała liczne kontakty z nauczycielami, strażnikami polskimi i księżmi, którzy współdecydowali o życiu społeczno-kulturalnym sierakowickiej, graniczącej z Niemcami, okolicy. W domu na co dzień obecne były polskie gazety. Zapamiętano: „Gazetę Grudziądzką”, „Pomorzanina”, „Gazetę Kartuską”, „Przewodnik Katolicki”, „Mały Dziennik” i inne.

Codziennością Anusi była więc nie tylko praca w polu, ogrodzie, oborze czy domu, ale i owe lektury, spotkania, teatry. Wspominała nieraz Remusa, którego jako dziecko spotykała na odpustach, a także z Kartuz dra Aleksandra Majkowskiego.

W niemowlęctwie przeszła operację twarzy z powodu wady, po której pozostała jej blizna i szczególna, zapadająca w pamięć wymowa, jakże wzmacniająca treści jej kaszubskich opowieści.

W czasie II wojny odważnie wspomagała Gryfowców i więźniów w obozach. Po 1945 roku walczyła o przetrwanie rodzinnego, a potem plebańskiego gospodarstwa. Swoją życiową mądrością i wiedzą, odwagą, dorównywała najlepszym.

7 lipca 1983 roku zaniemogła — w 81 swoje urodziny trafiła do szpitala w Toruniu. Tam zmarła 4 sierpnia. Pochowano ją w Czarnowie w cieniu średniowiecznego kościoła, z dala od rodzinnych Kaszub, na które chciała wrócić. Pozostała w żywej pamięci licznych grona rodziny, przyjaciół. Brat Aleksy w „Balladzie o Anusce” napisał: „Teró mē w Mcśśejcach, na kaszëbsczich pjóskach / przē naszich jezorach, polach, grzëpach, lóskach. / Spēniło się nasze dómócë marzeniē. / A móm o Anusce ostoło wspomnieniē”.

Józef Borzyszkowski

DIÔBELSKÔ ODPORAJA W „KALISKACH“

Ryszard Landowski

Ju z samého porénka w niedzielę Ôberskansného obiegôcz zaniôsł klêkê obiegôczowi diôbelscziemu w „Skwierawach”. Na karteluszk przëwiązonym do klêczy ba naskriblônô parôla o zynôdzenim skansénowich diôchlów w chlëwiku z Kalisków. Obiegôcz ze „Skwieraw” po odczëtanim parôlë diôblóm z jego sztelë poczurpôł do wiatrôcz, dze tamtému obiegôczowi dôł klêkê. Obiegôcz z wiatrôcz, téż odczëtôł parôlë swojim Skansnym i polôł z klêką dali... Klêkê, poobnoszônô po wszëtczych budowniach skansného, przed ostatkë przëniesł obiegôcz z „Pogôdków” do sztabowégò obiegôcza pod biôro i ona je terë w sztabie.

O szôsti godzënie Skansni ju bëlë w „Kaliskach”, dze zarë naczelã sã odporaja. Sztabowi obiegôcz cos tam mrëknął na otemkniécë i zaruska prawil:

— Czasu mômë mólko, bo o ôsmi będã w koscele swoje odrpôwiac, a no nie je dlô najich uszów, dlôte od razu naczelã obznôjmiać nowë wizrë glëpieniô w skansenim... Slëchëta le! Skansni od budowniów, chtërnë sã zwiedzô, ju nie mdã żdac na parolë od Skansnëch, co podzërajã zwiedzôków kole koscola... — Kasynek pësk wëkrëwił, ale cygniôł dali: — Leno na polët swogégò obiegôcza mają oglëpiac zwiedzôków, a téż prôcowników skansenégò. Obiegôczë nie mają glëpic, le glëpieniégò pilowac, a wszëtczë oglëpienia nôtirowac... To, com rzekł, téż tëczy sã budowniów, chtërnë nie zwiedzô. Wszëtcë Skansni prôcz sztabowich i obiegôczów muszã glëpic! Rozmieta mië?

— Rozmiemë! — rëknëlë Skansni.

Zarë po trzôsku jedën môli, puklowati a bebechowati diôbel z „Zazdroscë” — budowni stojący w lasku na porénk od biôra — trzë razë tępã majtnął, a czijë do ni sztabowi dolną mërme na wikrz górny wëcygnął, chutkô pitôł sã:

— Kole nôs môlko lëdzy przechadô, czasë le jaczis stolôrz abo prôcownik przeniêdze. To co më w „Zazdroscë” mômë robic?

— Do te czasu, cziedë jesz nie rosçã grzëbë, nêch lëdzy ze skansenégò glëpiëta, a jak w lese grzëbë sã wësëpiã, tój i zwiedzôczë sã tam nalëzã. Zaplãcã w kasë za bilet wëndzeniégò i miast zwiedzaniô skansenégò zrobã so grzëbitwë. Nôm to pasëje!

Sztabowi dolną mërme — muńdégò — wcygnął w pësk, górny zëbë wëszczërzôł i tak szôt sã chachotôł, a Skansni na niego czikrowelë i żdelë cëdowaniegò kuôca...

— Kożdégò dnia — obznôjmiôł dali sztabowi — obiegôczë po zômkniënym muzëum, to co naskriblëlë o glëpieniu, na ekstra karteluszk kask o nym napiszã a nôlëpszë glëpienie akuratno opiszã i chtërnë to diôchel glëpił dopiszã. Karteluszczi le obiegôczë mają mie halac!... Jô i pozostali Skansni sztabowi wëbierzemë z lepszych nôlëpszë, a z nêch naji szef Ôberskansny zrobi so wibiôr nôjnôlëpszégò i to mdze zôpisônë w knëzce „Diôbelsczië oglëpienia w Muzëum-Parku Etnograficznym w Wdzydzach Kiszewsczych”. Kożdë taczë, w ny diôbelsczi knëzce zôpisônë, oglëpienie mdze przez Lëcëpera nôgrodzônë, bo jemu — ôberszefowi kaszëbsczégò dzëlu piekła tak sã zachcôło. Nôgrode mdã taczë: nen Skansny, chtërnë glëpił dostanie do zaziwaniô pomiôti sarcz i përzinkã torfu — 50 gramów, obiegôcz z ny sami budowni — 100 gramów, jô, sztabowi obiegôcz — 200, jinszi sztabowi Skansni — po 150, a Ôberskansny — 500 gramów...

Sztabowi obiegôcz oprzestôł obznôjmiać, bo knëra zaczelã mu swëdzëć, przez to wëcygnął tobaczerkë i so zazël a podôł jë pozeszlim Skansnym. Czijë wszëtcë so zazëlë a ponëmu papã od daków knërë obterlë, sztabowi zôs chcôł obznôjmiać, le że uzdrzôł, jak jaczis Skansny trzë razë tępã majtnął i wëcygnął dolną mërme, w chtërnã zapadłã sã górna. Skansny z „Zazdroscë”, nen sôm, co wczasni sã pitôł, gromko rzekł:

— Jak to! Ôberskansnemu colemało kożdégò dnia wpadnie fuñt tobaczi. Co szef z tim fañtë robi?

— Slëchële! Të nie zazërzë najëmu szefowi w czieszën, bo zle dlô ce moze to sã skuñczëć. Terë mdzemë miec nowë paragrafë w robocë, a szef mdze mógł ce z robotë wënëkac, të juchônë spiekłônë! — rozjadli odpari sztabowi obiegôcz. Jesz rzekł: — W knëzce „Diôbelsczië oglëpienia...” sztabowi sekretôrz mô szesc oglëpiën naskriblônë. Tobaczi nicht od waji za ne glëpienia nie dostanie! O glëpieniu skansenowszë wësëznë cziedë jindzy wama obznôjnië. A terô do robotë... i szlus!

Z PRASY

„Pielgrzym”, nr 5/91, przypominając myśli „Ze staro »Pielgrzyma«” (tytuł stałej rubryki), zamieścił takie oto spostrzeżenia księdza Ł. (czyżby Władysława Łęgi?) z 1936 roku: „Do niedawna pewni ludzie upatrywali w odrębności pomorskiej i jej pielęgnowaniu rzekome dążności separatystyczne (...). Dziś odniosło zwycięstwo naleyte rozumienie tych odrębności i pielęgnowanie ich na podłożu ogólnopolskim, dziś regionalizm jest »modny« i słusznie, bo z jego ukrytych skarbów dużo wydobyć można wartości dla rozwoju ogólnopolskiej kultury”. Jak ten świat się krączy wiedno wkół. ■ Andrzej Borkowski napisał w nowym miesięczniku „Jachting”, nr 1/91, że Pomorze Zachodnie sięga do Wisły. Więc za Wisłą, chyba aż do Żmudzi, to Pomorze Wschodnie. A gdzie są Prusy? Zygmunt Wrześniowski i Marek Sperski w przewodniku „Kajakiem po wodach Pomorza Zachodniego” (SiT, 1974) zajęli się nawet całą Notecią, więc i obszarem położonym na południowy wschód od Gopla. Rozszerzone tuż przed wojną województwo pomorskie obejmowało całe Kujawy. Musi być coś w nazwie „Pomorze”, że tak chętnie (ale i bezpodstawnie) zmierza się do obejmowania nią nawet odległych obszarów. ■ Trwa rozpoznawanie struktury

przestrzennej Polski. Jerzy Zaleski („Gazeta Gdańska”, 18 II br.) chciałby, żeby tym bez pośpiechu zajmowali się flegmatycy. Grzegorz Boros („GG”, 19 II br.) uważa, że czym się jest dalej od centrali, tym lepiej. Józef Borzyszkowski (tamże) stwierdza, że Słupsk, Chojnice, Brusy i Czersk ciążą bardziej do Gdańska niż Bydgoszczy czy Szczecina. Tego boi się Józef Narkowicz i straszy czytelników „Głosu Pomorza” z 28 II br. wizją uczynienia Słupska na powrót miastem powiatowym. Narkowicz nie zna hierarchii Christallera, nie zna tuż powojennego planu krajowego, którego idee dopiero teraz się urzeczywistnia, a widzi funkcje miasta, w tym przypadku Słupska, głównie we władaniu podporządkowanym mu obszarem. Nie te czasy, nie te funkcje będą decydować o randze poszczególnych miast. ■ „Wiadomości Wędkarskie” rozpoczęły w numerze 2/91 nowy cykl artykułów poświęcony sprawom ekologicznym od przedstawienia Borów Tucholskich, będących obszarem „między Chojnicami, Tucholą, Czerskiem, Skórczem, Starogardem Gdańskim, Świeciem i Bydgoszczą”, gdzie „płyną jeszcze strumienie o czystej, nie zamarzającej wodzie”, gdzie w kompleksach leśnych zasadzonych przez człowieka pozostały „enklawy drzewostanu pierwotnego, relikty dawnej szaty leśnej tego obszaru, prawdziwe perły lasów mieszanых — pamiętki bezkresnych ongiś puszczy”. Ale czyste wody i ostańce leśne stanowią tylko drobną część borów. Dziś są to głównie nie bory, ale suche lasy sosnowy. Podczas wprowadzania zgubnej nowo-

czesności (monokultury) nie oszczędzono nawet rezerwatów. Juliusz Nowicki, autor artykułu, opisał zagładę rezerwatu „Miedźno”. Zabiła go „mania kopania, dziurawienia, drenowania, regulowania, prostowania tak silna, że nie oszczędzająca nawet leśnych strumyków”. ■ W numerze 1/91 „Jantarowych Szlaków” zwrócili moją uwagę szczególnie dwa artykuły. Alfons Sikora napisał o ochronie krajobrazu ziemi gdańskiej, w tym głównie o Nadmorskim Parku Krajobrazowym, w którym są tylko dwa rezerwaty przyrody: „Piaśnickie Łąki” i „Przylądek Rozewie”, a projektuje się ustanowienie dalszych trzech, m.in. myśli się, aby także Wąwóz Chłapowski miał ten status. Z mapki zamieszczonej przez Jerzego Szukalskiego można dowiedzieć się, że wody Raduni w Straszynie, skąd tłoczy się je do Gdańska, mają tylko III klasę czystości. Podobnie „czysta” jest Wda koło Lipusza. ■ Edmund Szczesiak dał w „Tygodniku Gdańskim” syntezę sytuacji Helu: „Port we Władysławowie zatrzymuje naturalny ruch rumowiska, które budowało kosę helską i systematycznie odbudowywało to, co podczas sztormowych uderzeń zabierało morze. Port zakłócił stan równowagi”. Hel „może uratować jedynie likwidacja tej sztucznej prze-

grody”. Funkcje władysławowskiego portu powinien przejąć port wojenny w Helu, przekształcony w port rybacki. Czy i ewentualnie kiedy to nastąpi, nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że do 18-osobowej rady miasta wojsko wystawiło 25, a cywile 32 kandydatów. I jedni i drudzy (ale cywile bardziej) spowodowali rozproszenie głosów swych zwolenników. Rezultat: „wojsko opanowało połowę rady”. Na szczęście, wśród rannych wojskowych, „znaleźli się zwolennicy ułożenia na innych zasadach, niż dotychczas, współżycia między wojskiem a cywilami”. Burmistrzem został cywil Sylwester Ostrowski. Ciężko mu będzie. W Helu nie ma oddziału ZK-P. ■ „Nasz Tygodnik Puck” pełen jest kaszëbiznë. Jest w nim stała rubryka „Z życia Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego”, są informacje o monografii socjologicznej „Kaszubi” i o kasiecie magnetofonowej „Nigdy do zęb”. Te przykłady tekstów z jednego tylko numeru 10/91 wskazują, że „Nasz Tygodnik” stał się już poważnym konkurentem „Tatczëznë”, założonej przez Jarosława Ellwarta, a obecnie prowadzonej przez klub kaszubskich studentów i młodej inteligencji „Pomorania”.

Janusz Kowalski

KLĘKA

W TCZEWIE O GEN. JÓZEFIE HALLERZE

Pociąg „Hallerczyk” przybył do Tezewa 29 stycznia 1920 r., uroczyste powitanie żołnierzy polskich Frontu Pomorskiego dowodzonego przez gen. Józefa Hallera miało miejsce 30 stycznia, a sam Błękitny Generał zawitał do grodu Sambora 4 lutego. Żołnierzy zakwaterowano w gmachu szkoły, w którym później (lata 1920–1930) mieściła się pierwsza polska Państwowa Szkoła Morska, a obecnie jest tu Liceum Ogólnokształcące.

W budynku tej szkoły 16 lutego 1991 r. — w 71 rocznicę tych wydarzeń — odbyła się uroczysta sesja popularnonaukowa pod hasłem „Śladami gen. Józefa Hallera na Pomorzu”. Młodzież tczewskiego ogólniaka recytowała wiersze o zaślubinach Polski z morzem i odczytała rozkazy gen. J. Hallera, wydane w czasie przejmowania Pomorza na początku 1920 r. Czesław Skonka z Gdańska wygłosił prelekcję pt.: „Śladami gen. J. Hallera na Pomorzu, w tym w Tczewie”. Prelegent oraz Marian Adamczyk z Towarzystwa Przyjaciół Hallerowa we Władysławowie przekazali Liceum Ogólnokształcącemu w Tczewie wiele pamiątek po gen. Hallerze. Znalazły one miejsce w „Kąciku Pamięci Błękitnej Armii” utworzonym w szkole. Marian Adamczyk wystąpił także z wnioskiem o sprowadzenie prochów gen. Józefa Hallera do Polski.

Na wystawie towarzyszącej sesji wyeksponowano wiele publikacji prasowych i archiwalnych zdjęć. Czynny był kiermasz wydawnictw o gen. J. Hallerze i zaślubinach Polski z morzem, a także o J. Wybickim i „Mazurku Dąbrowskiego”.

Zaproszeni goście degustowali wojskowy posiłek w tczewskiej jednostce wojskowej. Było to nawiązaniem do tradycji, bowiem 30 stycznia 1920 r. tczewski rzeźnik Kłos przygotował i wydał bezpłatnie posiłek dla żołnierzy.

Organizatorami sesji byli: Oddział Wojewódzki Stowarzyszenia Wista-Odra, Liceum Ogólnokształcące oraz Komisja Oświaty, Kultury i Kultury Fizycznej Rady Miejskiej w Tczewie.

Kazimierz Ickiewicz

SOMONIŃSKA KLĘKA

Oddział Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Somoninie wydał 3 numery „Kłeki”, w których informuje o bieżącej pracy oddziału. Czytamy tam o

odsłonięciu w Goręczynie tablicy poświęconej Alfonsowi Flisykowskiemu, bohaterowi obrony Poczty Polskiej w Gdańsku, i poznajemy jego życiorys. Podano nowe nazwy osiedli i ulic w Somoninie, m.in. jest osiedle Mestwina, Józefa Dambka, ulice F. Ceynowy, Witosławy. Jest też artykuł o dziejach Somonina w latach 1462–1772. Oddziałowi prezesuje Albin Lewandowski. Z życzliwą uwagą śledzić będziemy działalność oddziału. (Jot-ka)

FILM O PIAŚNICY

Piaśnica. Wioska w centrum olbrzymiego zespołu leśnego, ciągnącego się w kierunku północno-zachodnim od Wejherowa. Po lewej stronie szosy prowadzącej z Wejherowa do Krokowej rozegrała się największa tragedia na Pomorzu. W latach 1939–1940 zamordowano tu około 12 000 osób — Polaków z Pomorza i ludzi przywiezionych z Rzeszy. Zginęła inteligencja pomorska, działacze społeczni i polityczni, urzędnicy, księża, wojskowi, robotnicy i chłopcy.

Piaśnica. Miejsce pierwszej zbrodni hitlerowskiej na taką skalę w Europie. Piaśnica. Pamięć i ostrzeżenie.

12 marca br. w kinie „Świt” w Wejherowie odbyła się premiera filmu dokumentalnego „Las piaśnicki”. Uroczystość miała niezwykle podniosły charakter. Przybyli twórcy filmu: Tadeusz Wudziński — reżyser, Jolanta Mirska — kierownik produkcji i Mirosław Jabłoński — montażysta. Większość widzów stanowiły rodziny ofiar. W skupieniu i zadumie obejrzano ten przejmujący dokument, który powstał w

zespole „Wir” i Wytwórni Filmów Dokumentalnych w Warszawie. Inicjatorem był Społeczny Komitet Opieki nad Piaśnicą, któremu przewodniczył ks. kan. Bogusław Zurawski, a szczególną aktywnością wykazał się Bogdan Blindow i Regina Osowicka.

Film trwa 38 min. Zrealizowano go prostymi środkami. Przedstawia relacje świadków, zdjęcia i dokumenty. Jest obrazem wstrząsającym. Autor zdjęć, Cezary Makowski, potrafił na taśmie białoczarnej oddać klimat tych tragicznych wydarzeń.

Po filmie wiele osób dziękowało inicjatorom i twórcom za ten film-dokument, za samą uroczystość. Znaczenie tego filmu trudno przecenić. Niezwykle ciepło o twórcach i samej uroczystości wypowiadali się: Zygmunt Milczewski, Ewa Olejnik, Alfons Kowski, Halina Kałmierska, Bolesław Tokarski, Ewa Stolarczyk, Bronisław Naczek ze wzruszeniem mówił o uczuciu wdzięczności i uldze, że taki film powstał.

Na koniec tego niezwykłego seansu obecni odmówili wspólną modlitwę w intencji pomordowanych i odsłiwiali „Rotę”. (Jot-ka)

W RUMI

Ogólne zebranie członków ZK-P w Rumi odbyło się 19 lutego w MDK. Przybyło ponad 60 osób. Zaproszonym gościem zebrania był Stanisław Pestka, poeta kaszubski, redaktor naczelny „Pomeranii”. W języku południowych Kaszub mówił o sobie i swej twórczości. Czytał fragmenty swoich wierszy.

Po wystąpieniu S. Pestki prezes J. Kryszewski omówił plany oddziału na najbliższą przyszłość. J.L.

POLACY Z POMORZA GDAŃSKIEGO W ZSRR

Nadal mało wiemy o losach Pomorzan wywiezionych do Związku Radzieckiego. Nie ustalono rozmiarów deportacji ludności cywilnej z Pomorza Gdańskiego w 1945 r., podobnie nie ustalono jeszcze liczby żołnierzy polskich pochodzących z Pomorza Gdańskiego, którzy w 1939 r. dostali się do niewoli rosyjskiej, mało też wiemy o ich losach.

Opracowania wymaga działalność NKWD po wkroczeniu Armii Czerwonej na Pomorze w 1945 r. Trzeba ustalić liczbę zaaresztowanych uczestników ruchu oporu z lat 1939–1945, w tym członków „Gryfa Pomorskiego”. Trzeba też podjąć bolesny temat przekazywania w ręce NKWD przez Służbę Bezpieczeństwa aresztowanych uczestników ruchu oporu.

Tym problemom poświęcona zostanie konferencja naukowa nt. „Polacy z Pomorza Gdańskiego w ZSRR jako internowani jeńcy wojenni, deportowani oraz ich losy w latach 1939–1945”, którą 17 września br. organizuje Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie wspólnie z Główną Komisją Badania Zbrodni Wojennych, Okręgową Komisją w Gdańsku. Organizatorzy konferencji proszą o uwagi, informacje, które nadsyłać można pod adres Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku, ul. Szewska 1–4.



WIOSKA NAD STRUGĄ

Leon Reszka.

Jelitkowo, położone nad brzegiem zatoki, przy ujściu Potoku Oliwskiego zwanego wcześniej Jelitkowską Strugą, stanowi dzisiaj dzielnicę Oliwy. Po niemiecku zwane Gletkau, było prądawną własnością cysterskiego klasztoru w Oliwie, darowaną przez książąt pomorskich. Na 1480 rok datowany jest przywilej cysterskiego opata Mikołaja dla tej wsi, zwanej wówczas Głotkau. Na przestrzeni dziejów nazwa przyjmowała różne brzmienia. Z 1570 roku znany jest zapis w formie Jelatkowo. Wiktor Radzyński (faktycznie — Wiktor Kulerski) w swoim „Przewodniku po Copotach, Gdańsku i okolicy...”, wydany w 1892 roku, nazywa Jelitkowo Gładzikowem informując jednocześnie, że tam „podobno Sobieskiego Marysieńka przebywała”.

Miejscowością letniskową stało się Jelitkowo bardzo późno, zachowując pierwotny charakter wioski rybackiej. O tym po dzisiaj dzień świadczą stare chałupy rybackie. Jako kąpielisko było Jelitkowo mniej sławne niż pobliskie Brzeźno, już z Sopotem nie porównując. Licznie odwiedzany przez uboższą, a także miejscową klientelę stało się z chwilą doprowadzenia do wybrzeża utwardzonej drogi i linii tramwajowej.

Atrakcją stanowiły park nadmorski i promenada oraz dom zdrojowy i kabiny kąpielowe, a także molo otwarte w 1909 roku, przy którym zatrzymywały się statki spacerowe płynące z Gdańska do Sopotu. Obecny dom zdrojowy pochodzi z lat późniejszych, gdyż wielki sztorm w 1914 roku zniszczył wcześniej zbudowane obiekty.

Dzisiejszy kościół parafialny, w swojej pierwotnej postaci, oddano do użytku wiernych w 1926 roku. Do czasu sekularyzacji klasztoru oliwskiego Jelitkowo należało do parafii w Matarni. Sama miejscowość, przejęta z dóbr klasztornych, należała w latach 1807—1826 do gdańszczan, a później — jak pisze ks. Fankidejski — została „włościanom na własność

ustąpiona”. Inna sprawa, że owi „włościanie” to w głównej mierze kaszubscy rybacy.

Pod koniec XIX w. w Jelitkowie liczono 3 gburów, 15 zagrodników, a całość obejmowała 778 mórg obszaru, na którym w 12 domach mieszkało 179 katolików i 27 ewangelików. Jak podaje F. Mamuszka, w 1909 roku „98 właścicieli posesji czy lokatorów nosiło nazwiska polskie”. Prezesem, założonego w 1892 roku w Oliwie polskiego Towarzystwa Ludowego był przez szereg lat Józef Rutowski, mieszkaniec Jelitkowa.

Niezwykle pracowita była, wspomniana już, Jelitkowska Struga. Prawie u jej ujścia znajdował się, czynny jeszcze w początkach tego wieku, młyn wodny. Niestety, jak wiele innych, wówczas już zabytkowych obiektów przy strudze, i ten uległ wyburzeniu po ostatniej wojnie. Jelitkowska Struga, licząca niespełna milę długości, przechodząc zrazu przez cichą dolinę „pędziła następnie cały zastęp hamerni i młynów”. W sławnej Oliwie, „w ogrodzie poklasztornym tworzy przepyszne fontanny i wodospady; obraca zaraz potem młyn wielki, następnie kilka hamerni”. Tak pisał ks. Fankidejski pod koniec XIX w. dodając, że to oliwscy cystersi „wszystkie te młyny i hamernie pozakładali”. Dzisiaj można zwiedzić, w głębi Doliny Oliwskiej, zabytkową kuźnię wodną.

Bodajże raz tylko zapisano Jelitkowo w dziele literatury pięknej. Hieronim Derdowski, kreśląc niezwykłe przygody Jana Czorlińskiego wspominał, że ten z „Gletkowsczego piosku” udał się do Oliwy, aby w katedrze oliwskiej poznać dzieje gdańskich książąt i kaszubską mitologię.

Dzisiaj Jelitkowo wydaje się dosypiać swoich dziejów. Ożywia się tylko w niedzielę, stanowiąc ulubione miejsce spacerów, i w krótkim okresie letniego sezonu. Nieco na uboczu, nieco zaniedbane. Mała dzielnica Oliwy, która sama stała się dzielnicą Gdańska.

W NUMERZE:



Tadeusz Bolduan	1	Mocni w grach i zabawach. <i>Na gorąco</i>
Stanisław Pestka	1	Miejsce przy stole
rozmawia z posłem		
Jerzym Wuttke	4	Ze ściany wschodniej
Stanisław Janke	5	Tatarska diaspora
Ali Miśkiewicz	6	Foras Georgios: Z dała od Olimpu
Zanotował s.j.	6	Ukraińcy w Gdańsku
Krzysztof Figel, Roman Zahoroda	7	Pomorze jako pogranicze Europy
Henryk Galus	7	Bałtyckiej (1)
Józef Borzyszkowski	10	O regionalizacji i Pomorzu
Andrzej Piskozub	12	W stronę Wielkiego Pomorza. <i>Z gdańskiej perspektywy</i>
ks. biskup Tadeusz Gocłowski	16	Wartość własnego dziedzictwa
W.T.	17	Związek Pomorski — szansa i wyzwanie
Wojciech Turek	18	Gdy politykom brakuje wyobraźni. <i>Na własny rachunek</i>
Władysław Zajewski	20	Konstytucja 3 Maja
Marcin Borowski	23	Czy Polska mogła obronić konstytucję majową?
Jan Drzeżdżon	24	Biłli kółp (1)
Bernard Hinz	26	„Stegną Czorlińskiego”. Wanoga na kołach
Janusz Kowalski	27	„Remus” dobęł na „Czorlińscim”
Eugeniusz Gołqbk	30	Wdór z niechwalebnych lat. <i>Przescyganie czasu</i>
	31	Czy chcemy się uczyć po kaszubsku?
		Ankieta
Marek Latoszek	32	Miasto Jastarnia i gmina Karsin. <i>Alfa-bet kaszubski</i>
(s.j.)	34	Podsumowanie w marszu
Edward Breza	35	Pomorskie nazwisko Muza, Muża
Wojciech Wiła	37	Nazwa „Kaszuby”
Józef Borzyszkowski	37	Cotka Anusia
Ryszard Landowski	38	Dióbelisko odporaja w „Kaliskach”
Janusz Kowalski	38	Z prasy
	39	Klęka
Leon Reszka	40	Wioska nad Strugą. <i>Historia w pocztówkach</i>
K.O.	41	Lębork. Herby miast pomorskich

POMERANIA

Nr 5(217)

Rok zał. 1963

WYDAWCA
Zarząd Główny
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego

ADRES REDAKCJI
Targ Drzewny 3/7, 80-886 Gdańsk
tel. 31-71-33 i 31-50-41 w. 268

KONTO
PKO Gdańsk 19510-5890-132

REDAKCJA: Bogumiła Cirocka, Stanisław Janke, Stanisław Pestka (redaktor naczelny), Krystyna Puzdrowska (sekretarz redakcji), Wiesław Turek. Redakcja techniczna i graficzna: Olgierd Kostrowicki; korekta: Maria Szrajber. KOLEGIUM: Eugeniusz Gołqbk, Jerzy Kiedrowski, Kazimierz Ostrowski, Maria Pajkowska, Wiktor Pepliński, Jerzy Samp, Brunon Synak, Edmund Szczesiak.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania artykułów oraz zmiany tytułów.

Indeks 37193 PL ISSN 0238-9045

Druk: Zakład Poligraficzny „El-graf” w Gdańsku. Zam. 129

HERBY MIAST POMORSKICH



LĘBORK

Lębork ma niezłe parantele. Osadę na szlaku handlowym z Gdańska do Szczecina założył Mestwin II, a kilkadziesiąt lat później *in Pomerania prope fluvium Leba* układali się w sprawie obrony swych ziem trzej wielcy feudałowie — książę wołogojski i na Rugii, biskup kamieński oraz mistrz krzyżacki. Owo miejsce na Pomorzu nad rzeką Łeba historycy pomorskiego średniowiecza identyfikują z Łebnem (wg innych językoznawców Lewinem), czyli dzisiejszym Lęborkiem. Od 1308 roku osada ta wraz z całym Pomorzem wschodnim znalazła się w rękach krzyżackich, a 1 stycznia 1341 roku wielki mistrz Dietrich von Altenberg wydał na zamku malborskim dokument lokacyjny dla miasta Lewinburga.

Nie chcąc czytelników nużyć procesami przekształceń i odkształceń, jakim podlegały słowiańskie nazwy w germańskim języku Krzyżaków, musimy postużyć się skrótem. Pierwotne Łebno wnet uzyskało postać Leben (Lebin), następnie Lewin (b słuchowo przyjęto jako w) zaś w momencie podniesienia do rangi miasta nazwę uzupełnił człon -burg (gród, zamek). Tak ukształtowana nazwa kojarzyła się z niemieckim wyrazem Lēwe — lew.

A więc — miasto lwa, gród lwa. Zlatynizowana forma brzmiała Leoburgum, a grecka — Leopolis, identycznie jak nazwa Lwowa.

Po tych wyjaśnieniach nie powinno już dziwić, że w herbie Lęborka znajduje się lew. Czy był tam od początku nie wiadomo, gdyż istnieje rysunek pieczęci Lebenburga z gryfem pomiędzy dwiema wieżami zamku. Jest wielce prawdopodobne, że najpierw Lębork umieścił w godle gryfa, jak uczyniło to wiele miast pomorskich, a później w związku z przeinaczeniem nazwy zamienił go na lwa. Prof. M. Gumowski wątpi wprawdzie w autentyczność gryfa na tej podstawie, że nie jest znany oryginalny tłok pieczęci, a tylko rysunek.

Drugi herb, z podobizną lwa siedzącego obok dwóch wież zamku na skalistej górze, jest herbem mówiącym: wizerunek króla dzikich zwierząt koresponduje ze średniowiecznym niemieckim nazwaniem miasta. Rajcom pięknie rozwijającego się grodu nad Łebą wydawał się herb tym trafniejszy, iż słowiańska geneza nazwy okryta się mgłą zapomnienia.

Dla krzyżackich zaborców stanowił Lębork ważny punkt strategiczny i administracyjny, który zdominował wkrótce pobliską Białogardę, tradycyjną stolicę ziemi. Po lokacji nowi władcy otoczyli miasto murem obronnym, a we wschodnim narożu wzniesli zamek. Budowa zamku ukończona została już w 1363 roku. Miasta posiadające tego typu warownię szczyliły się swą potęgą i nie inaczej uczynił Lębork, umieszczając wieże zamkowe w godle. Skąta, na której budowlę posadowiono, była tworem fantazji rzemieślnika-artysty, wykonawcy pieczęci miejskiej.

Lew i zamek stały się niezmiennymi elementami lęborskiego herbu na przestrzeni wieków, poddawały się jedynie niewielkim zmianom. Lew jednak występował w dwóch wersjach. Pierwsza, wzięta z XIV-wiecznej pieczęci, przedstawiała go z głową w koronie, zwróconą do zamku i z uniesioną przednią łapą; sprawia wrażenie, jakby gotów był bronić miasta. W wersji drugiej lew nie ma korony, głowę odwraca od zamku, wydatnie natomiast zaznaczony jest ozór. Obie odmiany godła używane były przemienne, co nawet we współczesnych opracowaniach znajduje wyraz.

Zamek na wyspie (otoczonej Łebą i jej odgałęzieniem) był kilkakrotnie przebudowywany — przez Gryfitów i Prusaków, niewiele przeto zachował z dawnej monumentalności i piękna. Także obecna postać nazwy miasta, wtórnie przywróconej słowiańskiej mowie, nie przypomina już lwiego imienia. Mimo to oba elementy w herbie pozostały, jako trwałe świadectwo historii.

K.O.